William E. Vance

Śmierć czyha na drodze do Cheyenne

(Death Stalks the Cheyenne Trail, 1980)

Beta Books, 1991
Tłumaczenie: Mirosław Ikonowicz

1

Ogień i wściekły huk z obu rewolwerów wydobyły się niemal w tej samej chwili.

Niemal.

Silny, marcowy wiatr, wiejący na strzelnicy w Fort Mayer w stanie Virginia, zmarszczył wody Potomaku i szybko przegnał dym. W powietrzu pozostał ostry, gryzący zapach prochu.

Dave Coppers, patrząc na rzednący dym, ponownie załadował swój colt 44 nabojami.

Patrzył jak to samo, 75 stóp dalej, robi jego rywal. Tym dziwnym i niespotykanym zawodom, odbywającym się przynajmniej raz, a czasem dwa lub trzy razy w tygodniu, przyglądali się dwaj żołnierze.

Coppers wyciągnął broń i strzelił ze spokojną łatwością, która w cotygodniowych pojedynkach na strzelnicy dawała mu przewagę nad Harlanem Gage, kolegą z waszyngtońskiej służby wywiadowczej i najlepszym w życiu przyjacielem.

Gage podszedł do niego w towarzystwie żołnierza niosącego tarczę z sylwetką górnej części ciała mężczyzny. Tarcza, do której strzelał Gage stała przed Coppersem, a o cal na prawo od serca widniał w niej zgrabny otwór pozostawiony przez nabój kaliber 38 special.

— Według mojego zegarka, pan Coppers strzelił pierwszy — żołnierz miał na sobie wyblakłą bluzę polową z żywszymi śladami po belkach kaprala, wskazującymi, iż był kiedyś podoficerem.

— To jest remis — powiedział Coppers.

— Nigdy niczego nie oddawaj — powiedział Gage i wręczył Coppersowi dwa srebrne dolary. — Wygrałeś, jak zwykle.

Coppers przekazał dwa srebrne dolary jednemu z żołnierzy.

— Pozwolicie postawić sobie piwo, chłopcy?

— Dzięki, panie Coppers — odrzekł eks-kapral rozpromieniony. — Dziękuję bardzo.

Obaj żołnierze patrzyli, jak koło chaty na skraju strzelnicy mężczyźni dosiedli koni i razem odjechali.

— Ten duży, brzydki, to kto? — odezwał się młodszy żołnierz.

— Pan Coppers? Był w ochronie McKinleya, kiedy go zabił ten zwariowany, anarchistyczny sukinsyn.

— O rany! Nie mów! Co on teraz robi?

— Słyszałem, że nadal pracuje dla Tajnej Służby, ale po śmierci McKinleya zrobili go urzędnikiem, dozorcą czy kimś w tym rodzaju.

— Chryste! To ci los!

— Z niego jest prawdziwy bohater. Był z Burzowymi Jeźdźcami na Kubie. Dostał najwyższe odznaczenie. Wiesz co? Kiedy tu przychodzi,

mógłby otrzymać salut z dwudziestu jeden dział, gdyby chciał. Z powodu tego medalu jest równie ważny, jak generał.

— Co on, u diabła, takiego zrobił, że dostał to odznaczenie?

— Dokładnie nie wiem. Może ocalił życie Rooseveltowi... może zaokrętował konia pułkownika na „Yucatanie”; a może chodziło o zdobycie „Yucatanu” i utrzymanie go dla Burzowych Jeźdźców. Słyszałem, jak mówili, że musiał przetrząsnąć połowę ekwipunku piechoty nowojorskiej, żeby pułkownik miał się na czym wyprawić na Kubę.

— Chryste! Walczyć, żeby wziąć udział w wojnie!

— Cóż, to była wówczas jedyna wojna, chłopie.

— Dobra, dobra, co ty możesz o tym wiedzieć.

— Lepiej ruszmy tyłki. Sierżant idzie.

Coppers i Gage jechali obok mlecznej farmy Kraftburgera i dalej, przez most z lwimi głowami, skąd widać było pomnik Waszyngtona. Czarne, kręcone włosy Coppersa wystawały spod jego stetsona. Buty do konnej jazdy jakoś nie kłóciły się z ulubionym, sztruksowym garniturem. Z szerokich, masywnych ramion luźno zwisała marynarka. Miał wyrazistą twarz, wystające kości policzkowe były pamiątką po matce z plemienia Czejenów. Choć jego regularne rysy przecinała blizna, pozostawiona przez Hiszpana z San Juan Hill, był wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną. Matki i córki polityków w stolicy uważały Coppersa za obdarzonego silną osobowością, pociągającego i — nieodgadnionego.

— Coś się szykuje, Dave — powiedział Gage, gdy szli szeroką ulicą. — Zdaje mi się, że Effington przygotowuje się na coś wielkiego.

Coppers zaledwie skinął głową.

Gage spojrzał nań z zakłopotaniem. Był piegowatym, chudym i żylastym mężczyzną, o płomiennorudych włosach. Przyjaźnili się od czasu, kiedy Frank Gage przygarnął młodego Coppersa po tym, jak jego rodziców zamordowali bandyci.

— Odkąd Effington rozpracował tę siatkę szpiegowską w Kanadzie, oszalał i uważa się za bohatera z powieści płaszcza i szpady. Za sprawą tej obławy musiał zostać szefem Tajnej Służby — powiedział Coppers.

— Tak, tak. Wciąż się zastanawiam...

— Zaszkodzi ci to na mózg — odparł Coppers.

— Effington cię zabije. Nie pociskiem. To by było zbyt miłosierne. On to robi za pomocą...

— Zostawmy to — przerwał mu Coppers.

Gage westchnął i wzruszył ramionami. Jechali wzdłuż Pensylvania Avenue trzymając się blisko rynsztoka, by uniknąć ruchu kołowego, a przede wszystkim głośnych i dymiących wozów benzynowych. Po dotarciu do budynku Ministerstwa Skarbu zsiedli z koni. Gage wziął wodze dereszowatego wałacha Coppersa.

— Odprowadzę go — powiedział.

Dobrana para białych koni, zaprzężona do prezydenckiego powozu, niecierpliwie przebierała nogami na podjeździe Białego Domu po drugiej stronie ulicy. Gage odwrócił głowę w tym kierunku.

— Pułkownik gdzieś się wybiera. Łatwo byłoby się do niego dostać, Dave.

Coppers uśmiechnął się.

— Nic podobnego nie zrobię, Harlan. Pomyśl przez chwilę, jak by postąpił Effington, gdyby dostał na piśmie polecenie od Roosevelta przywrócenia mnie do służby operacyjnej?

— Wykonałby je — odparł Gage.

— Do zobaczenia — rzucił Coppers.

Wszedł do budynku i wspiął się po ciemnych schodach na trzecie piętro. Minął mnóstwo biurek, aby w końcu dojść do własnego. Płaszcz powiesił koło okna, żeby wywietrzał zeń zapach prochu. Odpiął naramienną kaburę i wrzucił ją na dno szuflady.

Nie minęło pięć lat, myślał, odkąd podróżowałem do Buffalo z prezydentem McKinleyem i jego świtą, by wziąć udział w Wystawie Panamerykańskiej. W ochronie osobistej prezydenta było trzech ludzi: David Coppers, Harlan Gage i Dan Thomas. Dan był teraz szefem ochrony prezydenckiej. Dopiero w 1901 roku Tajna Służba przejęła odpowiedzialność za bezpieczeństwo Białego Domu. Coppers uśmiechnął się na wspomnienie dumy, jaką przepełniał go ten nowy przydział. Niezły awans, jak na nieokrzesanego kowboja z Wyoming, jakim był przed Burzowymi Jeźdźcami i Kubą.

Coppers zachował o wszystkim żywe wspomnienie, jak gdyby to stało się wczoraj. Zapamiętał ten żal i udrękę. Rankiem 5 września 1901 r. prezydent wraz ze świtą wyruszył w kierunku wodospadu Niagara. Coppers jechał w powozie prezydenckim. Pani McKinley dzieliła go od prezydenta, który zdawał się być w dobrym humorze. Odczytywał na nowo przemówienie, które zamierzał wygłosić tego popołudnia na Wystawie. Gage jechał w następnym powozie z sekretarzami wojny i skarbu. Osobisty sekretarz, Cartelyou, był siny z wściekłości, bo posadzono go dopiero w trzecim powozie. Konna policja z Buffalo zapewniła eskortę, która jechała przed i za orszakiem prezydenckim.

Coppers był zafascynowany wodospadem. Prezydent, który już go widział wydawał się cieszyć straszliwym rykiem spadającej wody tak samo jak Dave.

Po zjedzeniu, w jednym z okolicznych parków, przyniesionego w koszykach lunchu, orszak udał się z powrotem w kierunku Buffalo i Wystawy.

Coppers pozostawał w pobliżu prezydenta, gdy ten wygłaszał przemówienie przed salą koncertową. Pani McKinley udała się do sali tanecznej, gdzie, na prośbę prezydenta, towarzyszył jej Gage.

Coppers i Thomas weszli za prezydentem przez boczne drzwi prowadzące do wielkiej, przepastnej sali koncertowej. Skierowali się ku podium, wzniesionemu na jednym z końców tego ogromnego budynku. Pomieszczenie pełne było mężczyzn, kobiet i dzieci burzliwie oklaskujących McKinleya. Mimo swego niezdecydowania i chwiejności, coraz bardziej podobał się on Amerykanom. Coppers stał z założonymi rękami obok prezydenta i patrzył, jak ściska ręce ludziom, którzy się przed nim przesuwają.

Pogłaskał po głowie małą, złotowłosą dziewczynkę, uśmiechnął się i obrócił ku następnemu w kolejce: mężczyźnie średniej postury, ubranemu w ciemny, tandetny garnitur. Prawą rękę mężczyzny spowijały bandaże. Prezydent wyciągnął do niego dłoń. Mężczyzna odtrącił ją gwałtownie, a znad zabandażowanej ręki uniósł się dym po oddaniu dwóch strzałów. Prezydent zatoczył się do tyłu, a Coppers rzucił się na zabójcę, przyciskając go do podłogi i wyrywając broń z zabandażowanej ręki.

Żołnierze, znajdujący się na skraju podium, przybyli Coppersowi z pomocą, okładając razami zamachowca, który w ogóle nie stawiał oporu.

Prezydent, trzymając się obiema rękami za pierś, powiedział cicho: „Nie pozwólcie go nikomu skrzywdzić".

Coppers odprawił rozwścieczonych żołnierzy, poderwał napastnika na nogi i przepchał wzdłuż podium, aby przekazać go służbie porządkowej i policji przy wejściu.

Tłum stał się złowrogi i groźny, a w całym budynku rozległy się okrzyki: „Zlinczować go!”. Coppers powrócił do prezydenta w chwili, gdy kordon policjantów, wojskowych i strażników Wystawy, zaczął wypychać tłum ku wyjściu.

Coppers prosił prezydenta, aby położył się na deskach podium do czasu nadejścia pomocy medycznej. Nie miał pojęcia jak poważna jest rana. Narastało w nim straszliwe poczucie winy. Pytał siebie, dlaczego nie był bardziej czujny, dlaczego nie zwracał baczniejszej uwagi na tłum.

Fakt, że Tajna Służba dopiero co przejęła odpowiedzialność za bezpieczeństwo prezydenta, i że dla całej ich trójki było to nowe zadanie, w niczym nie umniejszał jego wyrzutów sumienia.

Po śmierci McKinleya, szef Effington przeniósł Dave'a do nic nie znaczącej pracy biurowej. Było to zajęcie niemal urzędnicze. Czytał raporty z pola walki, parafował niewiele znaczące notatki w sprawach nie odgrywających poważniejszej roli w operacjach Agencji. Były to sprawy takie, jak fałszerstwa, świadczenie usług w zakresie ochrony i dochodzeń dla innych departamentów, a od czasu do czasu zapewnienie ochrony osobistej wybitnym gościom zagranicznym.

Coppersowi nie podawano żadnych szczegółów związanych z tymi operacjami. Dbał o to Effington, a sekundował mu gorliwie jego cień, Buford Skiles.

Im głębszy żal, myślał Coppers, tym trudniej go wyrazić słowami. Przewracał nerwowo papiery na biurku, wstał i podszedł do okna. Patrzył na wiosenną zieleń, na ogrodników okopujących kwitnące krzewy. Prezydencki zaprzęg dawno już odjechał z podjazdu przed Białym Domem.

Coppers opanował się, wrócił za biurko i przyciągnął do siebie stos papierów. Agent z Denver znów donosił o pojawieniu się nie podpisanych banknotów, pochodzących z napadu na ekspres, dokonanego w 1896 roku. Tym razem była jednak pewna różnica. Banknoty, które pojawiły się w Denver bardzo umiejętnie podrobiono.

Coppers wzruszył ramionami i przeszedł do następnego raportu, a potem odsunął go i skręcił papierosa. Nie dawały mu spokoju słowa Gage'a. Effington szykował „coś wielkiego”. Coppers znów poruszył nerwowo swoimi szerokimi ramionami.

Zawsze jestem niespokojny, stwierdził po powrocie ze strzelnicy. Już wcześniej doszedł do tego wniosku i nawet rozważał możliwość zaprzestania ćwiczeń, ale wiedział, że nic z tego. Żył dla tych dni na strzelnicy. Chodziło nie tylko o strzelanie, ale i konną przeprawę przez rzekę, nieodmiennie przywodzącą na myśl wspomnienia pierwszych dni spędzonych na farmie G, która była jego jedynym domem godnym tego miana, i który dawno utracił. Coppers często myślał o złożeniu rezygnacji i powrocie do Wyoming, ale opierał się tej pokusie, czując, że byłoby to przyznanie się do porażki. Nieczęsto myślał o tym, jakie byłoby życie na farmie G, czy innym ranczo — może i jego własnym. Nadal jednak był zorientowany w ranczerskim biznesie za pośrednictwem „Gazety Giełdowej". Wiedział, że sytuacja uległa radykalnej zmianie od czasu, kiedy wraz z Gage'em opuścili niczyją farmę G, aby udać się do Steamboat Springs na spotkanie z dziką bandą i wspólnie zaciągnąć się do Burzowych Jeźdźców. Z tego również nic nie wyszło.

Gdy Coppers skończył raporty operacyjne, popielniczka była pełna brązowych niedopałków.

Gdy zabierał się do bieżących raportów i informacji, do jego biurka podszedł asystent Effingtona, Buford Skiles.

Skiles był wysokim, szczupłym, przedwcześnie posiwiałym mężczyzną i żywił do Coppersa urazę o to, iż ten okazał się lepszy w rywalizacji o miejsce w ochronie Białego Domu. On sam rozpoczął pracę jako urzędnik i ciężką pracą oraz intrygami utorował sobie drogę do pozycji drugiego człowieka w całym wydziale. Osiągnięcie to nigdy nie stłumiło jego pragnień zostania agentem operacyjnym. Czuł, że takie doświadczenie jest mu potrzebne, jeżeli myśli o zastąpieniu Effingtona.

— Szef chce cię widzieć — powiedział Skiles. nie witając się.

— Mnie?

— Tak.

— W jakiej sprawie?

Skiles nie starał się ukrywać swojej niechęci do Coppersa.

— Powie ci, kiedy cię zobaczy. Czeka na ciebie — obrócił się na pięcie i wrócił do gabinetu szefa.

Coppers był lekko zaniepokojony. Szef posyłał po niego po raz pierwszy od czasu udzielenia mu surowej reprymendy za zaniedbanie obowiązków służbowych. Sama myśl o tym była dla niego bolesna.

Szef nie spojrzał na wchodzącego Coppersa. Przyłożył zapałkę do końca długiego cygara, powoli ją zgasił i ostrożnie umieścił w łusce artyleryjskiej służącej za popielniczkę. Był drobnym mężczyzną o zimnych, niebieskich oczach, cienkich wargach, czarnych, rzadkich włosach; nosił okulary w drucianej oprawie.

— Dobrze dziś poszło strzelanie?

— Tak, dziękuję.

— Myślałeś kiedyś o dołączeniu do drużyny strzeleckiej i wzięciu udziału w zawodach?

— Nie, proszę pana.

Effington nachmurzył się.

— Niech i tak będzie.

Otworzył teczkę i zagłębił się w nią z uwagą. Wciąż patrząc na akta, zapytał:

— Pochodzisz z Wyoming?

— Tak, proszę pana.

Effington wziął do ust cygaro i mocno się zaciągnął. Potem wyjął je i wymierzył w Coppersa.

— Jest tam robota do wykonania.

— W Wyoming?

— Tak, w Wyoming. Co w tym nadzwyczajnego?

— Być może wie pan coś, czego ja nie wiem — odrzekł Coppers łagodnie.

Szef podniósł oczy znad teczki, popatrzył na niego i odchrząknął. Jego cienkie wargi poruszył skurcz, który można by wziąć za uśmiech.

— W 1896 roku w South Pass, z pociągu Union Pacific zabrano milion dolarów w nie podpisanych banknotach — oznajmił. — Pieniądze przewożono z powrotem do mennicy, aby naprawić błąd i dodać podpisy Skarbnika Stanów Zjednoczonych oraz Sekretarza Skarbu. Gdy autorzy napadu odkryli, że mają niekompletne banknoty, zamelinowali łup. Znaleźli jednak grawera czy też kogoś, kto potrafił podrobić podpisy i pieniądze zaczęły się pojawiać w Denver, Salt Lakę City i — znów zajrzał do teczki — w San Francisco.

— Czytałem jedynie raport z Denver — oznajmił Coppers — wygląda to na dużą operację z ośrodkiem w Wyoming?

Szef skinął głową.

— Podejrzewamy, że Butch Cassidy i Wielkonosy George nagrali tę robotę.

— Butch przez ostatnie cztery czy pięć lat był w Ameryce Południowej — odparł Coppers.

Effington prychnął pogardliwie.

— Chciałbym, żeby wszyscy w to uwierzyli.

— Wydaje mi się...

— To nie ma znaczenia — uciął Effington — z naszych informacji wynika — przy okazji — Coppers, my nie sądzimy, że Cassidy był zamieszany w rozprowadzanie fałszywych banknotów. Nie będę przecież, do diabła, siedział tu i tłumaczył...

— To nie jest konieczne...

— Oczywiście, że nie. Tak jak mówiłem mamy powody przypuszczać, że jeden z naszych ekspertów skarbowych od fałszerstw, który dwa lata temu złożył rezygnację ze względów zdrowotnych — miał gruźlicę — mieszka na farmie w Wyoming. Człowiek ten jest również grawerem. Mógł to wykonać, i to bardzo dobrze.

Coppers dyplomatycznie przytaknął.

Effington uśmiechnął się z rezerwą.

— Byłeś kiedyś kowbojem. Sądzisz, że mógłbyś się nim stać znowu?

Coppers poczuł, jak nieśmiało budzi się w nim nadzieja. Jego ogorzała twarz była spokojna i nie wyrażała myśli kłębiących się w jego głowie.

— Tak sądzę, sir — odrzekł pewnym głosem.

— Teraz są w łaskach. Mam na myśli kowbojów. Mamy jednego w Białym Domu.

— Z tego, co wiem bardzo dobrego. Zaczynał od samego dołu.

Coppers zobaczył, jak zimne oczy stają się jaszcze bardziej lodowate, zdecydował jednak, że jego podziw dla pułkownika Roosevelta nie może zostać umniejszony przez przełożonego.

— Okazał się największym bohaterem wojennym od czasów U.J. Granta — zauważył rozsądnie. — Wydaje mi się, że wie, co robi, jest najmłodszym prezydentem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy...

— Prezydent nie jest przedmiotem naszej rozmowy.

— Pan poruszył tę kwestię, sir — powiedział Coppers.

— Tak. Ale musimy kontynuować rozmowę o sprawie, w jakiej cię tu wezwałem. Jeżeli sądzisz, że możesz to zrobić, że uda ci się przemknąć w charakterze wędrownego, jak mu tam...

— To się nazywa jazda za chlebem. Bezrobotnego pastucha niektórzy nazywają siodłatym włóczęgą — sposób, w jaki to mówił wskazywał, że nie lubi tego określenia.

Effington zamknął i odsunął teczkę.

— Nie mamy wystarczających informacji, Coppers. Będziesz musiał zdobyć je sam. Gage pojedzie przodem i dokona niezbędnych przygotowań. Ale pamiętaj: on tu wróci i zostaniesz sam. To wszystko.

Coppers wstał z krzesła.

— Dziękuję, sir.

— Nie dziękuj mi — odparł Effington, uśmiechając się blado — mam co do ciebie wątpliwości. Twój sukces lub porażka potwierdzą, albo obalą moje przeczucia.

Coppers uśmiechnął się nieszczerze. Odwrócił i skierował w stronę drzwi, myśląc, jak różniła się ta rozmowa z Effingtonem od poprzedniej.

Coppers zszedł schodami prosto w balsamiczne powietrze wiosennego Waszyngtonu. Wstąpił do „Mama Pelote” na piwo i torebkę orzeszków. Pogrążony w rozmyślaniach na temat rozkazów Effingtona, z trudem dostrzegł Gage'a, który usiadł naprzeciw niego, po drugiej stronie stolika z marmurowym blatem.

— Jak poszło?

Coppers wzruszył ramionami.

— Dostałem robotę operacyjną w terenie.

— To dobrze. Ja też. Otrzymałem instrukcje. Skiles poinformował mnie o życzeniach Effingtona. Masz zrobić co w twej mocy, by wyglądać jak tramp. Ja mam pojechać przodem i przygotować wszystko, co może ci być potrzebne. Masz wysiąść w Cheyenne.

— W Cheyenne? — Coppers pociągnął łyk piwa.

Gage skinął głową uśmiechając się.

— Pewnie w to nie uwierzysz, Dave, ale masz wylądować na starym ranczo G. Zaskoczony?

Coppers przytaknął.

— Po dzisiejszym gotów jestem uwierzyć we wszystko. Czy jestem zaskoczony? Nie, daleko mi do tego.

Gage pochylił się ku niemu ponad stołem.

— Skiles powiedział mi, że stary jest piekielnie zdenerwowany. Chce, abym wyjechał najbliższym pociągiem.

— Czy on mnie wrabia, Harlan? — Gage gwałtownie się wyprostował.

— Do diabła, Dave! O co ty mnie pytasz...

— Czekaj, stary — mówił dalej Coppers — Effington mnie nienawidzi. Mógłby użyć władzy i funduszy rządowych, aby zrobić ze mnie durnia i tak mnie wrobić, żeby mnie zwolnili.

— Skąd te przypuszczenia?

— Nie ma dowodów. To zwykłe przeczucie — Coppers spojrzał Gage'owi w oczy. — Dlaczego właśnie Ranczo G, nasz stary dom rodzinny?

— Cóż, facet, który pracował dla Skarbu Państwa kupił ten stary dom ze względów podatkowych. Teraz to się nazywa Poręba B. Effington otrzymał skądś informacje, że Boynton mógł podrobić te podpisy.

— Czy to ranczo nie jest bliżej Laramie niż Cheyenne? Czy Effington nie próbuje mi utrudnić zadania?

Gage zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie-e-e, pytałem go o to, Dave. Powiedział, że Cheyenne będzie lepsze, bo w Laramie mógłbyś zostać rozpoznany.

Dave zaśmiał się cicho, i wskazując palcem na swój zmaltretowany nos, zapytał:

— Kto?

— Nie wiem — Gage wstał przeciągając się. — Muszę zdążyć na pociąg. Przygotuję wszystko do czasu twojego przyjazdu do Cheyenne. Skontaktuję się tam z tobą.

Wyszedł z szynku nie oglądając się za siebie.

2

W ciągu dwudziestu minut Coppers dotarł do domu. Wszedł do starego, przeładowanego ozdobami budynku, pełniącego funkcję pensjonatu dla „Wytwornych Pań i Panów”. Prowadziła go Ida Mae Courtney. Przeszedł przez pusty o tej porze salon — do swego pokoju.

Z niewielkiej półki na książki wybrał tom pod tytułem *Goodman o fałszerstwie*, usiadł przy oknie w bujanym fotelu i włączył lampę gazową. Pani Courtney nabyła już nową, elektryczną, ale światło migało i było zawodne. Coppers rzadko jej używał.

Kartkował książkę aż znalazł fragment, którego szukał. Przeczytał go, aby odświeżyć w pamięci definicję fałszerstwa. Lektura potwierdziła to, co sam pamiętał — że można dokonać fałszerstwa nie popełniając przestępstwa, jeżeli zostało się do tego zmuszonym.

Zaczął rozmyślać o swej podróży na zachód. Stawał się coraz bardziej niespokojny, coraz niecierpliwiej czekał aż, się rozpocznie — i rozpoznawał te symptomy z autoironicznym rozbawieniem.

Lekkie pukanie do drzwi przerwało te rozmyślania. Zanim zdążył wstać drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Ida Mae.

Była wysoką, trzydziestodwuletnią kobietą, której ciemną, bujną urodę przygaszały nieco trudy związane z zarządzaniem pensjonatem zamieszkanym w większości przez niższych urzędników państwowych.

Spojrzał w górę, na jej ocienione rzęsami, ciemne; oczy i po raz tysięczny pomyślał, jak bardzo mu się podoba.

— Wracam do Wyoming — powiedział nagle wstając i patrzył jak na jej pociągającej twarzy pojawia się przerażenie.

— Och, nie — powiedziała. — Nie mogę znieść tej myśli, Dave.

Położył ręce na jej ramionach i przyciągnął ją do siebie.

— Będę za tobą tęsknił.

— Porzucasz Tajną Służbę?

— Nie. Nie wolno mi mówić o tym, co mam zrobić.

— Rozumiem — zamknęła oczy, a potem szeroko je otworzyła. — Och, Dave, Jack będzie tak bardzo tęsknił za tobą.

— Chcę, aby Jack wziął mojego konia, Rooniego. Nie masz nic przeciwko temu?

— Masz zrobić coś niebezpiecznego, czuję to!

Roześmiał się.

— Mogę zostać rozjechany przez zaprzęg galopujących koni strażackich albo przez jeden z tych nowoczesnych powozów benzynowych.

— Dlaczego odchodzisz? Dlaczego?

Dotknął jej policzka.

— Nie chcę, nie mogę o tym mówić, Ido Mae. Powiem ci tylko, że to znaczy dla mnie bardzo wiele.

Wysunęła się z jego ramion.

— Idę do swojego pokoju, Dave, bo czuję, że się rozpłaczę, a nie chcę, żebyś to widział — odwróciła się i uciekła.

Coppers czyścił rewolwer — ten sam, którego używał tego popołudnia na strzelnicy, gdy Jack bez pukania wszedł do pokoju. Jego smagła twarz była smutna i nadąsana.

— Mama mówiła, że odchodzisz.

Patrzył na Coppersa, a jego ciemne, jak u matki, oczy wyrażały głębokie uczucie, może nienawiść... Coppers skinął głową, nie przestając czyścić lufy colta 44.

— Powiedziała ci o koniu?

— Nie chcę twojego przeklętego konia!

Odłożył rewolwer, spojrzał na Jacka, i powiedział łagodnie:

— Stary Roamie nie chciałby, żeby wziął go ktoś obcy.

W oku chłopca pojawiła się łza i spłynęła po policzku.

— Dlaczego nie ożenisz się z moją mamą? Dlaczego nie chcesz, żebym został twoim synem, którym już prawie jestem? — otworzył usta w niemej udręce, odwrócił się i wybiegł z pokoju.

Coppers ujrzał siebie w wieku dwunastu lat.

Gdy miał lat osiem, jego rodzina osiadła w Laramie. Ojciec, Calvin Coppers, został szeryfem w Laramie i, wraz ze swoją cheyeńską żoną Ekaname i ośmioletnim synem, wprowadził się do białego, drewnianego domku otoczonego żywopłotem. Gdy Coppersowie przybyli — miasto wrzało. Poprzedni szeryf, będący zarazem właścicielem saloonu, został zlinczowany, a Calvin Coppers został zatrudniony, by przywrócić w mieście ład i porządek.

Gdy Dave miał jedenaście lat, był tak mocny i szybki, jak jego indiańscy przodkowie. Został doskonałym jeźdźcem, a dzięki bystrości wzroku potrafił z odległości dwudziestu dwóch stóp zapalić zapałkę strzałem ze swej 22-milimetrowej strzelby.

Indiański przyjaciel Dave'a, John Buttner, był Cheyennem, ubierał się jak biali i był strażnikiem na kolei. Położona w zakolu strumienia, o trzy mile od miasta, budka Johna stała się dla Dave'a drugim domem. John nauczył go wiele o ziemi i życiu wśród dzikiej przyrody, jak zrobić łuk, i z jakiego drzewa wychodzą najprostsze strzały. Dave wdawał się w wiele bójek na pięści z dziećmi z miasta, które prześladowały Johna Buttnera. Nie wszystkie z nich wygrywał.

Te drobne potyczki trwały do czasu, aż pewnej wiosny zawitał do miasta cyrk objazdowy. Rozpięte na otwartej przestrzeni za miastem namioty cyrkowe wywołały wielkie poruszenie. Mieszkańcy cieszyli się na tę niecodzienną rozrywkę.

W jednym z numerów występował zespół złożony z Cheyennów z Północy. John Buttner odwiedził ich, rozmawiali w ich własnym języku, który był językiem jego matki.

Opinia o Buttnerze w Laramie natychmiast uległa zmianie, co było szczególnie ważne dla Dave'a.

Kiedy radował się z wyniesienia Buttnera do roli miasteczkowego bohatera, doszło do tragedii. Gdy pewnego słonecznego popołudnia wracał

ze szkoły, spotkał zdyszanych kolegów. Z rozszerzonymi z przerażenia oczami powiedzieli mu, że jego rodzice nie żyją, że zamordowali ich bandyci. Nie mogąc w to uwierzyć, Dave rzucił książki na ziemię i ruszył pędem w stronę domu. Jego przerażenie i popłoch rosły z każdym krokiem.

Gdy przepychał się przez tłum stojący przed domem, pochwycił go wysoki, rudowłosy mężczyzna o płomiennorudej brodzie, któremu towarzyszył mały, rudowłosy chłopiec.

— Nie wchodź tam — rozkazał ostro rudobrody.

Próbował go znów schwycić, ale Dave wyrwał mu się, zrobił unik i wbiegł na schody z oczami pełnymi łez i sercem walącym jak młot. Wyminął miejskiego konstabla, Ala Huntera, i wpadł w drzwi.

— Hej, chłopcze, nie możesz tam wejść! — krzyczał Hunter.

Dave przebiegł przez salon i nagle zatrzymał się w drzwiach kuchni. Ojciec leżał na podłodze przed kuchnią. Tył głowy odstrzelono z bliskiej odległości, dubeltówką. Jego pas i rewolwer wisiały na kołku obok drzwi wejściowych. Dave powoli przenosił wzrok na tylne, zasłonięte firanką drzwi. Upstrzone były czerwonymi i szarymi plamkami. W przejściu leżała matka. Pomidory, które trzymała w fartuchu zostały rozrzucone po podłodze.

Niczego nie widząc, potykając się Dave wracał do salonu, gdzie wpadł pod nogi rudowłosego mężczyzny. Uczepił się ich i zaczął płakać. Poczuł szorstką dłoń na swym ramieniu.

— Jestem Frank Gage — powiedział rudowłosy mężczyzna. — Ja żem znał twojego ojca. Ściągnąłem go tutaj. A te dwa diabły, co on ich wsadził do paki w Kansas, zaczęli go ścigać, jak tylko wyszli. Myślę, że się tobą zajmę. Mam chłopca w twoim wieku. Harlan się nazywa...

I tak David Coppers rozpoczął życie na Ranczo G z Frankiem Gage'em i jego synem, Harlanem.

Dave i Harlan rośli razem i byli sobie bliżsi niż większość braci. Tak jak inni chłopcy — bili się, ale bójki zdawały się ich jeszcze bardziej do siebie przybliżać.

Do ostatniej bójki doszło podczas sianokosów, gdy Dave i Harlan ładowali siano z wozu na strych stodoły. Mijał już drugi miesiąc, odkąd Frank Gage sprowadził Dave'a. Chłopiec nigdy dotąd nie pracował tak ciężko, od świtu do nocy.

Nagle, ni z tego, ni z owego, Harlan zapytał:

— Twoja mama, to była squaw, no nie?

Dzień był niezwykle ciepły, jak na tę porę roku, toteż obaj byli do pasa rozebrani. Zarówno ciemnobrązowy tors Dave'a, jak i białe, nigdy nic opalone ciało Harlana, błyszczały od potu.

Serce Dave'a zabiło mocniej. Nie odezwał się.

— Tata powiedział, że twoja mama była Cheyenką, squaw — powtórzył Harlan.

— Córką wodza Cheyennów — odparł Dave i oparł się na widłach, starając się opanować wzbierający w nim gniew. — A ty nie masz matki — dodał — co się z nią stało?

— Umarła, kiedy miałem cztery lata. Niewiele z tego pamiętam.

— Na co umarła?

— Nie wiem. Mówiłem ci już, że niewiele z tego pamiętam.

— Pewnie ją twój stary zaorał na śmierć — powiedział Dave.

Harlan upuścił widły i rzucił się na Dave'a, wymachując pięściami.

— Nie waż się w ten sposób mówić o moim ojcu! — złościł się.

Dave z łatwością uniknął szarży Harlana. Odrzucił widły, i zeskoczył na ziemię. Harlan skoczył za nim, lądując na jego ramionach, tak że Dave ledwo utrzymał się na nogach. Gdy Dave odzyskał równowagę, cofnął się jeden lub dwa kroki, a Harlan rzucił się na niego ponownie. Dave wymierzył mu mocny cios w żołądek.

— Nie chcę ci zrobić krzywdy — powiedział.

Harlan wyprostował się, bladość ustępowała z jego twarzy. Ruszył na Dave'a warcząc coś niewyraźnie. Dave uderzył go dwa razy, w usta i w szczękę.

Twarz Harlana wykrzywiła się, powieki ciężko opadły. Odwrócił się, ręce położył na kole wozu i oparł na nich głowę.

Frank Gage wyjechał zza stodoły na swym pstrokatym kucu, ściągnął wodze i zeskoczył na ziemię.

— Znowuż to samo zaczynacie? — wrzasnął. — Żeby mi się to więcej nie powtórzyło. Żyjcie w zgodzie, bo macie tylko siebie. Wbijcie to sobie do słów, im prędzej, tym lepiej.

Nagła złość ustąpiła z jego twarzy, jej wyraz, kiedy popatrzył na obu chłopców, stał się łagodny i pełen zrozumienia.

Potrząsając głową wsiadł z powrotem na kuca i pojechał w kierunku pokracznego, rozpadającego się domu ranczerskiego, który od czasu śmierci jego żony przypominał raczej chlew.

— Przepraszam — powiedział Harlan, wycierając twarz w gołe ramię — nie powinienem był tego mówić.

— Ja również nie powinienem był mówić tego, co powiedziałem — odparł Dave.

Bez słowa powrócili do pracy, wrzucając siano przez szczytowy otwór, na strych.

Z pomocą obu chłopców, Frank Gage dobrze sobie radził.

Wiosną i podczas jesiennego spędu bydła, zatrudniał dodatkowych pracowników. Nie był człowiekiem zbyt hojnym, ani przesadnie skąpym. Był jednak przekonany, że każdy wydany dolar doprowadzi go w końcu do ruiny.

Praca była ciężka i monotonna. Niewiele pozostawało czasu na cokolwiek, co przypominałoby zabawę. Frank Gage nie był zwolennikiem pozostawiania ludziom zbyt wiele wolnego czasu. Obaj, zarówno Dave Coppers, jak i Harlan Gage, wcześnie, nie zauważając tego faktu, stali się mężczyznami.

Ranczo G prosperowało mimo suszy, koniokradów, właścicieli ziemskich i owczarzy. Gage walczył z nimi wszystkimi z równym poświęceniem i wydawało się, że wygrywa. Aż przyszła wielka susza w 1886 roku. Pastwiska wyschły, trawa zwiędła i zginęła. Wyschły strumienie, sadzawki i studnie. Bydło ryczało z głodu i pragnienia; osłabło i wychudło.

Frank Gage popadł w ruinę budując ogrodzenia, zwożąc wodę i kupując siano. Przed zimą nadal miał nadzieję, że się uda. Z nadejściem chłodów otrzymał ostateczny cios. Najstarsi ludzie nie pamiętali na tym terytorium takiej srogiej zimy.

Gdy pogoda poprawiła się nieco i znów mogli wyjść na pastwisko, ujrzeli setki bydła, padłego podczas klęski żywiołowej. Frank Gage był człowiekiem zrujnowanym, zdolnym jedynie do słabego protestu, gdy owczarz z Colorado wprowadził tysiące owiec na pastwiska Rancza G. Gage wyruszył naprzeciw Talbotta i nigdy nie wrócił.

Dave i Harlan przez miesiąc poszukiwali Franka Gage'a, aż wreszcie dali za wygraną. Obaj byli przekonani, że Franka Gage'a zabito i pochowano w jakiejś nieoznakowanej mogile.

Dave i Harlan stali się wędrownymi pastuchami, pracującymi na ranczach w Wyoming, Colorado i Utah. Pod koniec 1897 roku, wśród pogłosek o zbliżającej się wojnie kubańskiej, dowiedzieli się, że banda wyjętych spod prawa przestępców zbiera się w Steamboat Springs, aby zaciągnąć się do Burzowych Jeźdźców Roosevelta. Wyruszyli obaj w tamtym kierunku, sądząc, że łatwiej im będzie zaciągnąć się do Burzowych Jeźdźców, jeśli przyłączą się do grupy naprawdę twardych. facetów.

Po wyjściu Dave'a Coppersa, Ida Mae Courtney nie płakała. Zatrzymała się w pokoju syna i powiedziała mu, że Dave wyjeżdża. Chłopiec słuchał jej z szeroko otwartymi oczami, nie dowierzając jej słowom. Zamknął książkę i wybiegł do pokoju Dave'a, czego właśnie po nim oczekiwała.

Dotarła do swojego pokoju z uczuciem odrętwienia. Poprawiła włosy i odrzuciła od siebie smutne poczucie klęski. Odkąd odkryła, że Dave Coppers jest dobrym człowiekiem, na którym można polegać, planowała, że go poślubi. Niezależnie od zniekształcenia twarzy, jakiego doznał na wojnie amerykańsko-hiszpańskiej, był bardzo przystojnym mężczyzną. A co ważniejsze dla niej, był uczciwy, bezpośredni i miał w sobie delikatność, której nie znajdowała w żadnym innym mężczyźnie, niezależnie od pochodzenia.

Z ludźmi innego pokroju miała już dość kłopotów. Takim był jej były mąż, Sam Courtney. Arogancki, niegodny zaufania, przebiegły intrygant.

Sam Courtney zginął podczas napadu na starego, bogatego farmera w Marylandzie, o którym chodziły słuchy, że ma na farmie zakopany złoty skarb.

Utrata męża, i to w taki sposób, była dla niej krzywdą, o której wolała nie myśleć. W Samie Courtneyu, młodym, porywczym człowieku, pokładała całą swą wiarę i zaufanie. Po jego śmierci była, wraz z małym synkiem, zupełnie nie przygotowana do tego, by zmierzyć się z życiem.

Poradziła sobie najlepiej jak mogła. Przeszła szkolenie jako akuszerka i wyjechała do Waszyngtonu, gdzie nikt jej nie znał. W ciągu następnych lat przyjmowała na świat dzieci sławnych i znanych osób w stolicy. Zdobyła potężnych przyjaciół. Piękna i energiczna kobieta odłożyła dość pieniędzy,

aby odkupić stary dom polityka, który po klęsce wyborczej opuścił Waszyngton, i urządzić w nim pensjonat.

Miała służbę, ładny powóz i wiele innych luksusów, na które mogła sobie teraz pozwolić. Ale dotkliwie odczuwała brak mężczyzny. Nie chodziło o jakiegokolwiek mężczyznę, takich było pod dostatkiem. Aż pojawił się Dave Coppers.

Dobrze go poznała i na wiele sposobów okazywała mu swoje uczucia. Czekała cierpliwie na ruch z jego strony, wiedząc, że dojdzie do tego wcześniej czy później. A teraz wyjeżdżał w Bóg jeden wie jakiej misji. Musi być, myślała, jakiś sposób, aby go zatrzymać.

3

W tydzień po spotkaniu z Effingtonem do dużego pokoju wszedł Skiles i skinął głową.

— Chcę z tobą mówić — powiedział zimnym, obojętnym tonem.

Dave wstał i poszedł za Skilesem do małego pomieszczenia, znajdującego się zaraz za wygodnym gabinetem Effingtona.

Skiles przesunął w stronę Dave'a papiery i plik banknotów.

— Oto twój rozkaz podróży — oznajmił, — pojedziesz pulmanem, pierwszą klasą do Omaha. W Omaha wysiądziesz i kupisz zwykły bilet do Cheyenne. Tam spotkasz się z Gage'em. On przekaże ci resztę instrukcji.

— Czy jest jakiś specjalny powód? — zapytał grzecznie Coppers.

Skiles zirytowany zmarszczył brwi.

— Pan Effington życzy sobie, by tak właśnie się to odbyło.

Dave wzruszył ramionami.

— Skoro szef tak mówi.

— To jest duża operacja, Coppers — powiedział gniewnie Skiles. — Musimy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Jeśli w pulmanie będzie ktokolwiek — on czy ona — związany z tą sprawą, pomyśli, że wysiadłeś w Omaha.

— Ona?

— Nie wykluczam, że może być w to zamieszana kobieta — odparł gładko Skiles i wykonał gest kończący rozmowę.

Jeśli pojawią się jakieś pytania, czy problemy, Gage zajmie się tym w Cheyenne.

Dave wziął polecenie wyjazdu i pieniądze. Schował je do wewnętrznej kieszeni brązowej marynarki. Spojrzał na Skilesa i dodał:

— Bardzo dziękuję, panie Skiles.

Skiles nie odpowiedział, przyciągnął do siebie stertę papierowi zaczął je przeglądać, nie patrząc na Coppersa.

W piętnaście minut po odejściu Coppersa, Buford Skiles zepchnął na bok papierkową robotę, wstał od biurka, sięgnął po ubranie i kapelusz. Zawiadomił swego sekretarza, że przez resztę dnia nie będzie go w biurze i tylnymi schodami wyszedł na ulicę.

Po szybkim, dwudziestominutowym spacerze dotarł na miejsce. Była to rezydencja H. Richarda Donela, słynnego waszyngtońskiego reportera „Enterprise”. Skiles zastukał kołatką. Drzwi otworzył osobiście sam reporter, patrząc na przybysza podejrzliwie sponad binokli w drucianej oprawie, przytwierdzonych do klapy czarną wstążką. Poprawił szkła, odchrząknął i mruknął:

— Mam nadzieję, że to coś ważnego.

Skiles spoglądał na światowej sławy dziennikarza, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Jestem Buford Skiles — zaczął — Ja...

— Wiem, kim pan jest — przerwał mu raptownie Donel. — Co sprowadza pana w moje progi?

Skiles nie zdradził się że swoimi emocjami, choć czuł jak narasta w nim wściekłość. Wzruszył ramionami, spoglądając z góry na Donela; niskiego, krępego mężczyznę z początkami brzuszka wylewającego się z utrzymywanych na szelkach spodni.

— Jestem tu, aby wyświadczyć panu wielką przysługę, panie Donel — oświadczył spokojnie.

— Dlaczego?

— Proszę pozwolić sobie powiedzieć, że wierzę w to, co pan robi, kiedy tłumaczy pan opinii publicznej, jakiego pokroju człowiekiem jest w rzeczywistości prezydent.

W wyblakłych, żółtawych oczach Donela pojawił się cień wątpliwości. Otworzył drzwi szerzej.

— Proszę wejść — oznajmił sztywno.

Gdy Skiles znalazł się w środku, Donel zamknął drzwi, skinął głową i rzucił:

— Tędy proszę, Skiles.

Skiles podążył za nim przez korytarz do zagraconego gabinetu. Jedną z półek wypełniały szczelnie egzemplarze najambitniejszego dzieła Donela *Prawdziwe oblicze wojny*. Książka dotyczyła wojny, z którą nie wiązały go żadne osobiste doświadczenia i oparta była na listach pisanych do domu przez żołnierza Unii. Uczyniła ona Donela bogatym i sławnym, pozwoliła na posiadanie własnej rubryki w „Enterprise” i objęcie funkcji korespondenta z wojen grecko-tureckiej i amerykańsko-hiszpańskiej. Przy tej ostatniej okazji rozwinął on swą zajadłą i niewyczerpaną nienawiść do Theodora Roosevelta.

Donel ustawił krzesło i zaczekał, aż Skiles usiądzie, zanim pogrążył się w skórzanym fotelu, który pomniejszył jeszcze jego drobną postać.

— W porządku, sir — powiedział dbając o zwięzłość wypowiedzi. — O co chodzi?

— A może wolałby pan najpierw poznać nieco tło całej sprawy? — odrzekł Skiles, po raz pierwszy zdradzając pewną nerwowość.

— Proszę wyłącznie o nagie takty. Mam mało czasu — zerknął na Skilesa. — Gdy się nad tym głębiej zastanowić, to być może nie powinienem pana wcale słuchać. Jest pan funkcjonariuszem publicznym, biurokratą i jako taki nie powinien pan nawet w myślach zajmować się polityką ani niczym podobnym.

Cholerny przygłup, pomyślał Skiles zjadliwie, nie okazując jednak gniewu i wściekłości, jakie wywoływał w nim ten zadufany w sobie człowieczek.

— Ja wierzę, naprawdę wierzę w sens pańskich wysiłków, aby ukazać prezydenta Roosevelta takim, jakim on jest w rzeczywistości. Chciałbym panu pomóc w kontynuowaniu tych poczynań.

Donel oblizał wargi i wymruczał coś w rodzaju „Uhm", gestem rąk nakazał Skilesowi, aby mówił dalej.

Co za bezczelny osioł, myślał Skiles, nic dziwnego, że podczas ataku na San Juan Hill, Roosevelt wyznaczył mu miejsce na samym końcu kolumny.

A głośno oświadczył:

— Najciekawsza historia, jaka wydarzy się w przyszłym miesiącu, będzie miała miejsce w Wyoming.

— No cóż, byłem w Turcji i w Grecji, aby pisać o wojnie, w rok później popłynąłem na Kubę, by opisywać jeszcze jedną wojnę. Z moją reputacją mogę pojechać wszędzie, gdzie tylko zapragnę.

— Tak, wiem — odparł skromnie Skiles. — Dlatego właśnie tu jestem.

Zadowolony z dotychczasowego przebiegu rozmowy, Donel odprężył się.

— Proszę kontynuować — nakazał.

Skiles zmarszczył brwi, ale mówił pewnie.

— Nie mogę panu dostarczyć wszystkich szczegółów — rzekł uroczystym głosem — ale mogę zapewnić, że z chwilą ujawnienia wstrząsną one całym państwem. Proszę sobie wyobrazić przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki, z rozmysłem rekrutującego zabójców, bandytów, wyrzutków Dzikiego Zachodu, aby zapełnić szeregi swoich Burzowych Jeźdźców.

— Mogę to sobie wyobrazić — sucho odparł Donel.

— Gdy ta historia się wyda, jeżeli pan ją ogłosi, cały świat pozna prawdziwe imię słynnego bandyty.

— Pewnie. A kto jest tym słynnym bandytą?

— Butch Cassidy — powiedział Skiles z przejęciem. — On...

— Jest w Ameryce Południowej — przerwał Donel.

— Nie! Dokładnie w tej chwili jest w Wyoming, a jeśli jeszcze tam nie dotarł, to już wkrótce będzie. Zwykłą rzeczy koleją zostanie aresztowany pod zarzutem dokonania wielu przestępstw federalnych i postawiony przez sądem, chyba że będzie stawiał opór...

— Słucham pana z uwagą — rzekł Donel, pochylony do przodu, bębniąc palcami po poręczy fotela. — Proszę mówić dalej.

— To na razie wszystko — odparł Skiles. — Jeśli od razu wyruszy pan do Wyoming i zatrzyma się na ranczo dla turystów zwanym Box MB, to znajdzie się pan na miejscu dość wcześnie, aby być świadkiem tych wydarzeń.

— Nie dał mi pan wystarczających danych — rzekł w zamyśleniu Donel, mimo że już postanowił pojechać na Zachód. Prezydent Roosevelt wciąż stawał się bardziej popularny wśród masy głupich wyborców.

— Obawiam się, że nie mogę panu na razie dać ich więcej — odrzekł chłodno Skiles, wstając, aby zakończyć rozmowę.

Donel przyjrzał mu się z namysłem.

— Przypuszczam, że mogę się na pana powołać.

— Nie, nie może pan — odparł twardo Skiles. — Jego przenikliwe spojrzenie wywołało cień rumieńca na bladej twarzy Donela.

— Oczywiście, oczywiście — zapewnił Donel. — Uznaję pańską potrzebę bycia niewidzialnym — zaśmiał się. — Potrzebuję wakacji, panie

Skiles, i myślę, że wybiorę się na wspaniały Dziki Zachód. Dziękuję za zwrócenie na to mojej uwagi.

Skiles odwrócił się, aby ukryć wyraz niesmaku.

— Sam znajdę drogę do wyjścia.

— Oczywiście, znajdzie pan, panie Skiles — odparł Donel ze śmiechem. — Taki as Tajnej Służby, jak pan! Oczywiście, że potrafi pan odnaleźć drogę.

4

W cztery dni po krótkiej rozmowie z Bufordem Skilesem, pociąg Coppersa dojechał do Chicago. Wraz z tłumem wyszedł ze stacji, ku długiemu rzędowi powozów, oczekujących, by przewieźć pasażerów przez miasto ku linii kolejowej Union Pacific.

Wśród pasażerów była zmęczona, blada kobieta z dwójką dzieci uczepionych jej bardzo wygniecionej spódnicy.

Coppers pomógł jej nieść bagaże; jechał w tym samym powozie trzymając małego chłopca na ręku i zaniósł jej rzeczy do pulmana. Ulokował ją, a sam wybrał sobie miejsce jak najbliżej pieca. Pociąg tej linii nie był tak luksusowy jak ten, którym przyjechał z Waszyngtonu do Chicago. Konduktor, korpulentny, dostojny, schludny mężczyzna, stał na samym końcu wagonu i badawczym spojrzeniem taksował pasażerów.

Dave Coppers przyjrzał mu się i ocenił po swojemu. Gdzieś z oddali słychać było gwizd maszyny i dźwięk dzwonka. Konduktor odwrócił się i wysiadł z pulmana.

Coppers usłyszał, jak krzyczy: „Wsiadać, drzwi zamykać!”. Kiedy pociąg nabierał prędkości, Dave rozsiadł się i odprężył; starając się nie myśleć zbyt wiele o przyszłości.

Wyprostował się, gdy jakaś ręka dotknęła jego ramienia. Zmęczona, blada kobieta pochyliła się nad nim.

— Ja, ja muszę zaprowadzić Katie do toalety — powiedziała ledwo słyszalnym głosem — czy mógłby pan uważać na Tommy’ego, to znaczy, na wypadek, gdyby się obudził?

Coppers rzucił okiem na chłopca, który leżał na siedzeniu z zamkniętymi oczami i palcem w buzi. Skinął głową.

— No pewnie. Z przyjemnością.

Mężczyzna z gwiazdą przypiętą do kamizelki w sięgającym za uda czarnym płaszczu, szedł wzdłuż przejścia. Zatrzymał się koło miejsca Dave'a, który poczuł zapach whisky.

Mężczyzna poszedł dalej, a potem zawrócił i usiadł obok Coppersa.

— Cześć chłopie, jestem Shug Kruger, zastępca szeryfa na północ od Cheyenne. — Wyciągnął do niego rękę.

Coppers z niechęcią uścisnął ją. Nie chciał wdawać się w rozmowy, wolał nie rzucać się nikomu w oczy.

— Nazywam się Coppers — powiedział, tak niewyraźnie wymawiając nazwisko, że zabrzmiało zupełnie inaczej.

Nie musiał się wysilać, Kruger daleki był od takich drobiazgów. — Właśnie przyjechałem do Chicago, żeby odebrać zabójcę winnego napadu na bank — powiedział chełpliwie, — w drodze na stację facet usiłował zwiać. Musiałem go zastrzelić.

Coppers patrzył prosto przed siebie, poddając się kołysaniu pociągu. Kruger mówił dalej:

— Do diabła, że też okręg nie może zapłacić za bilety pierwszej klasy. Musiałem wyłożyć z własnej kieszeni. Znaczy się różnicę między ceną normalnego biletu a tym tu pałacem pulmana — spojrzał na Coppersa i nie dostrzegł zainteresowania na jego brązowej, wyżłobionej bliznami twarzy. — Ale myślę, że było warto.

Kobieta z małą dziewczynką wróciła na swoje miejsce. Podziękowała Coppersowi za opiekę nad chłopcem.

— W ogóle się nie ruszał — odparł Coppers.

— O, Sal — zagrzmiał Kruger — co za spotkanie?

Patrzył na nią pożądliwie, aż się zaczerwieniła, odsunęła nogi Tommy'ego i usiadła z dziewczynką na kolanach. Miała spuszczoną głowę i nie podnosiła wzroku. Dziewczynka przytuliła się do jej piersi i zasnęła.

— Musiała być w jednym z tych domów, zanim stary Mel Bennion wyciągnął ją stamtąd i poślubił — powiedział Kruger z chytrym uśmiechem na twarzy — głośnym, scenicznym szeptem.

Coppers dostrzegł, jak głowa kobiety pochyla się jeszcze niżej. Stopniowo budził się w nim gniew.

— Potrzebne mi jest całe to siedzenie. Z przodu widzę wiele wolnych miejsc; będę zobowiązany, jeśli się pan tam przesiądzie.

Kruger wstał nachmurzony.

— Sądzę, że zrozumiałem aluzję — powiedział i poszedł do przodu wagonu.

Kobieta rzuciła Coppersowi krótkie, pełne wdzięczności spojrzenie.

Drzemał wsłuchany w odgłosy pociągu, w stukot kół i samotne zawodzenie gwizdka wśród nocy. Niewidoczny, lecz cuchnący dym węglowy wypełniał wagon.

Coppers był niespokojny. Czuł się nieswojo i wiedział, że zanim się przesiądzie do zwykłego wagonu musi otrząsnąć się ze zmęczenia. Wagony te były zatłoczone, brudne, wiozły przyszłych farmerów, osadników — ludzi, którzy na tej ziemi obiecanej chcieli zaczynać wszystko od nowa.

Nagle zerwał się z drzemki, wyprostował i rozejrzał. Mała Katie spała na tylnym siedzeniu. Chłopczyk wciąż jeszcze ssał przez sen kciuk. Kobieta, Sal, wyszła, najprawdopodobniej do toalety.

Na dźwięk cichego protestu Coppers wstał. Spojrzał do przodu. Krugera nie było widać. Westchnął i ruszył między ławkami ku tylnej części wagonu. Kruger stał z dłońmi opartymi o ścianę pulmanowskiego wagonu. Kobieta była unieruchomiona między jego ramionami. Latarnia oświetlająca wagon chwiała się, poruszając ich cienie.

— Nie robiłbym tego — rzekł Coppers, chwytając jedno ramię Krugera i odciągając go od kobiety.

— Ale ty nie jesteś mną — odparł Kruger — a więc odczep się przyjacielu.

Coppers zrobił krok i obrót. Szczęka Krugera pod jego pięścią wydała się słaba i miękka. Zatoczył się na ścianę pulmana i osunął do pozycji siedzącej, po czym odepchnął się od ściany, sięgając po przypięty na udzie

rewolwer. Coppers kopnął jego dłoń, trafiając butem w szczękę. Kruger z jękiem wciągnął powietrze, gwałtownie opadł na podłogę i znieruchomiał.

Coppers odwrócił się, ale kobiety już nie było. Spojrzał jeszcze raz na Krugera i wrócił na swoje miejsce. Kobieta wyglądała przez okno.

— Pani Bennion — zaczął Coppers.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

— On nie będzie już pani niepokoił.

— Dziękuję — odparła. — Bardzo dziękuję. Mel, mój mąż, martwił się, że coś takiego może się wydarzyć. Powiedział, żebym nie patrzyła i nie rozmawiała z nieznajomymi. Ale Shug Kruger nie jest nieznajomym — przerwała gwałtownie i zaczerwieniła się. Na jej lewym policzku widniała ciemna plama.

— Na pani miejscu nawet bym o tym nie wspominał — powiedział Coppers.

Obdarzyła go uśmiechem pełnym wdzięczności.

— Dziękuję. Sądzę, że ma pan rację. Mel, to jest mój mąż, ma dziś tyle kłopotów. Nie chciałam go zostawiać samego, ale moja matka zmarła i po prostu musiałam tu wrócić.

— Proszę przyjąć wyrazy współczucia — powiedział mechanicznie.

— Była już taka stara. Nie cierpiała, chorowała od jakiegoś czasu. Miała dobre, pełne życie.

Wydawało się, że powinien coś na to odpowiedzieć, ale nie przyszło mu do głowy nic odpowiedniego, więc milczał. Nie pozwoliła mu jednak zakończyć rozmowy.

— Mel jest farmerem. Ale na krowach nie może już zrobić pieniędzy. Mel właśnie przekształca nasze gospodarstwo w ranczo rekreacyjne.

Coppers uniósł brwi.

A ona dodała pośpiesznie:

— Nie pozbywamy się całego bydła. Rekreacyjne ranczo ma być dodatkiem do hodowli. Zeszłej jesieni mieliśmy dużą grupę na polowaniu. Przyjechali z Europy, a jeden z nich był księciem. Tyle zarobiliśmy, że Mel postanowił prowadzić taką działalność stale.

Coppers skinął uprzejmie.

— Życzę wam wiele szczęścia.

— Będziemy go potrzebować — odpowiedziała wzdychając

Była godzina szósta, gdy Dave Coppers wysiadł w Cheyenne.

Doszedł do końca peronu, postawił torbę na deskach i obserwował gorączkową krzątaninę wokół pociągu.

Stojąc w cieniu patrzył, jak do peronu podjeżdża dyliżans, którym ze znawstwem powozi garbaty kowboj w dużym czarnym kapeluszu. Ze środka wysiadł wysoki mężczyzna, oparł rękę na peronie i wskoczył na podest. Sal Bennion z dziećmi, wyszła mężowi na przeciw.

— I co ty na to? — zawołał Bennion wskazując na dyliżans. — Tym właśnie zawieziemy naszych pielgrzymów na ranczo.

Wysoki farmer zgarnął dwójkę dzieci, zeskoczył na ziemię i nie zważając na pisk chłopca, usadził je w dyliżansie. Następnie wyciągnął ręce do Sal, która schyliła się ku niemu i posadził ją w dyliżansie, nie stawiając na ziemi.

— Jedźmy stąd Hummy! — krzyknął. — I zniknął we wnętrzu turkoczącego pojazdu.

Maszyna jęknęła, zadźwięczał gwizdek, rozległ się dźwięk dzwonka i pociąg odjechał w noc. Coppers był cholernie zadowolony, że opuścił zatłoczony wagon. Wciągnął głęboko powietrze i spojrzał w niebo. Gwiazdy świeciły tu jaśniej niż na Wschodzie. Był spragniony widoku tych okolic w pełnym świetle dnia. Majaczące na zachodzie góry, wydawały się być tak blisko, mimo że były odległe.

Teraz, gdy pociąg zniknął za wzgórzami na Zachodzie, ludzie opuszczali stację. Jakiś mężczyzna nadszedł wąską drogą między torami, a peronem. Zatrzymał się i spojrzał na niego.

— Cześć, Dave.

— Cześć Harlan, widzę, że Cheyenne rozwija się.

— Najruchliwsze miejsce na zachód od Chicago. Wciąż coraz bardziej dzikie.

Żółte światło od strony dworca i poczekalni zalewało drewniany peron. Dave odwrócił się i spojrzał w dół na Gage'a.

— Nie mogę przywyknąć do tej rozjarzonej światłami metropolii wśród pustkowia.

— Nie tak to wyglądało, gdy jechaliśmy razem do Steamboat Springs — odrzekł Gage. — Nie będziesz miał czasu na bliższe zapoznanie się z tymi jasnymi światłami, Dave. Wszystko już jest przygotowane. Na początku tej ulicy, w hotelu Autler, jest to, czego będziesz potrzebował. Czas, żebyś się wziął do roboty, stary.

— O Jezu, myślałem, że będę, miar dzień na rozprostowanie kości — odparł Dave dobrotliwie.

— Charliemu Effingtonowi to by się nie spodobało — powiedział Harlan.

Dave zaśmiał się.

— Twój koń — ciągnął Gage — jest w stajni za hotelem. Srokaty wałach. Ostatnia przegroda po prawej. Uzda i siodło w korycie po prawej.

— Kto to wymyślił?

— Szef kieruje wszystkim bezpośrednio.

— Aha, szef.

— Słuchaj, Dave. Ten srokaty koń rzuca się w oczy. Wyjedziesz drogą na Laramie, jakieś osiemnaście, dwadzieścia mil. Na rozwidleniu dróg jest sosna, która wygląda jak indiański pióropusz wojenny z piórami, to jest konarami po jednej tylko stronie. Skręcisz w tę właśnie stronę i przejedziesz jeszcze parę mil, aż dotrzesz do drewnianej chaty. Mieszka tam stary, emerytowany detektyw kolejowy, Max Callum. On ci wymieni srokatego na gniadosza. Przez niego będziesz przesyłał wszelkie wiadomości na Wschód, on będzie twoją skrzynką kontaktową.

— Ty nie zostajesz?

— Nie. Rozkaz szefa. Masz być zdany na własne siły. Łapię nocny pociąg na Wschód. Nie odprowadzaj mnie. Powodzenia, Dave — wyprostował się i wręczył Dave'owi klucze. — Pokój 212. Wiem, że nie spodobają ci się buty, jakie ci załatwiłem, niemniej jednak noś je. Książeczka szyfrowa jest w nich za podeszwą.

— Dobrze. Dziękuję.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a Harlan odwrócił się i zniknął w ciemnościach. Dave odczekał kilka minut i skierował się do położonego kilka przecznic dalej hotelu „Autlers”. Idąc Central Avenue minął stary dyliżans. Dotarł do hotelu i wszedł do pustego holu ze ścianami obwieszonymi głowami jeleni i antylop. Napis na ladzie obok dzwonka głosił: „Dzwonić na obsługę”. Dave przeszedł hol i wszedł po schodkach. Pokój był otwarty i przepełniony światłem padającym z ulicy przez zakurzone okno. Wszedł, zamknął drzwi i przemierzył pokój. Zapalił zapałkę, podniósł szklany klosz i przytknął płomień do knota. W pokoju zrobiło się jasno.

Z lampą w ręku podszedł do drzwi i przeczytał napis: „Proszę włączać światło naciskając czarny guzik. Aby światło zgasić, należy nacisnąć biały guzik. Proszę nie próbować zapalać lampy, wiszącej pośrodku pokoju, za pomocą zapałki. Dziękujemy. Dyrekcja.”

Dave z uśmiechem nacisnął czarny guzik, włączając blade światło elektryczne. Zdmuchnął płomień i odstawił lampę na stolik. Zaciągnął zieloną storę w oknie. Rozebrał się i skierował ku stojącej w rogu pokoju umywalce.

Gdy skończył się myć, wyjął spod łóżka torbę i otworzył ją. Gage za bardzo wysilił swą wyobraźnię — pomyślał sceptycznie, wyjmując wyblakłe, połatane levisy i poddając je krytycznym oględzinom. Rzucił spodnie na łóżko i podniósł resztę ubrania, jakie Gage zapakował do wojskowej torby. Perkalowe koszule, w tym samym stanie zużycia, co spodnie. Biało-czerwona chustka na szyję, zniszczony czarny kapelusz, z wyraźnymi śladami używania go do karmienia i pojenia konia.

Do diabła z tym, pomyślał i rzucił kapelusz na spodnie i koszulę.

Z torby wyłoniła się teraz para butów o startych obcasach, z dziurą pośrodku lewej podeszwy. Oba nosiły ślady nawozu. Upuścił je na podłogę, zdecydowany, że nie będzie ich nosić, nawet jeżeli rozmiar okaże sią właściwy. Przypomniał sobie uwagę Gage'a, dotyczącą książki szyfrów, i zmarszczył brwi.

Włożył spodnie i koszulę. A po krótkiej wewnętrznej walce wdział też zniszczone buty. Zawahał się przy kapeluszu, ale ostatecznie założył go również. Przejrzał się w lustrze.

— Cześć lumpie — powitał sam siebie i wyjął swój colt 44 z naramiennego futerału; włożył go do olstra dostarczonego przez Gage’a. Olstro przymocowane było do pasa z nabojami, który przypiął sobie w talii, ustawiając kolbę w pozycji ułatwiającej sięgnięcie po broń. Pochylił się, aby obwiązać udo skórzanym rzemieniem. Wyprostował się, wyjął i włożył broń do olstra.

Kilka minut przed dziewiątą wychodził przez hol hotelu „Autlers”. Nagle dał się słyszeć złowieszczy huk grzmotu. Zauważył, że zrobiło się jeszcze ciemniej. Po przeciwnej stronie ulicy, w saloonie „Pod Czerwonym Psem”, elektryczne światło zamigotało i zgasło. Z lokalu rozrywkowego dochodziły dźwięki pianina, cienki, kobiecy głos, śmiechy i krzyki. Coppers przez chwilę stał i słuchał, po czym skierował się w głąb ulicy, w stronę dworca. Gage wyraźnie zakazał mu się odprowadzać, ale Coppers pomyślał, że będzie mu towarzyszył do pociągu, trzymając się w pewnej odległości.

Znajdował się pięćdziesiąt stóp od dworca, gdy ujrzał żółty błysk płomienia i usłyszał ogłuszający huk wystrzału. Puścił się pędem, gdy zobaczył, jak na deski peronu pada człowiek.

Wskoczył na podest i pochylił się nad leżącym mężczyzną. Jego serce zabiło mocniej: to był Harlan Gage. Poczuł jak coraz słabiej bije umierające serce, aż wreszcie stanęło, a on zaciskał rozpaczliwie palce, jak gdyby chciał tchnąć życie tam, gdzie go już nigdy miało nie być.

Stukot butów kazał mu się wyprostować. Ktokolwiek oddał strzał, który zabił Harlana, zdążył się już oddalić, ale z głębi nocy szedł ku niemu człowiek z rewolwerem wyciągniętym przed siebie na długość ramienia. Dave kątem oka zauważył dwóch mężczyzn wyglądających przez okno stacji.

— Hej, ty, stój tam, gdzie jesteś — powiedział człowiek z rewolwerem, a światło ze stacji nadało gwieździe przypiętej do jego kamizelki matowo-żółty odcień. — Nie ruszaj się, bo cię podziurawię.

Dave podniósł do połowy ręce, podczas gdy w głowie czuł zamęt. Nie mógł pozwolić temu człowiekowi na zatrzymanie, bo cały plan spaliłby na panewce. Jednak nie mógł się zdecydować na wdanie się w strzelaninę z szeryfem.

— Nie przejmuj się — powiedział Dave łagodnie. — Nie zamierzam uczynić żadnego ruchu — rzucił szeryfowi prosto w twarz swój kapelusz, zeskakując jednocześnie z peronu na ziemię.

Nisko pochylony biegł, aby jak najszybciej znaleźć się z dala od świateł dworca. Gdy skoczył, słyszał jeden strzał, drugi padł, kiedy znajdował się pięćdziesiąt stóp dalej.

Gdy znalazł się w ciemnościach, wyprostował się i przeszedł z ciężkiego biegu do spokojnego chodu.

Szedł dalej, nie pozwalając, aby chęć opuszczenia miasta skłoniła go do zaniedbania środków ostrożności. Wracał do hotelu „Autlers”, zatrzymując się w cieniu drzew i obserwując hotel oraz położoną w głębi stajnię.

Zadowolony, że w stajni nie było nikogo ruszył w stronę tego dużego, ciemnego budynku. Odczekał w cieniu jeszcze chwilę i zupełnie wyprostowany — szybko wszedł do stajni. Zatrzymał się jeszcze, żeby się upewnić, że nikogo nie ma w środku, następnie ruszył szerokim przejściem między przegrodami. Zgodnie ze wskazówkami Gage'a odnalazł srokatego, siodło, uzdę i koc. Pracował szybko, ale spokojnie, osiodłał konia i wyprowadził go na zewnątrz. Zatrzymał się i zastanowił. Był bez kapelusza, a jego własny, prawie nowy stetson wraz z porzuconym ubraniem znajdował się na górze, w pokoju 212.

W tym kraju człowiek bez kapelusza albo bez konia rzucał się w oczy, niczym koń w saloonie. To go przekonało. Uwiązał srokatego i spokojnym krokiem poszedł do tylnego wyjścia z hotelu. Dotarł na drugie piętro i ruszył do pokoju, który wcześniej przez chwilę zajmował. Nagle stanął w pół kroku na dźwięk kobiecego śmiechu i głębokiego, męskiego głosu.

Ruszył dalej, a w minutę później miał na głowie swego wartego 40 dolarów stetsona, który leżał lepiej, niż zniszczony kapelusz, który rzucił w twarz szeryfowi.

5

Zanim pozwolił sobie na myślenie o Harlanie Gage'u, był już za miastem, pod rozgwieżdżonym niebem, a na twarzy czuł chłodny wiatr. Fakt, że Gage został zamordowany, dotarł teraz do niego z całą siłą.

W świetle księżyca jego wargi zacisnęły się, tworząc cienką linię. Oczy zmieniły wyraz, gdy znalazły ujście tłumione dotąd uczucia. Czuł fizyczny ból w piersiach i nieznośne dławienie w gardle.

Stojąc tam, pośród pofałdowanych wzgórz, które dalej przechodziły w piętrzące się na tle jaśniejszego nieba góry, poczuł się samotny.

Ścisnął w garści wodze i ruszył przed siebie. Koń szedł za nim tak blisko, że trącał pyskiem jego ramię? Ogarnął go niewysłowiony smutek, kiedy pomyślał o tym wszystkim, co razem z Gage'em przeszli od czasu, gdy na zawsze opuścili Ranczo G, aby stać się włóczęgami wędrującymi od farmy do farmy i żyjącymi z dnia na dzień. Było to męczące życie, złożone z ciężkiej pracy, samotności i przemocy, kiedy bronili koni i ziemi swych pracodawców.

Gage był prawdziwym kompanem: serdeczny, uczciwy, lojalny. Można było na nim całkowicie polegać.

Pracowali i mieszkali przez pewien czas na ranczo pewnego bogatego, angielskiego kolonisty, na granicy Wyoming i Colorado. To była dobra robota. Anglik, Timzy Jones, pozwalał im pracować po swojemu i dobrze płacił. Raz w miesiącu, w sobotnie wieczory, jeździli do miasta.

Coppers pamiętał jedną taką sobotnią noc, kiedy omal nie stali się wyjętymi spod prawa.

Dave, mając u swego boku Harlana, wszedł do saloonu. W lokalu pełno było górników, kowbojów i przybyłych ostatnio twardzieli z pól naftowych. Przy wszystkich stolikach szła gra na całego. Mężczyźni tłoczyli się wokół stolików czekając na swoją kolej. Inni stali przy barze i tęgo pili. Panował tu hałas i było pełno dymu. Tego właśnie szukali.

— Zanosi się na szaloną noc —- powiedział Harlan z zadowoleniem.

— W taką noc chce się wyć do księżyca — zgodził się Dave.

W dobrym nastroju poszli na koniec baru, aby zaczekać na barmana mającego pełne ręce roboty. Nagle do środka wszedł mężczyzna, otwierając jednym uderzeniem wahadłowe drzwi.

— Z drogi, idzie Lawton Gary! — ryczał.

Wyglądało na to, że przyszedł prosto z saloonu po drugiej stronie ulicy. Bezceremonialnie odpychał innych pijących. W ślad za nim szli dwaj groźnie wyglądający rewolwerowcy.

— Barman, podejdź tu — krzyknął Gary — daj nam pełną butelkę i trzy szklanki. I nie bądź taki cholernie powolny.

Barman, który akurat nalewał drinki Dave'owi i Harlanowi, zmarszczył brwi i wzruszył ramionami. Człowiek o pociągłej twarzy imieniem Gary, wyjął rewolwer i uderzył kolbą w ladę.

— Powiedziałem szybko, trucicielu!

— Lepiej zrób, jak on mówi — odezwał się jeden z kolegów Gary'ego. — To jest Lawton Gary, człowiek, który zabił Cala Coppersa i wielu innych szybkich strzelców.

Dave pozostawił swoją szklankę nietkniętą i ruszył wzdłuż rzędu mężczyzn wpatrzonych w Lawtona Gary.

Stanął za nim i spokojnie patrzył. Gary spojrzał w lustro za barem i wyprostował się, gdy zobaczył Coppersa, jak stoi tam i przygląda mu się. Jego twarz stała się czujniejsza, gdy z kciukami zaczepionymi o pas z bronią, wolno obrócił się i patrzył wyczekująco. Nie był tak pijany, na jakiego wyglądał.

— Jeśli zabiłeś Cala Coppersa, to musiałeś też zabić jego żonę — powiedział Coppers spokojnie. — Jak. to zrobiłeś, Gary, ukryłeś się u niego w domu i zaczekałeś?

— Kim ty, u diabła, jesteś?

W saloonie zapanowała grobowa cisza.

Mężczyźni przerwali rozmowy. Ustało picie. Dave czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Walczył ze sobą, żeby nie zamknąć oczu. Wspomnienie tamtej sceny wróciło do niego żywsze niż kiedykolwiek. Ojciec rozciągnięty przed wejściem do kuchni, matka w przejściu, czerwone i szare plamy na drzwiach i pomidory, które właśnie przyniosła z ogródka, rozrzucone wokół niej.

Coppers wzdrygnął się.

— No cóż, ja jestem Dave Coppers — oświadczył. — Teraz jesteś pijany, Gary, także na razie nie będę ci przeszkadzał. Ale otrzeźwiej i zrób to szybko, bo w chwili, gdy będziesz zdolny do utrzymania broni, zabiję cię.

Gary pobladł. Obrzucił szybkim spojrzeniem obu swych towarzyszy i uznał, że nie będzie z nich pożytku. Sięgnął po broń i skoczył w bok. W tej samej chwili obecni w barze goście rozpierzchli się w popłochu.

Dave poczekał, aż Gary wyciągnie broń, a następnie szybkim ruchem wyjął rewolwer i strzelił. Rewolwer Gary'ego automatycznie wypalił, a pocisk ugrzązł w zakurzonej podłodze u stóp Dave’a.

Coppers przesunął broń ku dwu kompanom Gary'ego, ale Gage miał już ich na muszce.

— Nie mamy z tym nic wspólnego — zapewnił jeden z nich pospiesznie.

— Czy któryś z was był z Garym, gdy zabijał moich rodziców? — zapytał Dave.

— O rany, nie. Spotkaliśmy go dopiero tydzień temu. Wszyscy mieliśmy jechać do Steamboat Spring, na duże spotkanie. Butch Cassidy i jego banda zamierzają się przyłączyć do Burzowych Jeźdźców, żeby uzyskać ułaskawienie. My też chcielibyśmy je dostać.

— Zabierajmy się stąd do stu diabłów, Harlan — powiedział Dave, i obaj wycofali się tyłem przez wahadłowe drzwi saloonu, trzymając broń w pogotowiu.

Wyjechali z miasta nie niepokojeni przez nikogo.

W cztery dni później zbliżali się do obozu bandytów rozłożonego nad Niedźwiedzim Potokiem. Drgające na zboczach liście osiki, wysyłały w dół srebrne błyski. Bandyci, których Dave naliczył jedenastu, rozbili obóz w topolowym lasku w zakolu strumienia.

Dave od razu rozpoznał Butcha Cassidy, mimo że nigdy wcześniej go nie spotkał. Stał on z dala od reszty i miał jeszcze na sobie melonik wyniesiony z jakiegoś balu. Był mężczyzną, który zawsze wyróżniałby się w tłumie. Uśmiechał się przyjemnie spod małych, czarnych wąsów, miał szczerą twarz, na której nie było widać wyrachowania.

— Cóż powiecie, panowie? — zagadnął uprzejmie Cassidy, ale czuło się, że oczekuje zdecydowanej odpowiedzi.

— Słyszeliśmy, że macie tu zebranie — odparł Dave.

— Jesteście wyjęci spod prawa?

— Cóż, być może prawo jeszcze nic o nas nie wie.

Cassidy roześmiał się:

— A więc prędzej czy później się dowie? — potrząsnął głową i rozejrzał się wśród grupy milczących mężczyzn, przykucniętych wokół ognia, który tlił się pod okopconym garnkiem z kawą.

— My wszyscy ukrywamy się. Doszliśmy do wniosku, że cholernie nas już zmęczyło uciekanie. Chcemy się wydostać z tej matni. Nie ma już w tym nic zabawnego, odkąd istnieją telefony, telegrafy i wozy benzynowe. — Prawie nie przerywając rzucił pytanie: — Czy nie przysłali was ci od Pinkertona, chłopcy?

Obaj gwałtownie zaprzeczyli.

— O ile wiem — powiedział Dave — to nigdy nie spotkałem nikogo od Pinkertona.

— Słyszałem, że stary Charley Siringo wyruszył moim śladem — rzekł Cassidy. — W naszym fachu nigdy dość ostrożności.

— Czy będziemy dalej prowadzić zebranie? — dobiegło pytanie z grupy skupionej wokół ogniska.

— To trwa już dzień i noc, prawie od tygodnia — wyjaśnił bandyta z bakami, w kwiaciastej kamizelce, dziwnie kontrastującej z jego kowbojskim strojem.

— Podejdźcie do ognia — zaprosił ich Cassidy.

Przykucnął przy ognisku, nalał dwa kubki kawy i podał je Dave'owi i Harlanowi. Wskazał na swych kompanów:

— Mamy tu zgromadzoną samą śmietankę towarzyską — jest Harry Longabaugh, Eka Lay, Bil Carver, Ben Kilpatrick, Harry Logon, a nawet Wielkonosy George chowa się tam, za tymi bokobrodami — roześmiał się, a pozostali mu zawtórowali.

Dave dostrzegł jak wszyscy odwrócili głowy na tętent końskich kopyt. Jeden z nich wstał i poluzował broń w olstrze.

Przybysz: starszy, zniszczony mężczyzna dosiadał urodziwego kasztana. Nadjechał trzymając w ręku kapelusz. Rzucił go Cassidy'emu i rzekł:

— Butch, to jedyny w całym mieście, który będzie na ciebie pasował. — Sztywno zsiadł z konia, zerkając na Dave'a f Harlana. — Szeryf mi powiedział, że jutro o zmierzchu ma was już nie być w tych stronach.

Cassidy zdjął melonik, cisnął go do potoku. Włożył na głowę nowy kapelusz, naciągnął go na oczy, a potem zsunął na tył głowy.

— A ten młody facet, który przyniósł mi kapelusz, to Jefferson David Stoneham, z jakiegoś powodu lepiej znany jako Dakota. On z pewnością nie pochodzi z Dakoty, ale mógł tam kiedyś być.

Dakota zaprowadził swego konia do potoku, dał mu się napić, a następnie uwiązał i przyłączył się do grupy.

— Mam wiadomości, że policja w Denver wie o naszych zamiarach i że czekają tam na nas.

— Nie spodziewałeś się tego? — zapytał Cassidy poważnie.

Przykucnęli w kręgu zbiegów, Dave i Harlan popijali kawę i z przejęciem przysłuchiwali się rozmowie. Od czasu do czasu jeden z rozmówców ożywiał zebranie opowieścią o jakichś minionych wydarzeniach, związanych z łamaniem prawa. Wszyscy zgodzili się co do jednego: razem zdmuchnęliby armię hiszpańską z powierzchni ziemi, ale nikt im na to nigdy nie pozwoli. Doszli do wniosku, że nie będą mogli zaciągnąć się wspólnie. Stróże porządku wiedzieli o ich planach i tylko, na to czekali. Jedynym sposobem było rozdzielenie się i rozjechanie w różnych kierunkach, by wstępować do wojska pojedynczo. Szanse na to, że znów się połączą, aby wspólnie bić Hiszpanów, były niewielkie. Żaden z nich nie omawiał głośno swych planów. Jako doświadczeni zbiegowie nauczyli się na własnym przykładzie, że jeśli ujawnią zbyt wiele, to informacje te mogą dotrzeć do uszu stróżów prawa.

Gdy zebranie miało się już ku końcowi, na polanę wjechał powóz panny Lili, którą niektórzy z obecnych witali po imieniu. Dave'owi i Harlanowi wydawała się piękna i bardzo na miejscu, gdy tak siedziała w powozie, w rękawiczkach i dużym, miękkim kapeluszu na głowie.

— Nie wyjeżdżajcie stąd, chłopcy, nie odwiedzając lokalu Lili — powiedziała patrząc na Cassidy’ego. — To jest miejsce, gdzie zawsze jesteście mile widziani.

Gdy odjechała, bandyci zaczęli komentować zaproszenie.

— Ona jest kapitalna — stwierdził Kilpatrick. — Tam się żaden facet nie zawiedzie. W swoim lokalu ma takie dziewczyny, że oczy wam z orbit powyłażą.

— Wydaliśmy większość naszych pieniędzy — zauważył ze smutkiem ktoś inny.

— Trzeba wyruszyć w drogę, aby powiększyć konto bankowe.

Bandyci stali teraz, szykując się do drogi.

— Czy ktoś tutaj zna człowieka o imieniu Lawton Gary? — zapytał Dave.

Wszyscy znieruchomieli i czekali, patrząc w milczeniu na Dave’a.

W końcu Cassidy przytaknął.

— Siedziałem z nim w Rawlins. Chwalił się, że siedzi za napad na bank, a okazało się, że trafił do paki za zabicie owcy.

Wszyscy zgromadzeni parsknęli śmiechem.

— Dlaczego pytasz?

— Zastanawiałem się tylko, czy ktoś z obecnych nie towarzyszył mu — odparł spokojnie.

Cassidy zaprzeczył ruchem głowy.

— Gary nie był typem, który mógłby zjednać sobie zbyt wielu przyjaciół — powiedział, zdjął nowy kapelusz, wypchnął denko, a następnie uformował nowy rowek pośrodku.

Spojrzał na Longabaugha i Lay'a, i powiedział:

— Może lepiej już ruszajmy, chłopcy. Mamy gdzieindziej coś do załatwienia.

— Potrzebujecie może pomocy? — spytał skwapliwie Harvey Logan.

— Przykro mi, Harvey, ale to jest trzyosobowa operacja.

Kilpatrick spoglądał na Cassidy'ego i dwóch odjeżdżających z nim kumpli.

— On nie chce takich chętnych do strzelaniny zabijaków, jak ty Harve.

Dave i Harlan odjechali, gdy tylko Cassidy i jego dwaj towarzysze zniknęli z pola widzenia. Udali się do Denver, gdzie sprzedali konie i zaciągnęli się do wojska. W niecałe dwadzieścia cztery godziny później byli już w pociągu jadącym do Tampy na Florydzie, na wojnę hiszpańską.

Nad równiną u stóp wzgórz świtało, gdy Coppers dojrzał dużą sosnę, gdzie od głównej drogi odchodziła ledwie widoczna polna dróżka. Drzewo, którego wszystkie konary wyrastały po południowej stronie pnia, przypominało z daleka indiański pióropusz wojenny. Zatrzymał konia. Gdy rozglądał się, powracały wspomnienia dawnych czasów. Nie było to przykre — dodawało otuchy. Był w rodzinnych stronach. On i Harlan wielokrotnie tędy przejeżdżali. Teren był mu dobrze znany. Droga, bardziej przypominająca trop, skręcała na zachód i wiodła przez trawiaste wzgórza obok mrocznego masywu górskiego, rysującego się na tle ciemnoniebieskiego nieba. Prowadząc konia tym szlakiem, zauważył, że od czasu ostatniego deszczu, który pozostawił w sypkim piasku małe zagłębienia, nikt tędy nie przejeżdżał. Minął wzgórza, w których kiedyś ryli swoje dziury poszukiwacze złota. Pokonał coraz gwałtowniej wznoszącą się stromiznę i zjechał na równinę. Gospodarował tu, na stu sześćdziesięciu akrach Max Callum, emerytowany detektyw kolejowy.

Po chwili oglądał z bliska osmalone miejsce, gdzie znajdowała się kiedyś chata Calluma. Powstał tylko kamienny komin, żelazne łóżko i piec, oraz kilka stopionych w ogniu, metalowych sprzętów. Nieduża stajnia była teraz prostokątem z popiołów. Podjechał bliżej i z ulgą stwierdził, że nie widać śladów, aby jakieś zwierzę pozostało wewnątrz stajni. Kilka wychudzonych kurczaków grzebało w pyle wokół miejsca, gdzie stała kiedyś chata i nie zwracało na niego uwagi. Siedział na koniu i zastanawiał się, czy to, co się tu wydarzyło ma jakikolwiek związek z dokonanym w Cheyenne morderstwem na Harlanie Gage'u.

Siodło zaskrzypiało, gdy zsiadł z konia; rzucił wodze, podszedł do miejsca, gdzie była wcześniej ściana i przykucnął, aby włożyć palec w zimny popiół. Nie było sposobu, żeby sprawdzić, kiedy to się stało i dlaczego.

Zdarł warstwę czarnego popiołu i dokopał się do łóżka. Kiedyś spał tu człowiek. Jego kości prawie całkowicie strawił ogień. Z kawałka bizoniej skóry, który oparł się płomieniom, wyglądała zwęglona czaszka.

Pochylił się i spostrzegł niewielki okrągły otwór, tuż nad prawym oczodołem. Max Callum został zastrzelony zanim jego dom ogarnęły płomienie.

Nagle Coppers wyprostował się. Wrócił do srokosza.

— Wygląda na to, Srokaty, że jesteśmy na siebie skazani. Twój zmiennik został uprowadzony wraz z pozostałymi końmi Calluma.

Coppers wsiadł na konia i ruszył na przełaj. Wiedział w którym miejscu wyjedzie na drogę do Rancza G.

Na długo przed zapadnięciem zmroku Coppers rozłożył się w nizinie, gdzie była trawa i woda w potoku. Gdy uwiązywał srokosza, zauważył, że Gage zaopatrzył go w używane lasso. Wszystko bardzo stylowe, pomyślał, ściągając siodło na ziemię.

Rozpalił małe ognisko, przyniósł wody z potoku i postawił garnek z wodą na kawę. Przeglądał zawartość skórzanych toreb przy siodle, żeby sprawdzić w jaką żywność zaopatrzył go Gage, gdy usłyszał nadjeżdżającego konia. Wstał i wyszedł z kręgu światła. Patrzył w kierunku, z którego dobiegał tętent kopyt.

Z ciemności wynurzyła się wysoka sylwetka jeźdźca na okazałym, białym koniu. Zatrzymał konia, zsunął kapelusz na tył głowy i pozdrowił Dave'a.

— No, jak tam, sąsiedzie? — zagadnął jowialnie. — Dość było jazdy, jak na jeden dzień? Bo ja na pewno mam już dość.

Siedział wygodnie rozparty w siodle. W świetle ogniska Coppers zobaczył młodego mężczyznę w efektownym ubraniu, dopasowanym do ozdobionego stroju konia.

— Jestem Gil Tatum — oznajmił — nie masz nic przeciw temu, że się tu zatrzymam i zagrzeję coś do zjedzenia?

— To jest wolny kraj — odparł Coppers, wkraczając w krąg światła.

Gil Tatum zaśmiał się:

— A i owszem, i dziękuję za to Bogu w każdym dniu mego życia. Ty też jedziesz do Yellowstone?

— Nie.

Tatum zsiadł z konia, odpiął popręg i ciężkie, zdobione srebrem siodło. Coppers otaksował jeźdźca: za duży kapelusz, za długie ostrogi i zbyt wiele srebra na kowbojskich skórzanych spodniach i kamizelce. Ten młody człowiek był niedzielnym kowbojem, ale jeździł dobrze i widać było, że to lubi. Jego szeroki, przyjazny uśmiech, przywodził na myśl szczeniaka wesoło merdającego ogonem.

— Mam tylko jeden kubek — zaznaczył Coppers.

— W porządku. Mam własny ekwipunek — Tatum ostrożnie ułożył siodło w bezpiecznej odległości od ognia.

Z łatwością, wskazującą na dużą praktykę, spętał siwka, zdjął mu wędzidło i odegnał.

— Ładny koń — zagadnął żądny pochwał dla swego okazałego wierzchowca.

— Z tych najlepszych — przyznał Coppers.

— Sądząc po zapachu kawa jest już gotowa — stwierdził z zadowoleniem Tatum i wyciągnął blaszany kubek.

Coppers napełnił oba kubki, przycupnął koło ognia i obserwował swego rozmówcę poprzez płomienie. Mierzyli się wzrokiem, tak jak to zwykli czynić nieznajomi na szlaku.

— Jadę do Yellowstone — powiedział, dmuchając na kawę i popijając ją drobnymi łykami — między jednym i drugim słowem. — Mam tam dostać robotę przy koniach. Będę obwoził turystów i pokazywał im okolicę.

Coppers skinął głową.

— Mógłbym pójść pracować do Scotta Tyrella albo Willa Talbota, gdybym chciał, ale nie będę się już wynajmował za rewolwerowca. Ci dwaj walczą ze sobą. Nie słyszałeś o nich?

Coppers zaprzeczył.

— Talbot to najbardziej skąpy sukinsyn w kraju. Nie, żebym miał coś przeciwko owcom, rozumie pan? Ale po prostu nie pracowałbym dla Willa Talbota, nawet, gdybym zdychał z głodu, a i wówczas pewnie bym się nie zdecydował. A Scott Tyrell nie jest wiele lepszy.

— Wygląda, że tam w Yellowstone potrzebują niedzielnych kowbojów. Mnóstwo turystów przyjeżdża na wakacje i wymagają opieki, niczym nowonarodzone cielęta. Jak skończę w Yellowstone, mogę nawet pojechać do Kalifornii. Słyszałem, że człowiek może tam zarobić do pięciu dolarów dziennie, za to tylko, że na filmie trochę pojeździ i pospada z konia. Wierzysz w to?

— Czasy się zmieniają — odparł Coppers.

— Wyglądasz na dobrego kowboja. Dlaczego nie wybierzesz się ze mną do Yellowstone? Nie bardzo lubię podróżować samotnie.

— Mam gdzieindziej spraw- do załatwienia — odrzekł Coppers.

— Tak, tak to już jest — westchnął tamten i postawił kubek na ziemi. — Przyrządzę coś do żarcia. Co byś powiedział na befsztyk?

Coppers ze zdumieniem spojrzał na Tatuma. Młodzieniec uśmiechnął się szeroko.

— Tak naprawdę to jest fasola na bekonie, mam dość dla nas obu.

Coppers usiadł znów na ziemi, obejmując kolana rękami i sączył kawę. Tatum był miłym chłopcem i przypominał mu Harlana Gage'a, kiedy był w tym samym wieku. Czuł, jak na myśl o Harlanie ogarnia go poczucie niewyobrażalnej straty.

Tatum przyniósł zapasy, pokroił ziemniaki na patelnię, dodając kawałki bekonu. Znad patelni unosił się miły zapach, a Tatum mieszał jedzenie nożem, nucąc kowbojską piosenkę. Wyjął blaszaną menażkę i równo podzielił jedzenie.

— Będę jadł z patelni — oznajmił, nakładając Dave'owi jego część do menażki.

Jedli w milczeniu. Potem Coppers zabrał naczynia nad potok i wyszorował piaskiem. Gdy wrócił, stwierdził, że Tatum rozłożył koc po swojej stronie i z nogami przy ogniu leży, paląc papierosa.

Coppers przyniósł swą torbę do ognia i zaczął oglądać grunt, szukając miejsca, aby po usunięciu kamieni i patyków, móc się na nim wygodnie wyspać. Usłyszał miękkie plaśnięcie, które w jednej chwili przypomniało mu San Juan Hill, a dźwięk ten utonął w mściwym huku strzelby. Ciało Tatuma poruszyło się konwulsyjnie i opadło na ziemię. Coppers rzucił się poza krąg ognia. Przyzwyczajony do poruszania się w ciemnościach wpatrywał się w miejsce, z którego padł strzał. Było zupełnie ciemno. Słychać było jedynie szmer wiatru w zaroślach i cichy szum potoku.

Z wolna, z bronią gotową do strzału, Coppers podążał w kierunku, z którego oddano strzał. Wpakował się w gąszcz kolczastych pnączy i musiał się cofnąć. Stanął w pół kroku i odwrócił w stronę, z której dobiegł tętent konia ruszającego z miejsca galopem. W chwilę później, gdy już uwolnił się od jeżyn, odgłos cwałującego konia ucichł.

Czerwone oko ogniska zdawało się do niego mrugać. Gdy wrócił — był zdecydowany. Nic nie mogło mu przeszkodzić w wykonaniu czekającego go zadania. Ukląkł przy Tatumie i bez nadziei próbował wyczuć jego puls. Poczuł, jak w czasach wojny, tchnienie nagłej śmierci. Chłopak miał przestrzeloną głowę — pociskiem dużego kalibru (Coppers oceniał, że mógł to być kaliber 40-44), który wszedł cal pod prawym okiem i wyszedł z tyłu głowy. Zmarł natychmiast.

Spojrzał na Tatuma, zastanawiając się dlaczego go zabito, a jego, Coppersa, oszczędzono. Zabójca mógł z łatwością dostać ich obu.

Biorąc pod uwagę te nikłe informacje, jakie miał o Tatumie, od razu uznał, że tamten nie był bandytą. Coppers sądził, że był dokładnie tym, za kogo się podawał: ambitnym, śmiałym, lekkomyślnym młodzikiem, który już przy pierwszym spotkaniu budzi sympatię, i zaufanie. Coppers wiedział, że zbieg, człowiek ścigany, ubiera się o wiele spokojniej. Bandyta nie zwraca na siebie uwagi jaskrawym strojem. Większość z nich dosiada gniadych lub karych koni, których barwa zlewa się z otoczeniem.

Nie, Tatum nie był bandytą.

Z ciężkim sercem Coppers osiodłał potężnie zbudowanego, białego konia, przerzucił ciało Tatuma przez grzbiet zwierzęcia i przymocował do siodła. Przygotował do drogi srokosza i jeszcze raz rzucił okiem na obozowisko. Zasypał piaskiem dogasający ogień. Dosiadł srokosza, zebrał wodze siwka i skierował się do Arapaho, najbliższego miasta na drodze do celu.

6

Dotarł do Arapaho przed północą i zatrzymał się przed ciemnym budynkiem z napisem: „Szeryf”.

Jedynie w dwóch budynkach w mieście paliło się światło, oba były saloonami. Biały koń zarżał, a srokosz mu zawtórował.

Przywiązał konie do barierki. Wydało mu się, że do drzwi była przyczepiona jakaś kartka. Przeszedł przez niewielką werandę i zapalił zapałkę; pochylił się, ale nie mógł odczytać gryzmołów z kartki, sprawiającej wrażenie jakby wisiała tu od czasu postawienia tego budynku.

Miał już zawrócić, gdy usłyszał dobiegające zza ściany, hałaśliwe chrapanie. Pchnął drzwi, które okazały się być otwarte. Wszedł, pochylony, do ciemnego pokoju, w którym czuć było potem i olejem do czyszczenia broni. Starając się przeniknąć wzrokiem ciemność, zawołał:

— Jest tam kto?

Odpowiedziało mu jeszcze jedno chrapnięcie i trzeszczenie łóżka.

— Już, chwileczkę.

Błysnęła zapałka i Coppers ujrzał staruszka z białymi, krótkimi bokobrodami, siedzącego na brzegu wojskowej pryczy. Ubrany był w bieliznę z czerwonej flaneli i mrużył oczy od światła gasnącej zapałki. Człowiek ten wywołał w umyśle Coppersa jakieś odległe wspomnienia.

— Zapalę lampę — rzekł Coppers, potarł zapałkę o kciuk i podszedł do biurka z żaluzjowym zamknięciem, stojącego w kącie niewielkiego gabinetu. Podniósł szklany klosz, przyłożył zapałkę do knota i wyregulował płomień. Odwrócił się i nagle uświadomił sobie, że ten człowiek to Al Hunter, były stróż porządku w Laramie z czasów, gdy Coppers był dzieckiem. Widział Ala Huntera po raz ostatni w dniu, w którym zamordowano jego rodziców. Było oczywiste, że Hunter go nie poznaje, ostatecznie, myślał, miałem wtedy zaledwie dziesięć czy jedenaście lat.

Staruszek uniósł głowę. W jego oczach pojawił się błysk złości lub wyczekiwania.

— Co się stało, panie?

— Pan jest tu szeryfem?

Hunter pokręcił przecząco głową.

— W tym mieście nie ma szeryfa od czasu, gdy ostatni z nich próbował powstrzymać awanturę. Ja zostałem odkomenderowany z okręgu. Jestem zastępcą szeryfa. Odpowiadam za prawo i porządek w tych stronach. Czego pan chce?

— Facet o imieniu Gil Tatum jest tam, na zewnątrz, martwy. Został zastrzelony z zasadzki nad Little Medicine Creek.

— Kiedy to się stało?

— Zeszłej nocy, zaraz po zmroku.

— I przywiózł pan ciało tutaj? — w głosie starca wyczuwało się skargę. — Nie mógł go pan zabrać gdzieindziej?

— Arapaho jest najbliżej miejsca, gdzie to się stało.

— Nie domyślasz się kto rozwalił twojego przyjaciela?

— On nie był moim przyjacielem — odparł Coppers ze złością. — Zatrzymałem się na noc, a on nadjechał i poprosił o miejsce przy ogniu. Nigdy przedtem go nie widziałem.

Hunter podniósł się, zrobił krok, potem cofnął się i znowu usiadł. Sięgnął pod pryczę, wyciągnął buty, które zaczął pracowicie nakładać, podczas gdy Coppers niecierpliwił się coraz bardziej.

W końcu starzec znowu wstał. Stąpał ciężko w swych wypchanych na siedzeniu kalesonach. Podszedł chwiejnym krokiem do biurka, drżącą ręką podniósł lampę. Po czym wręczył ją Coppersowi.

— Potrzymaj to cholerstwo, jestem trochę roztrzęsiony.

Coppers wziął lampę i ruszył przodem, podszedł do białego konia, trzymając wysoko lampę.

Hunter aż westchnął za jego plecami.

— Ale miał ładnego konia — powiedział. — Pochylił się, aby przyjrzeć się twarzy Gila Tatuma. — O Boże, pocisk niemalże oderwał mu głowę! Kto, u diabła, mógł zabić takiego młodego, przystojnego faceta? — spojrzał na Coppersa. — Mówił pan, że skąd on jest?

— Nie mówiłem, bo nie wiem — odparł Coppers. — Wspominał, że jedzie do Yellowstone, do pracy przy powożeniu zaprzęgiem i oprowadzaniu turystów. Później wybierał się do Kalifornii, aby pracować przy filmie, czy coś w tym rodzaju.

— Tak, mógł uczestniczyć w przedstawieniach z Dzikiego Zachodu — zauważył Hunter, — turyści lubią takich. Przyjrzałeś się zabójcy?

— Nie. Słyszałem tylko jak odjeżdżał po oddaniu strzału. Było zbyt ciemno na tropienie.

Hunter potrząsnął głową, przeciągnął się, jęknął i wsparł dłonie na krzyżu.

— Jesteś tutaj nowy. Pracujesz dla Tyrella czy dla Talbotta?

— Dla żadnego z nich. Jestem tu przejazdem.

Hunter zmrużył oczy i przyjrzał mu się uważnie:

— Wyczuwam prawo na milę. Jesteś szeryfem, a może kiedyś byłeś?

Coppers zaprzeczył ruchem głowy:

— Jestem po prostu trampem.

— Hm! No, dobrze, lepiej się stąd nie oddalaj, dopóki nie pojadę i nie obejrzę miejsca, gdzie zastrzelono.

— Nie mogę — odpowiedział Coppers — muszę ruszać w drogę.

— Śpieszymy się, co? No cóż, w ostateczności, jako ważnego świadka, mogę cię zamknąć. Sęk w tym, że mam tu już dwóch pasterzy owiec oskarżonych o morderstwo i to cholerne więzienie jest pełne.

— Miałem zamiar zatrzymać się na Porębie B — powiedział Coppers niechętnie. — Jeśli zajdzie potrzeba, można mnie tam będzie odnaleźć.

— U Boyntona, co? Będziesz tam pracował?

— Może, jeszcze nie wiem.

— Cóż, wszyscy oni są tam bardzo dziwni. Nawet najemni pracownicy wyglądają na zabójców.

Coppers chwilę się wahał, zanim zapytał:

— Wspomniałeś, że trzymasz pod kluczem dwóch pasterzy owiec. Czy to znaczy, że toczy się wojna hodowców bydła i owiec?

— Żebyś wiedział, dwóch największych gospodarzy walczy ze sobą na śmierć i życie.

— Kto wygrywa?

Hunter żachnął się:

— W takich wojnach nikt nie wygrywa, chłopaku, nikt!

Coppers włożył migoczącą lampę w drżące dłonie Huntera.

— To dlatego cię tu skierowali?

— Tak jest, dlatego. Jestem tu stale cholernie zajęty. Myślałem, że może przyniosłeś jakieś złe wieści o Tyrellu i Talbocie, tych dwóch, którzy rozpętali tu piekło.

Coppers odwiązał i osiodłał konia:

— Do zobaczenia zastępco — powiedział i zawrócił.

— Chwileczkę, zaczekaj, jak się nazywasz? — krzyczał Hunter.

Coppers nie odpowiedział. Jechał dalej tą samą drogą, którą wjeżdżał do miasta. Tylko raz obejrzał się za siebie, aby zobaczyć zastępcę szeryfa, jak z lampą w ręku spogląda za nim. Cholernie dobry początek, pomyślał posępnie po raz kolejny.

7

— Tracisz ich wszystkich — powiedział sobie Dave Coppers.

Zbliżało się południe. Był w pobliżu, gdy zamordowano trzy osoby: Gage'a, Maxa Calluma i dramatycznie młodego Gila Tatuma. Czy te zabójstwa miały ze sobą coś wspólnego?

Instynktownie wyczuwał, że jest coś bardzo ważnego, o czym powinien wiedzieć. Ale nie wiedział. Nawet się nie domyślał. Myśl ta była tak uporczywa, że nie potrafił się jej pozbyć. Nie umiał, jak to zwykle robił, wyrzucić jej ze świadomości.

Brał rzeczy takimi, jakimi były i najpierw robił to, co najważniejsze, a potem dopiero analizował. Od samego początku tej operacji miał wrażenie, że pominięto coś ważnego.

Jego zadanie polegało na odkryciu, kto puszcza w obieg banknoty ze sfałszowanym podpisem władz skarbowych. To było z pewnością najważniejsze. Ale jeszcze coś nieuchwytnego i dręczącego nie dawało mu spokoju.

Gdy się zatrzymał, aby dać srokoszowi napić się, jego czarny cień padał prostopadle do sylwetki. Dave leżał na brzuchu i pił smaczną, zimną wodę. Leżąc tak, dostrzegł w piasku i żwirze ślady wielkiego kota. Tak dużych śladów jeszcze nie widział. Gwizdnął lekko i zaczął badać trop, jaki wiódł od tego miejsca. Kuguar był okaleczony: jego lewa, tylna łapa ledwo muskała piasek nad potokiem, podczas gdy trzy pozostałe wbijały się głęboko w grunt, wskazując na zwierzę o dużej wadze.

Dosiadł konia i przeprowadził na drugą stronę potoku, rozglądając się czujnie, wciąż idąc tropem wielkiego kota. Przez chwilę na zboczu wśród górskich mahoniów dojrzał brązową sylwetkę. Było to o jakieś pół godziny jazdy od rancza.

Dostrzegł jakiś ruch. Tuż poniżej skradającego się kota znajdował się jeździec. Zdawał się być nieświadomy niebezpieczeństwa. Początkowo postawa jeźdźca wydała mu się dziwna, zaraz jednak cicho zaklął, gdy uświadomił sobie, że to kobieta, choć dosiada konia po męsku. Sięgnął do przytroczonego do siodła winchestera i krzyknął ostrzegawczo, jako że zwierzę prężyło się właśnie do skoku. Wyczuwając niebezpieczeństwo, koń obrócił się w nagłym skręcie, przez co omal nie wysadził kobiety z siodła.

Kot ruszył do przodu, machając ogonem i — mimo chorej nogi — nabierając dużej szybkości. To chyba stara kobieta, pomyślał składając się do strzału. Spłoszony koń brykał w tę i z powrotem, wchodząc raz po raz na linię strzału. Klnąc pod nosem Coppers wcisnął strzelbę do schowka, spiął zaskoczonego srokosza ostrogami i w biegu rozkręcił pętlę lassa.

Kot skoczył i wbił pazury w zad konia, ten zarżał przerażony i rzucił zadem, ale nie zdołał się go pozbyć. Coppers wykonał rzut w chwili, gdy walczący o utrzymanie się na końskim zadzie kot, zsunął się nieco do tyłu.

Pętla leciała wysoko ponad celem; w tej samej chwili koń wpadł na sękaty cedr i zrzucił amazonkę. Ten gwałtowny ruch wprowadził kota pod pętlę, która zacisnęła się na jego przedniej łapie. Srokosz wyczuł, że lina się napręża i stanął, ściągając kota na ziemię. Dalej cofał się, trzymając linę w napięciu.

Walcząc z rozdziawionym pyskiem i zębami na wierzchu, wielki kot rzucił się prosto na Coppersa. Ten nie miał czasu na wyjęcie strzelby. Wyszarpnął więc rewolwer i strzelił, trafiając zwierzę w prawą łopatkę. Padając na bok, drapieżnik stał się łatwiejszym celem. Strzelił ponownie, trafiając kilka cali dalej i rozciągając kuguara na ziemi.

Coppers zsiadł i uspokoił drżącego srokosza. Koń kobiety zniknął właśnie za niewielkim wzgórzem w dzikim galopie, ze strzemionami obijającymi się o jego boki.

Przywiązał srokosza do niewielkiego krzaka. Podszedł do kobiety leżącej twarzą do ziemi pod popękanym cedrem. Miała na sobie parę obcisłych levisow i wiązaną w pasie koszulę z jakiegoś przejrzystego materiału, w której wyglądała bardzo pociągająco. Obok jej wyciągniętej ręki upadł czarny kapelusz z szerokim rondem. Coppers nie znał się zbyt dobrze na kapeluszach, ale widząc jej ładnie rzeźbione rysy i ciemne brwi na tle pokrytych zdrową opalenizną policzków, instynktownie zakwalifikował ją do tych z klasą.

Przejechał ręką po czarnym, ostrym zaroście na swej pokrytej bliznami twarzy i pochylił się, aby delikatnie obrócić amazonkę podkładając rękę pod jej głowę. Oczy kobiety pozostały zamknięte, ale słychać było lekki oddech. Na jednym z gładkich brązowych policzków pojawiła się mała stróżka krwi. Odgarnął włosy i dostrzegł miejsce nad uchem, gdzie uderzył konar cedru. Ostrożnie wziął ją na ręce, zdumiony jej lekkością i zaniósł na pokryte trawą wzniesienie obok ścieżki.

Podszedł do konia i wyciągnął spod siodła menażkę. Wrócił do kobiety, podczas gdy srokosz, uspokojony, zaczął się paść.

Młoda, młoda i ładna — myślał, gdy wlewał jej do ust wodę. Rozprysnął kilka kropel na jej twarzy i starł je chustką, którą nosił na szyi.

Ciemne, falujące włosy opadały jej na ramiona, brwi tworzyły kruczoczarny łuk nad pięknie rzeźbioną twarzą. Zastanawiał się jakiego koloru są jej oczy i co też sobie pomyśli, gdy go ujrzy. Może się przestraszy. Były takie kobiety, a także mężczyźni, którzy wzdrygali się na jego widok, nawet wtedy, gdy nie miał na twarzy kilkudniowego zarostu.

Dziewczyna poruszyła się i z wolna otworzyła oczy. Miały odcień zimnoszary i były ocienione ciemnymi, długimi rzęsami.

— Wszystko w porządku, nic pani nie będzie — uspokoił ją, gdy próbowała wstać. Chwycił ją za ramiona, aby pomóc utrzymać równowagę. Nie przestraszyła się ani nie próbowała się od niego odsunąć. Wyciągnęła rękę i lekko dotknęła jego twarzy. Coppers poczuł, jak z jego ciałem dzieje się coś dziwnego.

— Pan jest obcy — szepnęła i uśmiechnęła się, próbując wstać.

Coppers podał jej dłoń, ale żeby wstała, musiał ją chwycić pod ręce.

— Pomogę pani — powiedział. Wciąż się do niego uśmiechała. Jej białe zęby lśniły na tle gładkiej, smagłej twarzy. Patrzyła na niego, a zarazem jakby ponad nim, nic nie widzącym wzrokiem.

— Czy mógłby pan złapać mojego konia...

Coppers spojrzał na nią i ogarnęła go litość.

— Przykro mi, proszę pani — zaczął — nie wiedziałem, że — zawahał się, nie chcąc wymówić tego słowa.

Kobieta zatoczyła się i oparła na jego ramieniu.

— Nie wiedział pan, że jestem niewidoma? — zapytała swobodnie. — A skąd miał pan wiedzieć?

Coppers był przez moment prawie zadowolony, że nie może zobaczyć jego miny. Po chwili jednak zawstydziła go ta myśl.

— Czy mógłby pan przyprowadzić mojego konia — ponowiła prośbę.

— Przykro mi, ale po tym, jak podrapał go ten kot, spłoszył się i uciekł.

Zadrżała.

— A więc zaatakował mnie jakiś drapieżnik? Słyszałam jego głos. Byłam przerażona, bardziej nawet niż Farah, moja klacz — przysunęła się bliżej do Coppersa — a co się stało z kotem?

— Nie żyje — odparł krótko. — Była strasznie wygłodzona, inaczej nigdy by się na panią nie rzuciła.

— Ona? Czy to była kotka?

— Sucha kotka. Sucha? Co to znaczy?

— Nie miała młodych. Była stara, proszę pani, miała jeden zdrowy ząb i okaleczoną łapę.

— Cieszę się, że nie zostawiła żadnych zdychających z głodu kociaków. Jak mam się dostać do domu? Pan wybaczy, nazywam się Aletha Boynton — dodała.

— Jestem Dave. — Pojedzie pani na moim koniu.

— Czy on udźwignie nas oboje?

Wzruszyła go jej troska o konia i dodał:

— Nie chciałbym go teraz męczyć. Przejechał szmat drogi. Przejdę się; zaraz wrócę, tylko zdejmę linę z kota.

Podszedł do kuguara, odwiązał i zwinął lasso, po czym wrócił do srokosza i umocował linę przy siodle. Czuł się trochę nieswojo. Nigdy nie był nieszczery i jakikolwiek fałsz, choćby drobny, przeszkadzał mu.

— W porządku — powiedział sadzając ją w siodle. Zapytał, jak się czuje.

Skinęła głową i uśmiechnęła się:

— Dziękuję, dobrze. Jest pan bardzo miły.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Trzymał wodze w ręku i prowadził srokosza. Niewielki bucik, poruszany z rytmem jazdy, ocierał się od czasu do czasu o jego ramię. Spojrzał w górę na jej twarz i spostrzegł, że wciąż się uśmiecha. Jest szczęśliwa, pomyślał, zastanawiając się, jak to możliwe, aby ktoś, kto nie widzi wschodów i zachodów słońca, gór i drzew, potrafił promieniować uczuciem szczęścia i zadowolenia. Nie chciał myśleć o tym, jaka może być jej rola w fałszerstwie.

— Mieszkamy na Ranczo G — wyjaśniła, — mój dziadek i ja. Teraz jest to Poręba B. Może pan zostać na ranczo i odpocząć. Albo, gdyby pan zechciał, mógłby pan tu pracować.

Jej ręka spoczęła przez chwilę na jego ramieniu i Coppers ponownie doznawał tego dziwnego uczucia, jakie ogarnęło go, gdy dotknęła jego twarzy. A może wywołane to było faktem, że trafił we właściwe miejsce dla swych poszukiwań... O ile Poręba B jest siedzibą gangu.

— Chciałabym się panu jakoś odwdzięczyć.

— Ależ nie ma za co.

— Jeśli się pan zdecyduje — ciągnęła — jestem pewna, że Lute, nasz zarządca, zatrudni pana. Stale narzeka, że ma za mało ludzi do pracy.

Coppers milczał i rozmyślał o tym, że jak dotąd, widział bardzo mało bydła, były to sztuki wychudzone, z wystającymi żebrami i na ogół bez przychówku. Przypomniał sobie też przewrócone w wielu miejscach ogrodzenie, gnijące słupki i obwisły drut. Rowy melioracyjne pełne zielska i krzewów dopełniały obrazu beznadziejnego zaniedbania i rozkładu.

Zatrzymał srokosza. Zza wzgórza wynurzyli się trzej jeźdźcy, prowadząc klacz, która, najwidoczniej podrapana i poobijana, uciekła na ranczo. Jeźdźcy, nie zwalniając, kierowali się wprost na nich.

— To nasi chłopcy — powiedziała Aletha.

Tętent kopyt stawał się coraz głośniejszy. Gdy trzej mężczyźni znaleźli się w odległości dwunastu stóp od nich, zatrzymali się, jak na komendę, a konie przebierały nogami i gryzły wędzidła.

Wysoki mężczyzna na siwku podjechał bliżej. Z ciemnobrązowej twarzy bez wyrazu podejrzliwie badały Coppersa jego lodowato-niebieskie oczy. Przyjrzawszy mu się, przeniósł wzrok na Alethę.

— Niepokoiliśmy się bardzo, panno Boynton — powiedział, a jego, tym razem zaciekawione i wyzywające spojrzenie, zwróciło się znów na Coppersa. Ściągnął z głowy kapelusz i przetarł twarz zawiązaną na szyi chustką. Jego falujące blond włosy połyskiwały w słońcu.

— Koń panienki wrócił z zakrwawionym zadem. Mówiłem już, że nie powinna panienka jeździć sama — mówiąc nie odrywał wzroku od Coppersa.

— Ah, Lute, umarłabym, gdybym musiała ciągle siedzieć na ranczo.

— No pewnie — przerwał jej Lute — toteż każdy z nas z przyjemnością dotrzyma panience towarzystwa, kiedy tylko panienka zechce.

— Lute, to jest Dave — gdy się odezwała, na jej twarzy pojawił się upór. — Uratował mnie przed biednym, zgłodniałym, starym kuguarem. Dave, to jest Lute, który jest zarządcą na Porębie B i uważa, że powinnam ciągle siedzieć w domu.

— To byłoby trudno osiągnąć — stwierdził Coppers.

Lute Farnell patrzył na niego z groźną miną. Skrzyżowali nieprzyjazne, taksujące spojrzenia. Coppersowi nie spodobało się to, co zobaczył i nie próbował tego ukryć. Zbyt przystojny — pomyślał z goryczą — i pewny siebie jak byk medalista.

Obaj mężczyźni towarzyszący Farnellowi poruszyli się, a jeden z nich powiedział:

— Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, szefie, to będziemy wracać — miał szare bokobrody, wyszczerbione zęby, a na brodzie plamę od soku tytoniowego.

Coppers ukradkiem zerkał na tego mężczyznę, próbując przypomnieć sobie, gdzie go spotkał.

— W porządku, Dakota — skinął na znak zgody Farnell. — Ty i Slim znajdziecie sobie w pobliżu domu coś do roboty na resztę dnia — odprawił ich, a sam chwycił oburącz wąską talię Alethy.

— Przyprowadziłem konia panienki.

— Ten koń jest okaleczony — powiedział Coppers — nie powinno się go dosiadać, póki nie zostanie opatrzony — spoglądał w ślad za odjeżdżającymi pędem kowbojami.

Aletha zdecydowanie zdjęła dłonie Lute'a ze swojej talii.

— On ma rację, Lute. Dojadę na tym koniu, nic mi nie będzie. — Odwróciła głowę w stronę Coppersa — Dave zostanie z nami jakiś czas. Później postanowi, czy będzie u nas pracował.

Twarz Lute'a Farnella pociemniała ze wściekłości. Jednak gdy się odezwał, głos jego brzmiał spokojnie i pewnie.

— Jak sobie panienka życzy — odparł — pojadę przodem Aletho, bo z tym facetem, idącym na piechotę, to jeszcze potrwa.

Wsiadł na konia, dał mu ostrogę i szybko odjechał.

W tej właśnie chwili Coppers. przypomniał sobie, że Dakota był jednym ze zbiegów ze Steamboat Springs. To on przywiózł kapelusz dla Butcha Cassidy zamiast melonika, który Butch miał na sobie, gdy Coppers ujrzał go po raz pierwszy.

Coppers i Gage spotkali się z Dakotą jedynie przelotnie, ale Dave był zaniepokojony. Czy Dakota go rozpoznał?

8

Idąc obok srokosza, Coppers myślał o Farnellu. Ten człowiek był od pierwszej chwili nastawiony do niego wrogo, nawet jeżeli potrafił skutecznie ukryć to przed Alethą. Coppers zastanawiał się, czy Farnell był dość sprytny, aby pokierować operacją fałszowania i puszczania w obieg banknotów. Spojrzał na jadącą obok uroczą kobietę. Było oczywiste, że ufała Farnellowi i musiało to o czymś świadczyć.

— Czy zawsze była pani... — przerwał w pół zdania, czując, że nie powinien o to pytać.

— Och, nie musisz być taki delikatny, Dave. Moją ślepotę spowodował wypadek.

— Nie musi mi pani o tym mówić.

— Wiem. Każdy mi współczuje, gdy się o tym dowie. Nauczyłam się jakoś sobie radzić.

— Jestem pewny, że tak jest.

— Właśnie, że mi nie wierzysz! Cóż, dzisiejszy wypadek nie powinien się był wydarzyć. Farah, moja klacz, jest przyuczona do jazdy po tej trasie — równa się ona godzinnej przejażdżce. Wszystko przez tego kota.

— Nigdy wcześniej nie słyszałem, aby kuguar zaatakował człowieka, ale ten był stary i bardzo głodny.

— W każdym innym wypadku Farah potrafiłaby prześcignąć kota.

Coppers nie opowiedział jej, w jaki sposób dzikie zwierzę skradało się i rzuciło na konia.

— Moja matka, ojciec i ja wybraliśmy się na żaglówkę — zaczęła nagle Aletha. — Nadeszła burza, straszna niczym tornado, złamał się maszt i uderzył mnie. Straciłam przytomność, a gdy ją odzyskałam, łódki już nie było. Nie było też moich rodziców. Wkrótce potem straciłam wzrok.

— O Boże — wyszeptał Coppers i podnosząc głos powiedział: — Współczuję pani, bardzo pani współczuję.

Przez chwilę w milczeniu rozważał to co usłyszał, a potem zapytał:

— Jak wydostała się pani na brzeg?

— Jako jedyna z całej trójki miałam kamizelkę ratunkową.

Droga, którą Coppers tak dobrze pamiętał, przecinała niewielkie wzgórze ponad ranczem. Coppers wspiął się na wzniesienie i zatrzymał; zatrzymał się też srokosz. Coppers patrzył: stary dom ranczerski zniknął a na jego miejscu powstał ładny, dwupiętrowy, kamienny budynek. Stajnia i inne zabudowania pozostały te same, a główny budynek mieszkalny wyglądał na ich tle jak zamek.

— Co się stało? — zapytała Aletha.

— Jesteśmy na wzgórzu nad ranczem — odparł. — To naprawdę wspaniałe miejsce.

— Dziadek wiedział dokładnie czego chce — uśmiechnęła się. — Cieszę się, że ci się podoba.

Szli dalej — obok zagrody, stajni i innych zabudowań gospodarskich. Coppers zatrzymał konia przed domem i pomógł Alecie zsiąść. Z domu wyszedł stary Murzyn i zaopiekował się nią.

Coppers patrzył jak wchodzą do środka, następnie poprowadził srokosza w stronę baraku. Wyciągnął swoje rzeczy zza tylnego łęku siodła i rzucił worek pod stopniami baraku. Zaprowadził srokosza do stajni, gdzie wytarł go dokładnie przed wpuszczeniem do boksu. Po napełnieniu koryta sianem, wrócił do miejsca, w którym rzucił swój wojskowy worek. Właśnie się pochylał, aby go podnieść, gdy za plecami usłyszał zimny, spokojny głos Farnella:

— Zostaw to tam gdzie jest, kowboju.

Coppers wyprostował się, trzymając worek w lewej ręce i z wolna odwrócił się. Przez chwilę patrzył w nieprzeniknione oczy Farnella, po czym wzruszył ramionami i opuścił worek na ziemię.

Farnell uśmiechnął się blado i pogardliwie wydął wargi.

— Oczywiście chcemy, żebyś się posilił przed dalszą drogą — powiedział szyderczo.

Skierował konia w stronę stajni. Coppers patrzył jak wjechał do stajni, a sam ruszył do baraku. Mały, szczupły mężczyzna, nazywany przez Farnella Dakotą, siedział na swej pryczy ze skrzyżowanymi nogami.

— Sie masz — zagadnął przyjaźnie, ukazując swój wyszczerbiony uśmiech — nie zwracaj zbytniej uwagi na Lute'a. On ma zupełnego bzika na punkcie panny Boynton.

— Zamknij się, Dakota. Zawsze rozpuszczasz tę swoją niewyparzoną gębę, kiedy powinieneś być cicho — zareplikował drugi, smukły, garbiący się kowboj z blizną na szczęce.

— Nie ma prawa zabraniającego mówić, co Slim? — powiedział Dakota, robiąc oko do Coppersa.

— Gdyby było, już byś siedział — burknął Slim i wyszedł na zewnątrz.

— Przemiłe z was towarzystwo — orzekł Coppers.

Przejechał ręką po swoim ciemnym zaroście i zapytał:

— Masz brzytwę, Dakota? Zgubiłem swoją gdzieś po drodze.

Wcześniej myślał o zapuszczeniu brody, ale spotkawszy Alethę, zmienił zdanie, choć sam sobie zadawał pytanie, skąd ona będzie wiedziała, czy się ogolił czy nie. Nieważne. Ogolony będzie się czuł lepiej.

— Swojej nie mam — machnął ręką Dakota, ale Lute ma, zaraz ci ją przyniosę.

— Lepiej nie — poradził Coppers. — Lute'owi to się nie spodoba.

Dakota już szperał na półce, i zanim Coppers zdążył znów zaprotestować, stary wręczył mu brzytwę.

— Do dzieła — zaśmiał się. — Lute'owi to wcale nie przeszkadza.

Coppers wzruszył ramionami i rozebrał się do pasa. Wyszedł na położoną w głębi werandę i ogolił się przy małym, przybitym do ściany lusterku. Umył twarz i wytarł się. Stał przez chwilę na werandzie, patrzył jak słońce zniża się ku znajomym wierzchołkom gór i na moment pogrążył się w błogostanie. Miał jakieś dobre przeczucie. Wrócił do baraku i wręczył

brzytwę Dakocie. Wszedł Farnell, a za nim Slim. Farnell schylił się, odwrócił.

— Do cholery, to moja brzytwa — oświadczył.

— Nie denerwuj się, Lute — wycedził Dakota — ja mu ją pożyczyłem.

— Ale masz tupet, żeby pożyczać coś, co do ciebie nie należy.

— Dobrze już, dobrze, Lute — mówił Dakota pojednawczo, choć w jego głosie dźwięczała nutka ironii.

Coppers czuł, że coś wisi w powietrzu. Jego pas z bronią leżał na pryczy, oddalonej o dziesięć stóp, a to oznaczało, że jest równie odległy jak góry.

Nagle Farnell rozluźnił się, a na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

— W porządku — powiedział — człowiek musi się ogolić raz na jakiś czas — podszedł do swojej pryczy i usiadł.

Slim w milczeniu zajął sąsiednią i obaj obserwowali, jak Coppers wciąga na siebie czystą koszulę.

— Przed którym szeryfem uciekasz? — zagadnął Farnell.

— Przypuszczalnie przed tym samym co i ty — odparował Coppers.

Dakota roześmiał się cicho, Farnell rzucił mu gniewne spojrzenie, które jednak nie powściągnęło starego.

Rozległo się niepewne, bojaźliwe pukanie i powoli otworzyły się drzwi. Do pokoju niezdecydowanie wszedł ten sam stary Murzyn, którego Coppers widział wcześniej.

— Czego, u diabła chcesz, Wash? — zapytał Farnell. Wiesz, że nie lubię, kiedy tu przychodzisz.

Wash rozglądał się bez słowa, póki jego wzrok nie spoczął na Coppersie.

— Panna Boynton mówi, żeby pan przyszedł na kolację — powiedział — za dziesięć minut zaczynamy jeść.

— Ukłonił się sztywno i zaczął cofać w stronę drzwi, wciąż bojaźliwie zerkając w kierunku Farnella.

— Hi, hi — zachichotał Dakota — coś mi się zdaje, że stary Lute będzie miał rywala, hi, hi, hi.

— Zamknij się cholerny stary durniu — rzucił Farnell — wiesz, że nie wpuszczam czarnych do mojego baraku. — Wstał z pryczy i ruszył z tężejącą twarzą na Coppersa.

— Nie chcę kłopotów, Farnell — powiedział Coppers. — To czego chcę i potrzebuję, to smaczne jedzenie i domyślam się, że ten stary umie gotować. Zbyt długo już żyję królikami.

— Wyglądasz mi na to — rzekł Farnell — wszystko, poza tym modnym kapeluszem, na to wskazuje. Skąd go masz?

— Czy coś jest nie tak z moim kapeluszem?

— Nie pasuje do reszty twojego stroju — oświadczył Farnell.

— Wziąłem go przez pomyłkę — odparł Coppers ostrożnie. Zmuszał się do znoszenia wszystkich obelg Farnella, bo gdyby go wyzwał do walki mogłoby to się źle skończyć.

— Tak, tak — powiedział Farnell z powątpiewaniem — a poprzedni właściciel pewnie leży gdzieś naszpikowany ołowiem.

— Nie masz prawa mówić takich rzeczy, Lute — wtrącił Dakota.

— Któregoś dnia się doigrasz, stary — odburknął Farnell. Jednak wrócił do swojej pryczy i usiadł.

— Wszyscy się doigramy — odparł Dakota.

Coppers wziął swój pas z bronią, włożył go i od razu poczuł się lepiej. Było oczywiste, że pojawienie się Coppersa na ranczo bardzo zmartwiło Farnella. Zarządca należał do tego typu ludzi, jakich Coppers niezbyt szanował. Tamten prowokował go, chcąc zmusić do przyjęcia walki. W innych okolicznościach zgodziłby się z przyjemnością.

Skinął wszystkim i opuścił barak. Był zadowolony czując coraz chłodniejszy powiew nocy. Wciągnął głęboko rozrzedzone, górskie powietrze, a jego wydech brzmiał jak westchnienie ulgi.

Wszedł na stopnie ganku, ciągnącego się po obu stronach budynku mieszkalnego. Na końcu ganku lekko kołysały się na wietrze wahadłowe drzwi. Czuł jak każdy podmuch przynosi zapach sosen, szałwii i dzikości. Na jego pukanie Wash otworzył drzwi kłaniając się.

— Przykro mi, psze pana — powiedział cicho, wskazując na pas z bronią — panienka Boynton, ona nie znosi tych rzeczy w domu.

Coppers wzruszył ramionami:

— A skąd będzie wiedziała? — zapytał.

Wash uśmiechnął się, ukazując rząd równych, białych zębów.

— Nie wiem jak ona to robi, proszę pana, ale z pewnością wie.

Coppers potrząsnął głową:

— Macie tu szemrane towarzystwo, Wash — oznajmił — bez broni nie czułbym się bezpiecznie.

— Dobra, szefie, nic się tu panu nie stanie, proszę pozwolić, zabiorę to do kuchni. A oddam jak pan będzie wychodził.

— Niech i tak będzie — zgodził się Coppers, niechętnie odpinając pas i wręczając go Murzynowi.

— Proszę tędy, sir — rzucił Wash i ruszył w głąb domu. Położył pas na stole i otworzył drzwi na korytarz. — Prosto tym korytarzem, psze pana.

Coppers wszedł do pokoju i poczuł lekki zapach fiołków.

— To Aletha — pomyślał.

Rozejrzał się szybko po pokoju, obejmując wzrokiem kolorowe, indiańskie dywany, które pokrywały całą podłogę i wisiały na ścianach. Toporne, ale wygodne, ręcznie ciosane meble nadawały pokojowi wyraz prostej elegancji. Na końcu wielkiego pokoju, w dużym kamiennym kominku tlił się ogień. Obok kominka, w fotelu na kółkach, siedział starszy człowiek. Jego śnieżnobiałe włosy i broda połyskiwały w świetle kominka, gdy dawał Coppersowi znaki, by podszedł bliżej.

— Witamy przybysza na Porębie B — powiedział głosem delikatnym i uprzejmym, przeciągając słowa. — Przypuszczam, że to pan jest człowiekiem, który pośpieszył Alecie z pomocą.

Uścisk dłoni starego nie zdradzał szczególnej słabości — pomyślał Coppers.

— Dla każdego pomaganie jej byłoby dużym zaszczytem, panie Boynton.

Boynton przyglądał mu się spod krzaczastych, białych brwi, swymi bladoniebieskimi, żywymi i czujnymi oczami.

— Nie jestem tego taki pewien — odparł — być może piętnaście, dwadzieścia lat temu... Teraz do tego kraju przyjeżdża nowy rodzaj ludzi. To już nie to co kiedyś.

Podniósł głowę i głośno zawołał:

— Washington, ach Washington, chodź tu zaraz.

— Tak, psze pana — odpowiedział Washington, z szacunkiem stając przed starym.

Boynton spojrzał na Coppersa:

— Napije się pan czegoś, zanim podadzą kolację?

Coppers skinął na znak zgody. To wszystko nie trzymało się kupy. Z jednej strony dom, w którym mieszkali Boyntonowie, a z drugiej to stare, zrujnowane ranczo, z walącymi się budynkami gospodarskimi, gnijącym ogrodzeniem i tymi wszystkimi oznakami zaniedbania. To do siebie nie pasowało. Coppers nie dostrzegł nigdzie większej ilości bydła albo siana. Zastanawiał się, skąd się tu biorą pieniądze. Głowił się nad tym ledwie słuchając tego, co mówi Boynton, gdy Washington przyniósł małe kieliszki wypełnione ciemnym winem.

Boynton wzniósł toast za zdrowie i pomyślność Coppersa. Ten skosztował wina i stwierdził, że jest wytrawne, cierpkie i miło drażniło podniebienie. W miarę jak wino rozgrzewało jego ciało, czuł wywołany głodem ucisk w żołądku.

Boynton odwrócił głowę, a w ślad za nim odwrócił się Coppers. U stóp schodów; uśmiechnięta, z podniesioną głową i ręką na poręczy, stała Aletha Boynton. Coppers zastanawiał się, czy ona zawsze się uśmiecha i czy robi to dla ukrycia swojej ślepoty.

Jej uroda sprawiała mu ból. Ubrana była w suknię z białego zwiewnego materiału, podkreślającą jej kształtną figurę. Ze swymi jędrnymi, młodymi piersiami, smukłą talią i krągłymi biodrami przypominała prawdziwą księżniczkę. Nieświadomie Coppers wyprostował się, trzymając wciąż maleńki kieliszek w swej wielkiej dłoni. Jego wzrok napotkał przenikliwe spojrzenie starego, więc odwrócił oczy.

Aletha zeszła ze schodów i stanęła obok Coppersa.

— Jesteśmy szczęśliwi, że jesteś tu z nami, mam nadzieję, że dziadek nie zanudził cię na śmierć.

— Słuchałem z przyjemnością — zaprzeczył Coppers, próbując sobie bezskutecznie przypomnieć o czym stary w ogóle mówił.

Uśmiechnęła się, biorąc go pod rękę:

— Lute nie potrafi usiedzieć spokojnie, gdy dziadek zaczyna rozprawiać o starych dobrych czasach.

Coppers poczuł ciepło jej dłoni na swoim ramieniu i zapragnął, aby tam pozostała. Pragnął też wybiec stąd na łeb na szyję, świadomy, że ma na sobie pogniecioną koszulę, brudne levisy i zdarte buty. Ale przede wszystkim był świadom swej zniszczonej, pokrytej bliznami twarzy i zastanawiał się, co też powiedziałaby Aletha, gdyby mogła go zobaczyć.

Ale ona przemawiała radośnie i potrafiła tę swoją radość przelać również na niego.

— Mamy szczęście, że akurat tędy przejeżdżałeś, Dave. Lute i chłopcy tak ciężko pracują.

— Ten Farnell jest pierwszorzędny — oznajmił Boynton, gdy Wash wszedł, by powiedzieć, że kolacja gotowa i przewieźć go w fotelu na kółkach do jadalni.

Gdy już wszyscy zostali usadzeni przy stole, Boynton podjął pierwszy wątek:

— Nie mieliśmy zbyt wiele czasu, kiedy przyjechaliśmy z Wirginii i kupiliśmy to ranczo. Moje zdrowie uległo, jak mi się zdawało poprawie. Przynajmniej z początku pomogło mi świeże, górskie powietrze, ale potem znów mi się pogorszyło. Lute sprawił, że ranczo zaczęło przynosić dochód i to pomogło. Sądzę, że teraz potrzeba mu jeszcze jednego pomocnika.

— O tej porze roku zdobycie dobrych ludzi nie powinno być trudne — powiedział Coppers, zaintrygowany ostatnim zdaniem Boyntona. Gdyby był on tym, który puszcza w obieg fałszywe pieniądze, to czyż nie pomógłby Lute'owi w pozbyciu się obcego?

— Jesteśmy za daleko od traktu — odparła Aletha. — Mało kto tu zagląda. Nasi najbliżsi sąsiedzi: Mel Bennion wraz z rodziną mieszkają na BOX MB, dwadzieścia mil stąd.

— Powinien raczej z łatwością zdobyć jeszcze jednego jeźdźca — powiedział Coppers.

Boynton zaśmiał się:

— Lute'owi ogromnie trudno dogodzić. On nie weźmie byle kogo.

Gdy myślał o Slimie, który oczywiście był rewolwerowcem i o Dakocie, którego znał jako starego bandytę, słowa Boyntona wydały mu się pozbawione sensu. Ogarnęło go narastające uczucie zawodu, tłumione do pewnego stopnia przez wyśmienitą kolację przygotowaną przez Washa. Nigdy wcześniej żaden posiłek mu tak nie smakował. Jednocześnie uświadomił sobie, że przecież Ida Mae Courtney stale podawała mu w swym waszyngtońskim pensjonacie dobre jedzenie. To musi być przez tę wysokość — pomyślał...

Jego rozmyślania przerwał Boynton: — ...A jeśli Lute będzie powiększał zyski tak jak dotychczas, Aletha będzie mogła wrócić na Wschód i pójść do tego specjalisty od chorób oczu.

Aletha namacała rękę dziadka i położyła na niej swoją dłoń.

— Jestem pewna, że nie powinieneś nawet o tym myśleć, a co dopiero mówić.

— Chodzi panu o to, że ona mogłaby... — Coppers utknął w pół zdania.

— Tak, jest prawdopodobne, że w wyniku pewnego zabiegu, jakich teraz się już dokonuje, Aletha będzie mogła znów widzieć. Oczywiście ja, nie, jestem już za stary. Byłaby to strata pieniędzy.

Był to pierwszy sygnał, mówiący o tym, że wzrok starego jest uszkodzony. Ale jeśli Boynton nie widzi, to jak może fałszować banknoty?

Coppers podniósł oczy i dostrzegł na twarzy starego wyraz świadczący o tym, że oczekuje on odpowiedzi na zadane pytanie.

— Przepraszam, nie dosłyszałem pańskiego pytania.

— Pytałem, czy zamierza pan u nas zostać.

Skinął na Washa, Murzyn przeprowadził jego wózek do salonu. W ślad za nim udali się Coppers i Aletha. Dziewczyna podeszła do fisharmonii i zaczęła cicho grać przejmującą piosenkę. Stał oparty o kominek, ostrożnie skręcając papierosa.

Coppers wiedział, że jeśli tylko będzie miał po temu okazję, pozostanie w Porębie B. Zważywszy na zaproszenie Alethy i Boyntona, wyglądało na to, że ją ma. Wątpił, że to odległe ranczo stanowi bazę dla nielegalnych operacji, ale uznał, że sprawdzenie tego nie zajmie mu zbyt wiele czasu. No i była jeszcze Aletha, która go fascynowała.

Z tych rozważań wyrwał go nagle, dochodzący z daleka odgłos wystrzału. Spojrzał na Alethę i dostrzegł, że trzyma głowę prosto, a jej rysy wyrażają czujność, lecz nie przestrach. Po chwili ciszy, nieco bliżej, rozległy się trzy szybkie strzały. Następnie dało się słyszeć bezładną strzelaninę. Coppers wybiegł z pokoju w poszukiwaniu Washa, aby odebrać swoją broń.

Brzmiało to tak, jak gdyby w niezbyt odległej okolicy toczono walną bitwę.

Usłyszał wołanie Alethy, kiedy Wash nadszedł z kuchni z jego pasem w ręku. Coppers wyrwał mu go i założył, wychodząc tylnymi drzwiami w nocny mrok. Orientując się według żółtych błysków, szedł pomiędzy zagrodami w stronę pastwiska południowego.

9

Noc rozbrzmiewała hukiem wystrzałów, które odbijały się echem wśród wzgórz. Kryjąc się i skradając, Coppers okrążył stajnię, trzymając się z dala od zrujnowanego budynku, aby mieć lepszy przegląd sytuacji. Szedł w kierunku wykwitających wśród nocy błysków. W opuszczonej dłoni trzymał rewolwer.

Przeszedł ledwie kilkanaście kroków, kiedy z innej strony rozległ się, strzał, jakieś dobre sto jardów od miejsca, gdzie po raz pierwszy dojrzał błyski.

Stanął i zlustrował teren, zdziwiony tą bezładną strzelaniną w środku nocy. Od czasu do czasu widział błyski spalonego prochu, a płomień zdawał się być zwrócony ku górze. Ktoś strzelał w nocne niebo. Ale dlaczego?

Wspiął się na wzniesienie położone bezpośrednio nad stajnią i uklęknął w cieniu kępy wonnych sosen. Patrzył i nasłuchiwał. Dłuższą ciszę przerwała kolejna strzelanina w dwóch różnych miejscach. Mimo iż teraz znajdował się wyżej, nie mógł dostrzec błysku wystrzałów. Nie był pewien, czy strzelcy nie zmienili dotychczasowych pozycji.

Wśród zalegającej ciszy czekał, od czasu do czasu spoglądając w niebo, aby ustalić pozycję Syriusza. Gdy uznał, że od ostatniego wystrzału minęło już pół godziny, zaczął się podnosić po to tylko, aby na odgłos zbliżających się, niepewnych kroków znów przypaść do ziemi. Sylwetka mężczyzny wyłoniła się poniżej i gdy tamten zbliżył się, Coppers podniósł rewolwer, mówiąc:

— Stać, nie ruszać się.

Mężczyzna stanął jak wryty z na wpół podniesionymi rękami.

— To ja, Slim.

Coppers wstał i ruszył do przodu z rewolwerem w pogotowiu.

— Co się tu dzieje?

— Nie wiem. Usłyszałem strzały i w ogóle, no i przyszedłem sam zobaczyć. Ja i Dakota.

— Gdzie jest Dakota?

— Nie wiem. Ja poszedłem jedną stroną strumienia, a on drugą. Nie udało się odkryć kto to tak strzela. Może złodzieje bydła?

Mało prawdopodobne — pomyślał Coppers. Tu nie ma bydła, które można by ukraść. Zachował jednak te myśli dla siebie.

W końcu odezwał się:

— Wracajmy do baraku.

— Nie mów mi co mam robić — mruknął Slim, ale poszedł sobie.

Coppers odczekał aż ucichną kroki Slima. W tym odkrytym miejscu noc była spokojna, gwiazdy jasne, wydawały się być w zasięgu ręki.

Najmniejszy dźwięk rozniósłby się echem. Kiedy powoli i bardzo ostrożnie szedł w stronę domu, czuł zimny wiatr wiejący od gór.

Coppers nie zamierzał podsłuchiwać rozmowy nie przeznaczonej dla jego uszu. Z chwilą rozpoczęcia misji, rozmyślnie przeistoczył się w kogoś o wiele bardziej wrażliwego na otoczenie. To właśnie sprawiło, że bezszelestnie podszedł do ciemnego i cichego domu i zatrzymał się za rogiem, zza którego dochodził cichy szmer głosów i skrzypienie wahadłowych drzwi.

Cichutko zbliżył się do nich i usłyszał wyraźnie głos Lute'a.

— Mamy szczęście, Aletho, że nie straciliśmy stada z południowego pastwiska — głos jego brzmiał szczerze i słychać w nim było słuszne oburzenie.

— Mamy szczęście — odpowiedziała Aletha łagodnym, miękkim głosem — że mamy ciebie, Lute.

— Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia — mruknął Farnell — powiem ci, złotko, że wydaje mi się, iż ten nowy gość jest w zmowie ze złodziejami. Oni tak robią, wysyłają jednego włóczęgę na zwiady.

— Nie wierzę w to, Lute — przerwała mu Aletha zdecydowanym głosem.

— Wiem, że jesteś mu zobowiązana — ciągnął Lute z uporem — ale nie jestem pewien, czy to wszystko nie było od początku do końca ukartowane. Dakota jest dobrym tropicielem i oglądał ślady kota i tego obcego. Ten facet mógł go wpędzić na ciebie.

— To śmieszne, Lute — zaprotestowała — jesteś tak strasznie uprzedzony do Dave’a. To dobry człowiek. Czuję to i nie zniosę dłużej takiego gadania.

Coppersowi zrobiło się przyjemnie, gdy usłyszał jak Aletha go broni. Uczucia jakie w nim budziła niepokoiły go w nieznany dotąd sposób. Radość jednak szybko się ulotniła, gdy przypomniał sobie, co powiedział Farnell o stadzie na południowym pastwisku. Jaką grę on prowadził?

— Ostrożności nigdy za wiele — mówił z ożywieniem — on nie jest tym na kogo wygląda. Jestem tego zupełnie pewny. Czy powiedział ci coś o sobie?

— Jedynie to, że wychował się w tych stronach.

— Sądzę, że powinienem zachęcić go do dalszej drogi.

— Zabraniam ci tego — zaprotestowała Aletha — oboje z dziadkiem prosiliśmy, aby został, jeżeli tego pragnie. Teraz do ciebie należy, aby mu to ułatwić. Możemy mu zaoferować pracę.

— Nie zrobię tego — rzekł gniewnie Farnell — to nie leżałoby w twoim dobrze pojętym interesie, panno Aletho.

— Teraz jestem panną Alethą — powiedziała spokojnie — jesteś wściekły, Lute, i ja szanuję twoje uczucia, ale po prostu muszę cię prosić, abyś również uszanował moje.

— Tu nie chodzi tylko o mnie — mówił Farnell zrozpaczonym głosem. — Nie zamierzałem ci tego mówić, ale teraz muszę, żebyś zrozumiała o co mi chodzi. Dakota powiedział, że z całą pewnością widział już gdzieś

przedtem tego faceta. Wiesz, w młodości Dakota był szeryfem. Sądzi, że chyba spotkał go podczas jakiejś rozróby.

— Ale nie jest pewny — odrzekła Aletha.

— Cóż, to było dawno temu.

— To nie wystarczy, Lute. Chcę, abyś wątpliwości rozstrzygnął na korzyść Dave'a. Drzwi skrzypnęły mocniej, robi się zimno. Wchodzę do środka. Obiecaj mi, że zrobisz o co cię proszę, Lute.

Nie odpowiedział.

— Obiecujesz?

— No dobrze. Mam nadzieję, że to się źle nie skończy — odparł Farnell zrezygnowanym głosem.

— Dziękuję, Lute.

— Chwileczkę — powiedział — gdzie był ten facet podczas strzelaniny?

Zamilkła na dłuższą chwilę.

— Nie wiem. Odebrał broń od Washa i wybiegł tylnymi drzwiami.

— A widzisz — gorączkował się Lute — myślę, że chyba...

— Lute, nie będziemy już na ten temat dyskutować — powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Coppersa dobiegł dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Stał tam i słuchał cichych, zdławionych, pełnych furii przekleństw Farnella. Potem słychać było, jak schodzi z ganku, kierując się w stronę baraku.

Jeszcze długo po tym, jak Aletha weszła do domu i odszedł Farnell, Coppers stał i czekał w ciemności. Jedynym widocznym światłem był słaby, żółty odblask na ziemi przed barakiem. Dom Boyntonów skrywał mrok.

Coppers odwrócił się wolno w stronę baraku, gdy nagle znieruchomiał na widok światła w głównym budynku. Stał, obserwując postać Boyntona stojącego obok lampy, którą właśnie zapalił. Nigdzie nie było widać fotela na kółkach.

Dave patrzył, jak Boynton z podniesioną lampę, pewnym, równym krokiem przemierza pokój. Światło migotało w rytm jego kroków, aż nagle zgasło. Coppers próbował przypomnieć sobie rozkład domu, ale mógł jedynie przypuszczać, że Boynton zszedł do piwnicy, albo że wszedł do pokoju na parterze, w którym nie ma okien.

Poczekał jeszcze chwilę i, pogrążony w myślach, udał się do baraku.

Gdy wszedł, wszyscy trzej stali i czekali w milczeniu, z twarzami bez wyrazu. Patrzyli nań wyczekująco, gdy ich minął, żeby rzucić worek na wolną pryczę. Położył się i podniósł lewą nogę, by rozwiązać buty. Czynność tę przerwało pytanie Farnella:

— Gdzie byłeś, jak zaczęła się strzelanina?

— Rozglądałem się — odparł Coppers gładko.

— Odkryłeś coś?

Coppers pokręcił głową.

— Nie, a ty?

— Goniliśmy kogoś, było ich dwóch albo trzech. Nie wiemy kto to był, ale kimkolwiek byli, nie mieli nic do roboty na terenie Poręby B.

Dakota nagle zachichotał, a Farnell uciszył go spojrzeniem i ruchem głowy. Farnell obrócił się i spojrzał na Coppersa.

— Co ty tu właściwie robisz?

— Jestem przejazdem — odparł Coppers — chociaż być może zostanę, jeśli mi się tu spodoba.

— Nie spodoba ci się — oświadczył Farnell. — Mam dziwne przeczucie, jeśli chodzi o ciebie. Co, u diabła, sprowadza cię na to ranczo akurat teraz?

— Pytasz o to każdego, kto tu przyjeżdża? — zapytał Coppers łagodnie.

Twarz Farnella poczerwieniała, zacisnął wargi:

— A może zaczniesz odpowiadać na pytania, zamiast je zadawać?

— To jest wolny kraj — powiedział Dakota, ściągając na siebie uwagę wszystkich, — człowiek może sobie przychodzić i odchodzić wolny i swobodny jak wiatr tak długo, jak długo nie przeszkadza innym. Czyż nie tak, Lute?

— Nie — odparł Lute. — Diabelnie dużo czasu poświęciliśmy na ochronę własności Poręby B. Nie mamy czasu na uganianie się za włóczęgami w siodle i zgadywanie, co knują.

— Przed kim tak bronicie Poręby B? — zapytał Coppers głosem wciąż jeszcze łagodnym i spokojnym.

— Przed dzikimi osadnikami, złodziejami bydła — mamy tu ich wszelkie odmiany.

— Do diabła z tym — powiedział Slim — idę do łóżka — i zaczął rozpinać koszulę.

— Zaczekaj — nakazał Farnell — lepiej rozejrzyjmy się jeszcze, czy wszystko jest w porządku.

Farnell podszedł i otworzył drzwi, podczas gdy Slim podszedł do Farnella, a Dakota zrobił krok, aby się do nich przyłączyć.

— Oszczędzę twoje stare kości — powiedział Farnell — zostaniesz, Dakota.

— Dobrze, szefie — wycedził Dakota.

Farnell pokiwał głową i wyszedł wraz ze Slimem. Drzwi się zamknęły.

Dakota podszedł do swej pryczy, poszperał trochę wokół, po czym zapalił lampę, wyciągnął spod koców talię pogiętych, zatłuszczonych kart i zaczął układać pasjansa.

— Czy Farnell naprawdę stara się oszczędzać twoje stare kości? — zapytał Coppers.

Dakota uśmiechnął się:

— Jesteś spostrzegawczy — powiedział kręcąc głową. — Taak, Lute to najbardziej ludzki szef, dla jakiego pracowałem. Zawsze troszczy się o staruszków i małe dzieci.

— Co to za układ, Dakota? Wydaje mi się, że nie wszystko jest w porządku między tobą, Slimem i Farnellem.

Dakota udał zdziwienie. Odpowiedział porzucając głupkowaty ton, który zdawał się tak drażnić Farnella.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi, chłopaku — rzekł.

— Diabła tam, nie rozumiesz — odparł Coppers. — A Parnell, w co on gra? Wydaje mi się, że go już gdzieś widziałem…

— Trafił tutaj tak jak ty, uciekając przed prawem — powiedział Dakota.

Zniszczoną twarz Coppersa wykrzywił grymas:

— Tak myślisz, co?

— Tak. A co, nie mam racji? — dostrzegł wahanie Coppersa i ciągnął dalej. — Do diabła, człowieku, tu się nie masz czego bać. My wszyscy... — zacisnął wargi. — Chyba za dużo gadam.

Coppers wyjął koce z worka, rozłożył je na pryczy i przygotował się do snu.

— Chyba jednak zostanę tutaj — powiedział.

Dakota wciąż układał pasjansa, ale od czasu do czasu nie mógł powstrzymać się od śmiechu. W końcu, gdy Coppers szykował się do wejścia na pryczę, powiedział:

— Tak sądziłem, chłopie. Wyczułem cię, no nie? — w jego głosie pobrzmiewała nuta nostalgii.

Przypomina mu się młodość, pomyślał Coppers ze współczuciem. Pokrył ten odruch potężnym ziewnięciem.

— Zgaś światło, jak skończysz — poprosił i zagrzebał się pod kocami.

Już prawie spał, gdy Farnell i Slim wrócili do baraku. Wkroczyli hałaśliwie i Coppers znów stał się czujny, pozbywając się resztek snu.

— Powiedziałem temu włóczędze, żeby się stąd wyniósł — powiedział Farnell.

— Nie, nie powiedziałeś, Lute — odezwał się Dakota — dałeś mu tylko do zrozumienia.

— Załatwimy to rano. Chodźmy spać.

Z piersi Coppersa wydobyło się westchnienie ulgi. Nie bał się Farnella. Miał już do czynienia z twardszymi ludźmi. Ufał swym umiejętnościom we władaniu bronią, a całe jego życie nauczyło go radzenia sobie w niebezpieczeństwie.

Drażniło go, że nie może stawić Farnellowi czoła, ale druga strona jego natury pozwalała mu ze spokojem odgrywać role, jakich wymagała od niego sytuacja.

Zasnął, gdy w baraku zapanował spokój.

10

Coppers obudził się nagle pośród nocy i przez chwilę próbował zgadnąć, gdzie się znajduje. Leżał bez ruchu. Usłyszał skrzypienie podłogi i szuranie butów po podłodze. Dwie ciemne sylwetki ruszyły w stronę drzwi. Gdy je po cichu otwarto, Coppers wiedział już, że wczesne wyjście Farnella i Slima musiało być poprzednio uzgodnione, gdyż teraz nie padło między nimi ani jedno słowo.

Zasnął znowu i spał niespokojnie aż do brzasku. Ubierał się po cichu przy akompaniamencie, dochodzącego z sąsiedniej pryczy, głośnego chrapania Dakoty. Stary bandyta leżał z głową odchyloną do tyłu i otwartymi ustami.

Na dworze Coppers przeciągnął się i głęboko odetchnął ożywczym górskim powietrzem.

Spacerując wolno w tę i z powrotem, skupił uwagę na wschodnim brzegu strumienia, dokładnie badając grunt. Był w połowie drogi w górę jego biegu, kiedy stanął i skręcił papierosa. Wypalił go w zamyśleniu do samego końca i ruszył, tym razem wolniej; czuł, że jest blisko miejsca wydarzeń z ubiegłej nocy.

Jego wzrok przyciągnął błysk mosiądzu. Schylił się, podniósł pustą łuskę i obejrzał jej koniec: 38-40 odczytał napis na łusce, przez niektórych zwanej 38 special. Pociski kaliber 38 mają dużo prochu. Niektórzy używają ich, ponieważ łuski pasują zarówno do rewolweru, jak i do strzelby. Sam brał pod uwagę takie rozwiązanie, ale w końcu zarzucił je na rzecz olbrzymich możliwości colta 44. Do siodła miał przytroczonego winchestera 74, do którego pasowała amunicja kaliber 30.

Coppers był trochę zły na siebie, wkładając łuskę do kieszeni spodni. Po co to całe przeszukiwanie terenu, skoro był prawie pewien, że to Farnell zorganizował tę akcję z jakichś, sobie tylko znanych względów.

Słońce wyjrzało sponad góry kamienistej ziemi; czuł, że robi się coraz cieplej. Po drugiej stronie strumienia, w wąskiej dolinie prowadzącej poza nieckę, w której położona była siedziba Poręby B, znalazł jeszcze trzy zużyte łuski kaliber 41. Obejrzał je marszcząc brwi i wrzucił do kieszeni kurtki. Był pewien, że Dakota nosił colt 41, nie była to rzadka broń, ale nie tak popularna jak colt 44, czy 45. Coppers ruszył w dół strumienia przyspieszając kroku. Gdy wyszedł na brzeg, ujrzał idącego Dakotę, który prowadził swego osiodłanego konia w kierunku domu. Coppers zatrzymał się i stwierdziwszy, że nie został zauważony ukrył się w szarozielonej kępie szałwii rosnącej pod samotną sosną.

Dakota zatrzymał się pod kuchennymi drzwiami, z których wyszedł Wash, podał mu paczkę, powiedział kilka słów i wrócił do środka.

Dakota włożył paczkę do skórzanej torby przy siodle, dosiadł konia i ruszył drogą prowadzącą do miasta.

Coppers wyszedł z ukrycia i ruszył z podniesioną ręką, aby zatrzymać starego

— Sie masz — powiedział Dakota ściągając wodze i patrząc z zaciekawieniem. Wcześnie wstałeś jak na kogoś, kto się włóczy w poszukiwaniu pracy — jego spojrzenie było zimne i z lekka pogardliwe. Coppers zdawał sobie sprawę, że to skutek jego pojednawczej postawy wobec Farnella minionej nocy.

— To nawyk, którego nie mogę się pozbyć — odparł Coppers.

— Taak. Ciężko się wyzbyć. Chodzi mi o nawyki.

— Jedziesz może do miasta?

— Oczywiście. Potrzebujesz czego?

Coppers potrząsnął głową:

— Moje potrzeby są duże, ale nie na wiele mnie stać.

Dakota uśmiechnął się.

— Wiem o co ci chodzi — popuścił wodze — to będzie długi dzień.

— Jeździsz tam codziennie? — pytał Coppers ciekawie.

— Nie. Tylko w razie potrzeby, tak jak dzisiaj. Stary wysyła mnie z kolejną partią do Denver.

Coppers poczuł, jak jego serce zaczęło szybciej bić, ale twarz pozostała niewzruszona.

— Partią?

— Tak. Stary pisze te mem... memuary się chyba nazywają. Kiedy już trochę napisze, to przesyła je do Denver, do tego profesora.

Coppers spoglądał za Dakotą dopóki nie zniknął za grzbietem szarozielonego wzgórza. Poszedł do stajni i założył na srokosza swoje nędzne siodło. Jeszcze w stajni dosiadł konia i wyjechał przez szerokie podwójne drzwi, pochylając głowę, aby uniknąć uderzenia o framugę. Ściągnął gwałtownie wodze, aby nie wjechać na Alethę.

Stała tam patrząc na niego. Zaskoczyło go to, gdyż przez chwilę zdawało mu się, że ona go w i d z i.

Milczała, a on patrzył i podziwiał jej figurę, i połyskujące w słońcu włosy. Poruszyła głową i odezwała się z dziwną powściągliwością.

— Miałam nadzieję, że zostaniesz.

— Nie wiem, czy na wiele się tu przydam.

— Pozwól, że ja sama to ocenię. Chcę, abyś pozostał.

Podeszła bliżej, wyciągnęła rękę i poklepała srokosza po pysku. Była tak blisko, że wystarczyło się pochylić, aby jej dotknąć. Jej bliskość wyzwalała w nim dojmujące, prawie bolesne uczucie. Budziło w nim chęć ucieczki, mimo że nigdy w życiu przed niczym nie uciekał.

Dotknął srokosza ostrogami, ale nadal trzymał krótko wodze. Wyczuła ruch konia i z rezygnacją na twarzy cofnęła się szybko.

— Widzę, że się śpieszysz. Przepraszam.

— Nic ci tu nie grozi — powiedział, by wyciszyć bardziej własne obawy.

— Strzelanina zeszłej nocy... — już miał jej powiedzieć, że cały ten napad był udawany i zainscenizowany przez Farnella, ale przerwał w pół zdania. Uznał, że powinien to oświadczyć Farnellowi podczas nieuniknionej

konfrontacji. — To już nie pierwszy raz — stwierdziła z prostotą. — Najgorszy napad nastąpił zaraz, jak się tu sprowadziliśmy. Byliśmy u pana Benniona w Box MB, la oblewaniu nowo wybudowanej stajni. Następnego dnia nasz dom był splądrowany. Wszystko było przewrócone do góry nogami, zupełnie jakby ktoś czegoś szukał.

Wiadomość ta wprawiła go w takie zamyślenie, ze przechyliła głowę i zapytała:

— Czy zrozumiałeś, co do ciebie powiedziałam?

— Tak — uznał, że trudno byłoby jej zdradzić, co myśli, nie wywołując przestrachu. — Muszę wyjechać, ale wrócę. Obiecuję.

Wtedy ona uśmiechnęła się, a lekki łuk jej ust wydał mu się niezwykle piękny.

— Będę na ciebie czekać — powiedziała miękko.

Coppers miał jeszcze w uszach dźwięk jej głosu, gdy wprawił srokosza w galop, nie chcąc pozwolić Dakocie, aby zdobył nad nim przewagę. Powodzenie jego planu zależało od tego, czy uda mu się dotrzeć do miasta wkrótce po kowboju.

Trzymał się głównej drogi. Wiodła ona przez otoczone wzgórzami doliny, z trawą po pas, która pod działaniem letniego słońca wysychała, przybierając odcień głębokiego brązu. Patrząc na to marnotrawstwo z niesmakiem potrząsnął głową. Ta trawa mogłaby utuczyć wiele bydła i to, że się marnowała bolało go.

Cały czas uważał, żeby Dakota nie zwietrzył, że jedzie za nim. Jak dotąd nie dostrzegł jeszcze starego bandyty, ale w powietrzu unosił się zapach kurzu, co oznaczało, że Dakota jest niedaleko.

W oddali usłyszał bicie dzwonu. Zwolnił i jechał stępa, kiedy ujrzał przed sobą wznoszący się tuman kurzu. Kręta droga wznosiła się i wiodła teraz przełęczą. Chwilę później spojrzał w dół i ujrzał Arapaho.

Zsiadł z konia i sprowadził go z drogi. Zatrzymał się w kępie sosen, poluzował srokoszowi popręg, poklepał go po spoconej szyi i przyglądał się, jak Dakota — wciąż galopując — wjeżdża do miasta na swym smukłym kasztanie. Przysiadł w siodle i zatrzymał konia pośrodku szerokiej, zakurzonej ulicy. Najpierw przyjrzał się ozdobnej fasadzie z napisem „Poczta Stanów Zjednoczonych”, potem obrócił głowę w stronę drugiej, z napisem „Saloon Wild Belle". W przejrzystym świetle wyraźnie było widać, jak Dakota wzrusza ramionami. Stary zbir skierował się w stronę poczty. Przeważyło poczucie obowiązku. Coppers usiadł, wsparłszy łokcie na kolanach i trzymając wodze, podczas gdy srokosz skubał nieliczne źdźbła brązowej trawy.

Dakota uwiązał konia, pozwalając mu się napić z dziurawego koryta na końcu rzędu. Coppers obserwował, jak odpina torby przy siodle i wyjmuje pakunek. Ruszył na swych krzywych nogach w kierunku poczty; jego ostrogi wzbijały pył. Przeciął drewniany chodnik, wszedł do budynku, przy którym obok drzwi widniał też pasiasty słup, oznaczający fryzjera.

Nie więcej niż pięć minut po wejściu Dakoty na pocztę, Coppers usłyszał zbliżającego się jeźdźca. Wstał, zebrał wodze i odprowadził srokosza dalej od drogi, do sosnowego zagajnika. Jedną rękę trzymał na pysku srokosza, a drugą na brzuchu, chcąc wyczuć zapowiedź rżenia.

Srokosz spojrzał na niego ciekawie i pokiwał łbem. Jeździec, sądząc z wyglądu kowboj, pogalopował dalej, nie dostrzegłszy Coppersa wśród sosen.

Gdy ucichł odgłos kopyt, Coppers wrócił na poprzednie miejsce, by nadal obserwować senne, nieciekawe miasteczko, rozlokowane po obu stronach drogi. W zwieńczonym wieżą, białym budynku był kościół. Drewniany most łączył brzegi strumienia. W większości nie pomalowane, parterowe domy stały jeden przy drugim. Inna droga biegnąca z wyższych wzgórz, tworzyła skrzyżowanie. Na czterech, uformowanych w ten sposób rogach stał hotel, sklep i położone naprzeciw siebie dwa saloony. Jednym z nich to „Wild Belle Saloon", a drugi nazywał się po prostu „Saloon". Za nim mieściło się przedsiębiorstwo wynajmu koni i warsztat kowalski. Coppers rozejrzał się i zlokalizował chatę szeryfa, do której zawiózł ciało Gila Tatuma.

Coppers zrobił skręta, zapalił, a zużytą zapałkę wbił w ziemię między stopami. Tak naprawdę nie miał ochoty na papierosa, ale pozwalało mu to zająć się czymś przez chwilę.

Zauważył nagle poruszenie przy drzwiach poczty. Wyłonił się z nich Dakota i już z pustymi rękami, bez namysłu ruszył w stronę „Wild Belle", gdzie zniknął za wahadłowymi drzwiami. Wyobraził sobie, jak Dakota pije drinka, czy może zimne piwo, i ślinka napłynęła mu do ust. W kilka godzin później Dakota wyszedł, zataczając się i potykając — poszedł do swego wierzchowca. Miał trudności z wsiadaniem, a kiedy mu się to udało, okazało się że koń jest wciąż uwiązany. Pochylił się w siodle, gdy stanęło przed nim trzech mężczyzn, którzy zaczęli coś do niego mówić. Coppers mógł tylko zgadywać, o czym jest mowa. Stary kiwał się w siodle. Jeden z mężczyzn chwycił konia Dakoty za uzdę, a drugi ściągnął jeźdźca na ziemię.

W szybko zapadającym zmierzchu zebrała się mała grupka gapiów, ale nikt nie interweniował, gdy postawiono Dakotę na nogi, zaciągnięto w uliczkę biegnącą między pocztą a warsztatem siodlarskim.

Coppers dosiadł swojego konia i wyprowadził z powrotem na drogę. Z łoskotem przegalopował przez most i omal nie wpadł na człowieka, przechodzącego na drugą stronę ulicy. Przestraszony przechodzień zaklął odskakując w bok.

Coppers podjechał do konia Dakoty i zsiadł. Wokół wylotu uliczki zgromadziła się niewielka grupa ludzi. Coppers przeszedł pomiędzy nimi, ignorując protesty. Ciemne sylwetki były w mroku ledwie widoczne; dostrzegł mężczyznę klęczącego nad Dakotą i bijącego go czymś, co trzymał w ręku. Uderzył nim o ścianę, a dwaj pozostali, rzucili się na Coppersa. Ten jednak cofnął się wyciągając rewolwer i wtedy wszyscy trzej rzucili się do ucieczki. Coppers nigdy nie strzelał do uciekającego. Nie uczynił tego i tym razem, mimo że pokusa była wielka.

Na widok broni niewielka grupa gapiów rozeszła się w milczeniu. Coppers podszedł do Dakoty, przyklęknął i poczuł bijący od starego silny zapach; whisky. Schował rewolwer i przyświecając sobie zapałką, obejrzał pobitą i zakrwawioną twarz. Napastnicy dobrze się sprawili. Zdążyli poturbować starego w bardzo krótkim czasie.

Podciągnął go do pozycji siedzącej. Dakota mamrotał coś, czego Coppers nie mógł zrozumieć. Bez trudu podniósł starego, przerzucił go sobie przez ramię i ruszył ulicą w kierunku wypożyczalni koni.

Koło stajni nie było nikogo. Posadził Dakotę na ziemi, opartego o frontową ścianę budynku. Zdjął z gwoździa koło drzwi latarnię i wszedł do środka. Wyszukał czystą przegrodę. Wrócił po Dakotę i przez cuchnące przejście zaniósł go do przegrody, położył na stercie czystej słomy. Następnie zaryglował drzwi, odwiesił lampę na miejsce i wyszedł. Poruszał się szybko, czuł, że sytuacja wymaga błyskawicznego działania.

Gdy stanął w drzwiach urzędu pocztowego, ujrzał wysokiego, szczupłego, łysego mężczyznę, który napełniał lampę naftą. Tamten skinął Coppersowi głową, nie przerywając. Gdy zbiornik był już pełny, odstawił puszkę z naftą na podłogę, zatykając otwór kawałkiem ziemniaka. Zapalił lampę i wycierając ręce w biały fartuch, odwrócił się w stronę nowego klienta. Poczta była jednocześnie zakładem fryzjerskim, a na półce stał zapas lekarstw. Na ścianie widniał napis, z którego wynikało, że właściciel zakładu — Albert Dexter — wyrywa również zęby.

— Czym mogę służyć? Może butelkę Hotstettera? Strzyżenie, golenie, a może boli ząb?

— Nic z tych rzeczy. Jestem nowym pomocnikiem na Porębie B, panie Dexter. Przysłał mnie pan Boynton. Nie był pewien, czy prawidłowo zaadresował przesyłkę do Denver. Pan Boynton chce, abym sprawdził i upewnił się, czy wszystko w porządku.

Albert Dexter przyjrzał mu się, mrużąc oczy.

— Pamiętam, że napis był taki sam jak zwykle.

— To, że pan pamięta, nie wystarczy. Rzucę okiem, żeby się upewnić.

— No cóż, nie wiem — przerwał napotykając lodowaty wzrok Coppersa.

Po chłodzie w okolicy brzucha i uginających się kolanach poznał, że się boi, co pomogło mu w podjęciu decyzji. Nienawidził siebie za to, że tak szybko ulegał, ale ten wielki mężczyzna wydał mu się nagle bardzo groźny.

— Zaraz ją przyniosę — powiedział pospiesznie. — Nawet jeżeli jest już w worku pocztowym. I tak dyliżans przyjeżdża dopiero jutro.

— Jestem panu wdzięczny — odparł Coppers odprężony.

— To żaden kłopot — odpowiedział tamten, przechodząc pośpiesznie do części budynku, w którym przechowywano pocztę. Nad ladą było okienko, a za nim półka z przegródkami. W niektórych były listy.

— Zawsze staram się — mówił dalej nerwowo Dexter — dogodzić ludziom, którzy przychodzą tu w takiej czy innej sprawie. Aha, to jest tu.

Przyniósł paczkę, obejrzawszy ją po drodze, i podał Coppersowi.

— Widzi pan, tak jak mówiłem, taka sama jak pozostałe.

Coppers wziął paczkę i spojrzał na adres; był wypisany ładnym charakterem pisma: „Do W.P. Lemuela P. Taylora w Windsor Hotel, Denver, Colorado”.

— Zgadza się — powiedział oddając paczkę Deserowi. — Odwrócił się, a po namyśle ponownie odezwał się do Dextera, który stał przed nim ugrzeczniony.

— Czy jest tu w mieście telegraf, panie Dexter?

— Nie, proszę pana, na pewno nie ma. Zbudowaliśmy nawet biuro dla telegrafu, gdy sądziliśmy, że będzie tędy przebiegać linia kolejowa, ale nie doprowadzono tu nawet bocznicy, więc nigdy go nie wykorzystaliśmy.

— Przypuszczam więc, że najbliższy telegraf jest w Laramie?

— Nie, jest też w Muddy Greek. To mała stacyjka z zagrodami, w których bydło czeka na załadunek. Obsługa telegrafu pojawia się tylko podczas wysyłki bydła.

Nic nie wskazywało na to, aby gadatliwy pan Dexter, miał kiedyś skończyć. Coppers podziękował i ruszył w stronę drzwi.

— A jednak może pan wysłać wiadomość — zawołał Dexter starając się zatrzymać potencjalnego klienta — facet, który jest właścicielem Box MB na użytek turystów założył sobie telefon. On ma takie, wie pan, wycieczkowe ranczo. To pierwszy telefon w tych stronach.

— Dziękuję, panie Dexter — rzucił Coppers od drzwi.

— Ależ proszę bardzo. Jest pan pewien, że niczego pan nie potrzebuje? Hotstetter jest wyśmienity i prawie nic nie kosztuje.

Umilkł, gdy zdał sobie sprawę, że Coppers już wyszedł.

11

Stał w mroku, na skraju drewnianego chodnika i spoglądał na miasto, zastanawiając się nad kolejnym posunięciem. Ulicą jechało powoli trzech jeźdźców; skręcili w uliczkę pomiędzy „Wild Belle” a następnym budynkiem. Coppers zastanawiał się, kim są, skąd przyjechali i dokąd jadą.

Znał już nazwisko adresata z Denver: Lemuel P. Taylor — i nie wolno zapominać, że jest „wielmożnym panem”. To jest człowiek, który odbiera od Boyntona jego pamiętniki — może być tym, który pomaga we wprowadzeniu na rynek skradzionych i podrobionych pieniędzy. Przekazanie informacji agentowi w Denver wymaga przesłania mu zaszyfrowanej depeszy z prośbą o zatrudnienie agencji „I and R” czyli „Inwigilacja i Raporty". Musiał to szybko załatwić.

Nie wątpił, że poradzi sobie z wejściem do zamkniętego budynku stacji w Muddy Creek, gdzie będzie mógł skorzystać z telegrafu. Miał potrzebne kwalifikacje, już bardzo dawno zafascynował go alfabet Morse’a. Posługiwania się nim nauczył go znakomity telegrafista podczas dłużącego się rejsu na Kubę. Nadając wiadomość osobiście uniknie wielu mil i godzin podróży, na które nie może sobie pozwolić.

Wszystko w swoim czasie — uspokoił siebie i ruszył ku stajni, w której zostawił Dakotę.

Pochylił się i przeczołgał pod żerdzią, którą zaryglowana była przegroda i poświecił zapałką. Dakota leżał tak, jak go zostawił. Wyglądało na to, że stary prześpi całą noc. Oddychał lekko, zaczął jęczeć i zgrzytać zębami jedynie w chwili, gdy Coppers układał go wygodnie.

Wracając do swego konia Coppers zatrzymał się przy korycie i ochlapał twarz zimną wodą. Wiejące z gór zimne podmuchy ochłodziły jego skórę. Miasto ożywało. Z „Wild Belle” zaczęły dochodzić dźwięki muzyki. Wieczorem miasto zmieniało swój charakter i nie wyglądało już tak cicho i sennie.

Po napojeniu konia Coppers dosiadł go i ruszył na południowy zachód w kierunku bocznicy Muddy Creek. Hamował niecierpliwość podejrzewając, że w przyszłości dojdzie do wydarzeń, których nie będzie mógł kontrolować, bo po prostu nie będzie o nich wiedział.

Księżyc zalał ziemię żółtą poświatą. W jego jasnym blasku towarzyszący jeźdźcowi cień stał się krótki i groteskowy. Coppers jechał do miejsca, w którym od szlaku oddzielały się słabe ślady wozów, koleiny wiły się, by zniknąć za pobliskim wzgórzem. Rozejrzał się i ruszył bardziej wyjeżdżoną drogą.

Stopniowo grunt stawał się coraz bardziej płaski, a ostry zapach karłowatych sosen ustępował silniejszemu aromatowi szałwii. Raz zatrzymał się w przekonaniu, że coś usłyszał. Siedział cicho, oczekując

powtórzenia dźwięku, ale nie dobiegło go nic poza skrzypieniem skóry i pobrząkiwaniem wędzidła, kiedy srokosz potrząsał głową. Ruszył dalej, wolno, nasłuchując. Dźwięki rozległy się ponownie w chwili, gdy poczuł, że srokosz napina mięśnie przechodząc przez koryto wyschniętego strumienia. Usłyszał wyraźnie, jak żelazna podkowa uderza o skałę. Skierował konia w górę wyschniętego strumienia; odjechał sto stóp od drogi. Przywiązał konia do korzeni starego pniaka, który spłynął tu podczas jakiejś minionej ulewy. Zdjął ostrogi i zatknął je za rzemienne wiązadła przy siodle. Wrócił i przykucnął nad kępą szałwii, obserwując drogę.

Jeźdźcy zatrzymali się na skraju wyschłego koryta. Widać było tylko ich głowy i ramiona. Gdy zatrzymali konie, umilkli nasłuchując.

— Nie jadę ani jednego cholernego kroku dalej, Spud — powiedział głośno jeden z nich.

— Dobra, dobra — odparł Spud — mieliśmy się tylko upewnić, to wszystko. Mnie się to też nie podoba. To jakieś diabelne uganianie się za dzikimi gęsiami — cała ta jazda.

— To zawróćmy i pojedźmy z powrotem. On jest pewnie jeszcze jednym z tych co uciekają w kierunku Brown's Hole albo Star Valley. Stara droga do Laramie kończy się w Star, na południowym końcu.

— Wiem o tym.

— Będziemy tu siedzieć całą noc.

— W porządku. A więc zawracajmy.

Ucichł odgłos ich powolnej jazdy. Coppers powrócił do konia, który zarżał na powitanie. Schował ostrogi do toreb przy siodle. Wytarł spoconą szyję srokosza, wsiadł i ruszył znów do drogi. Skierował się do Muddy Creek, pokonując pokusę śledzenia tamtych dwóch. Wiedział, że jeszcze ich spotka, jeżeli tylko zostali wynajęci przez Lute'a Farnella.

Nawet z daleka wśród ciszy nocnej można było usłyszeć brzęk telegraficznej stukawki. Przejeżdżał przez zagrody, w których czuło się jeszcze zapach bydła. Zsiadł, poluzował popręg i przeciągnął ręką pod wilgotnym kocem ułożonym pod siodłem, wygładzając spoconą sierść konia. Wprowadził srokosza do najbliższej zagrody i zaryglował bramę. Koń szedł za nim wzdłuż ogrodzenia, gdy Coppers ruszył w stronę budynku. Dwie srebrzyste szyny ciągnęły się stąd w dal, aby zniknąć za wzgórzami.

Coppers obszedł budynek o niemal kwadratowym kształcie i usiadł na pomoście obok szyn. Koło dworca stała mała przybudówka, w której, jak się domyślił, przechowywano drezynę i narzędzia dla robotników torowych. Ćwierć mili dalej był zbiornik wody dla lokomotyw.

Próbował otworzyć jakieś okno albo drzwi, ale wszystko było zamknięte.

Przez cały czas słyszał terkotanie stukawki telegrafu wewnątrz budynku. Rozumiał to, co nadawano na linii z San Fransisco do Denver. W rzeczywistości były to dwie linie: jedną zarezerwowano dla Western Union, a drugą przesyłano informacje związane z ruchem kolejowym. Coppers zamierzał przesłać wiadomość linią Western Union. Gdy przy użyciu noża sforsował zamek w oknie, znał już sygnały wywoławcze operatorów po obu

stronach linii. Nasłuchiwał uważnie, starając się rozpoznać cechy charakterystyczne dla sposobu nadawania każdego z nich. Miał zamiar je naśladować, gdy sam będzie nadawał.

Jasne światło księżyca przenikało do wnętrza drewnianego budynku, pozwalając wyraźnie widzieć znajdujące się tam przedmioty. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny, świadczący o zaniedbaniu. Stacja Muddy Creek była otwarta jedynie dla obsługi dużych transportów bydła — ku wygodzie kupców i agentów.

Przeszedł przez pokój; odnalazł kontakty i przełączniki. Wyjął książkę szyfrów zza podszewki zniszczonych butów i poczuł nagły żal, gdy uświadomił sobie, że włożył ją tam Harlan Gage i że przypuszczalnie była to jedna z ostatnich rzeczy, jakie w życiu zrobił. Ułożył depeszę: jedną do agenta w Denver, a drugą do Effingtona (wszystkie służbowe depesze trafiały do Effingtona) do Waszyngtonu, na adres skrzynki kontaktowej, na jakiejś bocznej ulicy w dzielnicy willowej. Gdy wszystko było już gotowe, rozłączył drut za pomocą przełącznika, korzystając z przerwy w nadawaniu. Podłapał rytm i zaczął pracować jako stacja przekaźnikowa. Przepisywał depesze z San Fransisco i przekazywał je do Denver. I odwrotnie. Wreszcie nadeszła zupełnie nieistotna depesza, którą odrzucił, a jej numerem opatrzył własny telegram. Nadał obie depesze, a potem dalej przekazywał wiadomości w obu kierunkach. Kiedy znów nastąpiła luka między telegramami, z powrotem przełączył linię na normalny tryb działania. Wygramolił się przez okno. Zamknął je za sobą. Napoiwszy srokosza, skierował go do Arapaho. Jechał w równym, miarowym tempie, starając się nie drzemać w siodle.

Gdy wjeżdżał do uśpionego miasta, na niebie nic było już gwiazd, a szary brzask przynosił różowo-złotą poświatę. Kiedy zsiadł przed stajnią z konia, był zmordowany i rozdrażniony. Dakota leżał z odchyloną głową, otwartymi ustami i zaciśniętymi na piersiach dłońmi. Pochylił się nad nim i mocno potrząsnął.

— Chodź, stary. Jedźmy stąd.

Dakota zajęczał i spróbował obrócić się na drugi bok. On jednak poderwał go i postawił na nogi. Zaprowadził do konia i posadził w siodle.

— Jesteś do niczego, stary — mruknął dosiadając srokosza.

Jednocześnie wziął do ręki wodze konia Dakoty, aby go wyprowadzić na ulicę. Dakota kiwał się w siodle, z zamkniętymi oczami i rękami zaciśniętymi na łęku.

Konie zadudniły kopytami na moście i zaczęły się piąć ku wyższym partiom wzgórz. Kiedy znaleźli się na szczycie, Coppers zatrzymał się, aby dać koniom odsapnąć.

— Dlaczego stajesz? — zapytał Dakota ochrypłym głosem.

— Żeby dać odpocząć koniom. A dlaczego ci faceci cię pobili, Dakota?

— Upiłem się. Niewiele pamiętam, kiedy się tak uchleję.

— Znasz ich? To miejscowi?

— Ki diabeł. Pierwszy raz ich widziałem na oczy. Pełno tu takich ciemnych typów — chwycił się oburącz za brzuch i zaczął jęczeć.

— Stary Al Hunter, najlepszy zastępca szeryfa w okręgu, został zastrzelony ze dwie noce temu. Nigdy mnie nic nie łączyło z szeryfami, ale

Al to był naprawdę dobry człowiek — znów jęknął i pochylił się próbując zwymiotować, ale nic z tego nie wyszło.

— Powiedziałeś, Al Hunter? Kiedy to się stało?

— Tej samej nocy, kiedy jakiś cymbał przywiózł mu ciało niedzielnego kowboja Gila Tatuma. Ktoś zabił starego Ala strzałem w plecy.

Coppers odniósł nagle wrażenie, że Gil Tatum i Al Hunter zginęli z rąk tego samego mordercy, i być może, choć to tylko przypuszczenie, on sam w części ponosił za to winę. Od czasu, gdy wysiadł z Cheyenne jego ślad znaczyły trupy. Ruszyli dalej. Dakota, który jechał za nim, powiedział nagle:

— Dziękuję.

— Za co?

— Że mnie z tego wyciągnąłeś.

— Jeśli wiesz, że ci pomogłem, musisz pamiętać coś jeszcze. Co mówili, gdy robili z ciebie befsztyk?

— Pytali, gdzie są ukryte pieniądze, czy coś w tym rodzaju. Nic nie wiem o żadnych pieniądzach.

Przez kilka minut jechali w milczeniu, wreszcie Dakota odezwał się:

— Przykro mi to mówić, ale muszę. Lute powiedział, że masz się stąd zabierać. Że nie będzie dla ciebie pracy ani teraz, ani później. Bez względu na to, co mówi panienka Aletha.

Coppers milczał. A Dakota ciągnął z naciskiem:

— Nic nie poradzisz. Lute to niebezpieczny człowiek, a Slim jest dwa razy gorszy. Slim załatwi cię strzałem w plecy, jeśli nie będzie mógł inaczej. Moja rada to wyjechać póki czas.

— Dziękuję, Dakota — odrzekł spokojnie. — Jestem ci wdzięczny, że się o mnie troszczysz.

12

Było już prawie południe, gdy Coppers i Dakota wjechali na ranczo Poręby B. W milczeniu zajęli się końmi, po czym Dakota powlókł się w stronę baraku.

— Będę spał póki nie przyjdzie Lute, żeby mnie obudzić — zawołał przez ramię.

— A kiedy to będzie?

— Nie wiem — odparł Dakota, nie zwalniając kroku — i wcale mnie to nie obchodzi. — Zniknął w baraku; trzasnęły zamykane drzwi.

Coppers patrzył, jak oba konie w zagrodzie tarzały się w pyle, a potem wstały, otrząsając się.

Jego uwagę przykuł jakiś ruch od strony domu. Z frontowych drzwi wyłoniła się Aletha Boynton, przeszła przez ganek i pewnym krokiem zeszła na ziemię.

Nie spuszczał z niej oczu, kiedy obróciła się powoli w jego stronę i ruszyła z uśmiechem na swej gładkiej, miłej twarzy.

— Jedziemy do Box MB, pamiętasz? — zagadnęła.

Czuł się zmęczony, ale na jej widok rozdrażnienie minęło. Wyjazd na ranczo Benniona nie wydawał się w tym momencie pożądany, ale wiedział, że nie potrafi jej odmówić.

— Kiedy tylko będziesz gotowa, chociaż mój koń jest zmordowany.

— Weź jakiegoś konia z mniejszego pastwiska, a dla mnie osiodłaj gniadosza z gwiazdką na pysku i białą skarpetką na przedniej, lewej nodze — dodała lekko się rumieniąc.

Uśmiechnął się:

— Dobrze, a co z Farah?

— Nie możemy jej prowadzić?

— Oczywiście. Zaraz wszystko przygotuję.

— Tak się cieszę, Dave, że wróciłeś — powiedziała odwracając się.

Gdy zniknęła w drzwiach domu, wziął lasso i poszedł w stronę małego pastwiska. Wsparty na żerdziach ogrodzenia przyglądał się sześciu koniom zamkniętym w zagrodzie. Przestały się paść i z podniesionymi łbami i postawionymi uszami patrzyły na niego błyszczącymi oczami.

Były to lepsze konie niż te, które spotyka się na zwykłych ranczach: duże, silne, ich błyszczący, gładki włos wskazywał, że nie tylko karmiono je ziarnem, ale również starannie szczotkowano. Przecisnął się pomiędzy żerdziami ogrodzenia. Konie zbiły się w gromadkę w obronie przed lassem. Rzucił niewielką pętlę na gniadosza z gwiazdką na pysku. Lina wylądowała na uszach parskającego konia. Jeden szybki ruch nadgarstka i zacisnęła się na połyskującej szyi. Raz za razem wybierał linę, płosząc stado. Zawiązał koniowi na pysku pętlę w formie uździenicy i wyprowadził zwierzę z zagrody. Przywiązał konia do słupka obok drzwi do stajni.

Znalazł w komórce kobiece siodło i założył na konia, zapinając mocno popręg. Dla siebie złapał dużego gniadosza i przygotował go do drogi. Przyprowadził ze stajni Farah. Przywiązał linę do jej kantara, a drugi koniec przytroczył do łęku swego siodła.

Kiedy Aletha wyszła z domu w stroju do konnej jazdy, Coppers czekał oparty o konia i pomógł jej wsiąść. Gdy była gotowa dosiadł konia. Gniadosz bryknął kilka razy i postanowił dać za wygraną.

Konie szły obok siebie koleinami drogi, która wiła się pomiędzy węgorzami. Daleko na zachodzie, w jasnym słońcu, piętrzyły się szare, strome turnie. Opisywał jej powstające nad górami cumulusy. Mówiąc, patrzył jak jej kształtne ciało porusza się w rytm jazdy.

Nie wiedząc jak zacząć, wypalił od razu:

— Czy kiedykolwiek nie bierze cię ochota, żeby stąd wyjechać i powrócić na Wschód?

Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

— Co za pomysł! Nie, nie, Dave, kocham to miejsce, wolę być tutaj niż gdziekolwiek na świecie.

— Twój dziadek jest stary — powiedział bez ogródek — co poczniesz, kiedy go już nie będzie? Kiedyś będziesz musiała sobie z tym poradzić.

Zmarszczyła brwi i zarumieniła się.

— Zmieniłeś zdanie?

Spojrzał na nią i zdał sobie sprawę, że musi odpowiedzieć.

— Zmieniłem zdanie? W jakiej sprawie?

— Uznałeś fakt, że daję sobie świetnie radę — powiedziała oschle — jak na osobę niewidomą? Myślałam, że chodziło ci o to, że radzę sobie równie dobrze, jak ktoś kto widzi.

— Nic takiego nie myślałem — zaprotestował, czując się coraz bardziej nieswojo — chodzi mi o to... ach, do diabła, już sam nie wiem o co mi chodzi.

Roześmiała się i pochyliła, aby uścisnąć jego rękę.

Droga, którą jechali, połączyła się z drugą, bardziej uczęszczaną. Wkrótce potem zaczęła się wznosić. Wspięli się na długi, niski grzbiet górski. Coppers gwizdnął z cicha, zatrzymując konia. Koń Alethy również się zatrzymał, a ona skierowała ku niemu pytające spojrzenie.

— Jesteśmy na grzbiecie wysokiego, skalistego, pokrytego sosnami wzgórza — odparł Coppers. — Droga prowadzi prosto w dół do Box MB — przyjrzał się obszernym budynkom i zagrodzie. — Nie wiedziałem, że Bennion ma takie duże gospodarstwo.

Były tu dwie, sporych rozmiarów stajnie. Wielka, okrągła zagroda wypełniająca przestrzeń pomiędzy położonymi wzdłuż strumienia chatami i stajniami oraz mniejsze budynki, w których mieścił się warsztat kowalski, wędzarnia, lodownia i pomieszczenia dla pracowników. Wzdłuż strumienia, pomiędzy sosnami i świerkami, stał długi rząd chat, które, jak przypuszczał Coppers, przeznaczone były dla gości. Do głównego budynku na ranczu prowadziła przerzucona przez potok kładka — pięknie położona wśród mieniących się liśćmi, masywnych osik. Dom otoczony był z trzech stron gankiem, miał czterospadowy dach, z którego dumnie wystawał

kamienny komin. Dwa lub trzy bardziej pretensjonalne domki rozrzucone były wśród sosen i osik, po drugiej stronie strumienia.

Coppers naliczył w okrągłej zagrodzie jedenaście koni. Nie starał się zliczyć przebywających na pastwisku — było ich w przybliżeniu około czterdziestu. Cicho gwizdnął.

— Pan Bennion sporo tu zainwestował — powiedziała Aletha. — To bardzo pracowity człowiek.

— To widać — odparł Coppers — zjedźmy na dół.

Porzucili drogę biegnącą ponad ranczem i wjechali na wydeptaną przez konie ścieżkę wśród sosen. Przywitało ich szczekanie psa.

Okrążywszy dom, zsiadł z konia i pomógł Alecie. W tej samej chwili na ganek wyszła Sal Bennion z dzieckiem na ręku. Stanęła na najwyższym stopniu schodów i osłaniając ręką oczy przed zachodzącym słońcem, uśmiechała się z zadowoleniem. Przeniosła wzrok na Coppersa, i rozpoznawszy go, wzdrygnęła się, a z jej twarzy zniknął uśmiech.

— Wejdź do domu Aletha — zapraszała Sal, starając się opanować.

— Sal, jak miło znowu cię widzieć. Podaj mi ramię — szepnęła do Coppersa — nie czuję się tu pewnie.

Coppers posłusznie wziął ją pod rękę i wszedł na schody. Trzymała się blisko niego, a on wdychał jej zapach. Po wejściu na schodki oderwała się od niego, by podejść do Sal i pocałować ją w policzek.

Sal odezwała się, patrząc wciąż przestraszonymi oczami na Coppersa.

— Zaraz postawię dziecko i napijemy się kawy. Albo herbaty, jeśli wolicie.

— Daj mi przez chwilę potrzymać dziecko — poprosiła Aletha i wzięła je z rąk Sal, która zaprowadziła ją do stojącej pod ścianą, drewnianej kanapy.

Aletha śmiała się wesoło trzymając dziecko na kolanach i przemawiała do zaintrygowanego brzdąca.

— Nie ma pani nic przeciwko temu, że się rozejrzę? — zapytał Coppers — przyprowadziliśmy Farah, żeby ją obejrzał wasz weterynarz.

Sal skinęła bez słowa, jak gdyby nie słyszała, co mówi.

— Ma tu pani duże gospodarstwo, pani Bennion — rzucił lekko, starając się ją odprężyć.

— Dziękuję. Mel jest z niego taki dumny. Teraz jest z gośćmi na rajdzie i wróci trochę później.

Coppers ruszył w dół, po schodkach.

Wyszła za nim na podwórko, patrząc z niepokojem, niemal błagalnie.

— Proszę się nie obawiać, że coś wygadam. Nie, żeby było o czym mówić... Ale byłbym wdzięczny, gdyby pani nie wspomniała nikomu, absolutnie, nikomu, że mnie pani kiedykolwiek wcześniej widziała. To będzie nasz wspólny sekret.

Uśmiechnął się, a ona niepewnie odpowiedziała mu tym samym.

Sądzi, że jestem ścigany, pomyślał Coppers i był zadowolony, że na tym stanęło.

— Gdzie znajdę weterynarza?

— Doktora Jaspera? Wyszedł dziś rano do jakichś chorych krów, ale jego koń jest w zagrodzie, to znaczy, że już wrócił. Powinien być w tym

starym drewnianym domku albo gdzieś w pobliżu — wskazała ręką drewnianą chatkę obok stajni. — Przeważnie siedzi w tym baraku, który zajął odkąd pracownicy mają nową kwaterę.

Podziękował, dotknął kapelusza i poprowadził Farah w stronę chaty weterynarza.

Wysoki, szczupły mężczyzna koło sześćdziesiątki, z grzywą białych włosów, przetykanych czarnymi pasmami stał w progu i poprawiał okulary w drucianej oprawie. Miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami, a czerwone szelki podtrzymywały poplamione spodnie, które kiedyś były częścią eleganckiego garnituru. Przy jego butach nie było ostróg. Twarz zaczynała się starzeć, policzki miał obwisłe, a szyję pomarszczoną. Skinął Coppersowi, patrząc na konia.

— Wygląda na klacz Alethy — odezwał się.

— Zgadza się, jestem Dave, nowy pomocnik na Porębie B — odparł Coppers, zastanawiając się, dlaczego Bennion zatrudnił w swoim przedsiębiorstwie weterynarza na pełnym etacie.

Coppers wyjaśnił, w jakich okolicznościach Farah doznała obrażeń.

— Wygląda nieźle — mruknął doktor Jasper — może pomóc przyłożenie balsamu leczniczego. — Wyprostował się i spojrzał na Dave'a — zaraz przyniosę.

Jasper wszedł do chaty, a za nim Dave. Patrzył, jak weterynarz szpera w bałaganie na półce. Zdjął puszkę z maścią, otworzył wieko i powąchał.

— To jest dobra rzecz, zapobiega zakażeniu.

Dave spojrzał na wiszącą nad półką, odręcznie wypisaną tabliczkę: Jasper Bartell, dr wet. i med.

— Myślałem, że Jasper to pańskie nazwisko.

Weterynarz zaprzeczył ruchem głowy:

— Nazywają mnie doktorem Jasperem od czasów, kiedy studiowałem weterynarię w Kansas. Większość ludzi zapomniała moje nazwisko, jeżeli w ogóle kiedykolwiek je znali.

Minął Dave'a i wymachując wiadrem ruszył ku drzwiom.

— Czy to nie jest niezwykłe, że ranczo ma własnego weterynarza?

Jasper skinął:

— Cóż, owszem. Można powiedzieć, że znalazłem się tutaj w wyniku akcji ratunkowej przeprowadzonej przez Mela Benniona.

— Akcji ratunkowej?

— Tak. Kilka lat temu wpadłem w tarapaty. Zaprzepaściłem moją praktykę, zacząłem pić i o mało nie zapiłem się na śmierć, kiedy Mel Bennion przywiózł mnie tutaj i postawił na nogi. Mel to dobry człowiek.

Gdy podeszli do niespokojnej Farah, Jasper stanął i przyjrzał się jej z uwagą.

— Lepiej chwyć ją mocno — powiedział — to ją przez minutę lub dwie zapiecze. Może trochę wierzgać i być nieco podenerwowana. Niech się pan po prostu uwiesi palcami na jej górnej wardze; musi wiedzieć, że pan ją trzyma, nie będzie walczyć.

Coppers chwycił mocno jedną ręką za kantar Farah, a kciukiem i środkowym palcem drugiej złapał za górną wargę klaczy, ale nie ścisnął mocno.

— W porządku, proszę jej to przyłożyć.

Klacz wzdrygała się, drżała i zniżała zad, gdy Jasper przykładał balsam do rany. Coppers przemawiał do klaczy uspakajająco i zaciskał rękę na jej nosie, tak żeby wiedziała, że nie powinna się wyrywać.

— To wystarczy — powiedział doktor Jasper i cofnął się. — Przełożę trochę tego balsamu do mniejszego pojemnika, żebyś mógł go zabrać. Smaruj jej tym rany aż wyschną, a będzie zdrowa. To wspaniała klacz.

— Owszem — zgodził się Coppers.

Odwrócili się na dźwięk, dobiegającego z dala, przeciągłego okrzyku. Dyliżans należący do Box MB zjeżdżał ze wzgórza ku siedzibie rancza.

— To słychać Humpy'ego Willcoxa — stwierdził spokojnie, z zadowoleniem, Jasper. — To najlepszy cholerny woźnica w całej branży, co właściwie jest przykre bo dyliżanse wychodzą z użycia. Ten jest stary. Kursował na trasie z Cheyenne do Deadwood. Właśnie miało go kupić kilku ludzi ze Wschodu, ale Mel zabrał im go. Twierdzi, że dla ratowania historycznej pamiątki, ale mnie się coś zdaje, że chciał, aby mały zobaczył coś ze starego Zachodu, gdy dorośnie.

— Czy on prowadzi dyliżans na trasie do Cheyenne i z powrotem?

Jasper zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Dwa razy w tygodniu wyjeżdża na pociąg do Laramie i z dworca od czasu do czasu zabiera kilku turystów.

— Jak wielu jest teraz gości?

— Około trzydziestu. Wszyscy są teraz w terenie. Wrócą później i będę miał wtedy mnóstwo pracy. Turyści nie dbają o konie.

Trzydziestu. Mój Boże! — pomyślał Coppers.

Zadanie sprawdzenia trzydziestu przyjezdnych wydawało mu się niewykonalne.

— Ponad połowa to kobiety — ciągnął Jasper — to niezła zbieranina. Jest wśród nich bardzo młoda i ładna nauczycielka z Chicago, która podczas jazdy w terenie sprawia więcej kłopotu niż tabun dzikich koni.

Coppers odwrócił głowę w stronę potoku, koło którego zauważył jakieś poruszenie. Spomiędzy drzew wyłonił się mężczyzna w woderach po pachy, z wędką w ręku. Jego kapelusz był pełen muszek używanych na przynętę.

— Kto to jest?

Doktor Jasper zaśmiał się kwaśno.

— H. Richard Donel, najsławniejszy dziennikarz na świecie, jeśli wierzyć temu co sam o sobie mówi. — W głosie weterynarza wyczuwało się wyraźny niesmak.

— Dlaczego nie pojechał ze wszystkimi? On też jest gościem, prawda?

Jasper wzruszył ramionami:

— Sądzę, że boi się koni. Twierdzi, że dokucza mu stara rana z wojny kubańskiej. Dostał dezynterii czy czegoś w tym rodzaju.

Donel zniknął z pola widzenia, za rosnącą wzdłuż strumienia kępą topól.

— Nowicjusz bojący się koni spędza wakacje na ranczu? — zapytał Dave z niedowierzaniem.

— Podejrzewam, że chowa coś w zanadrzu. Poszukuje weteranów, którzy służyli w Burzowych Jeźdźcach Roosevelta. Opowiada o tym. Przysięga, że Teddy rekrutował wszystkich morderców, bandytów i szumowiny, jakie tylko mógł znaleźć do walki na Kubie. Donel stara się zgromadzić materiał obciążający Teddy'ego. Wyszukuje różne brudy, żeby zdyskredytować prezydenta. To jest w tych stronach cholernie niepopularne.

— Ktoś go może za to zabić — zgodził się Coppers. — A co on właściwie takiego robi, żeby wydobyć te informacje.

— Jak na razie rozmawiał z częścią ludzi Benniona. Dwóch z nich brało udział w wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, ale służyli na Filipinach. Sądzę, że Donel szuka ludzi, którzy byli z Teddym na Kubie. Chodź, zaprowadzimy Farah na małe pastwisko obok zagrody. Jest tam pełno wody i paszy, nie będą jej przeszkadzać inne konie.

Coppers odwiązał linkę i poprowadził Farah, a w ślad za nim, pospieszył doktor Jasper. Doktor otworzył furtkę, a Coppers zwolnił klacz i wpędził za ogrodzenie. Przez chwilę stał i patrzył, jak Farah krąży po małej zagrodzie.

— Muszę się przygotować do opatrzenia kilku wyczerpanych koni — powiedział doktor i poszedł ku drewnianej chacie, w której mieścił się jego gabinet i apteka.

Coppers zaczekał aż doktor Jasper zniknie i po najbliższej kładce przeszedł na drugą stronę strumienia. Po tej stronie chaty były elegantsze.

Jak przewidywał, dziennikarz wynurzył się spośród drzew i szybkim krokiem zmierzał w stronę chaty stojącej najbliżej głównego budynku mieszkalnego. Coppers uniósł rękę w pozdrowieniu. Donel zwolnił kroku, a potem stanął i przyjrzał się Coppersowi.

— Jest pan tu obcy? — zagadnął.

— Pracuję na Porębie B, dla Boyntonów.

— Boyntonów? Ach tak, czy Aletha jest tutaj?

Coppers poczuł ukłucie zazdrości, słysząc z jaką swobodą Donel wymawia jej imię. Przytaknął.

— Odwiedza panią Bennion.

Przyjrzał się Donelowi, a to co zobaczył nie zrobiło na nim dużego wrażenia.

— Doktor Jasper mówi, że jest pan zainteresowany rozmową z weteranami wojny kubańskiej, którzy służyli pod Rooseveltem.

Donel skinął potakująco, a na jego twarzy pojawiło się napięcie.

— Tak, to prawda.

— Dlaczego szuka pan w takiej zapadłej dziurze? Czemu nie w Cheyenne czy Denver, lub przynajmniej gdzieś, gdzie by pan miał więcej rozmówców?

— Mam swoje powody, żeby tu być — odparł Donel sztywno — i jak na razie te powody mi wystarczają.

— Czego się pan dowiedział?

— Dowiedziałem się tego wszystkiego, co chciałem wiedzieć. To, czego teraz szukam to dokumentacja czy też dowody, jeśli pan woli.

— Dowody na co?

— Pan nie jest dziennikarzem, prawda? — zapytał Donel podejrzliwie, stając się nagle ostrożny.

Coppers roześmiał się, wskazując rękami na swój podły strój.

— Czy ja wyglądam na dziennikarza?

— Pański wygląd mówi, że nie — odparł Donel gładko — ale w panu jest coś jeszcze. Czy był pan w Burzowych Jeźdźcach? Czy to stamtąd pochodzą te blizny?

Coppers skłamał bez wahania.

— Nie, jestem tylko tym na kogo wyglądam — wędrownym poganiaczem bydła. — Coppers nie spotkał wielu ludzi, którzy otwarcie mówiliby o jego pokrytej bliznami twarzy. Przy pierwszym spotkaniu niektórzy odwracali wzrok, inni nie mogli wzroku oderwać. Ale niewielu podnosiło tę kwestię z taką łatwością, jak uczynił to Donel, nie zważając na niestosowność uwagi. Jego początkowa niechęć do Donela pogłębiła się.

Donel chrząknął.

— Myślę, że to lepiej dla pana — powiedział — bycie członkiem tej skrytobójczej bandy, to z pewnością żaden zaszczyt!

— Obawiam się, że pańskie informacje są błędne — stwierdził chłodno Coppers — mam wśród nich przyjaciół i wiem kim są.

— Rzeczywiście? No, chłopie, pozwól, że coś ci powiem: byłem tam osobiście i dobrze ich poznałem. To największa zgraja bandytów, jakich kiedykolwiek w historii wojen zgromadzono. I proszę mi wierzyć, Roosevelt wiedział kim oni są. On specjalnie takich werbował, wiedząc, że większość z nich jest ścigana.

— Nonsens! Roosevelt cieszy się w kraju wielkim szacunkiem, a zwłaszcza tu, na Zachodzie.

— Ha! Ja osobiście rozbiję mit Roosevelta i będę się miał czym posłużyć.

Coppers czuł, jak zaczyna tracić panowanie nad sobą, mimo iż rozumiał, że byłoby dużym głupstwem wdawanie się w bójkę z tą dziennikarską miernotą.

— Przykro mi — mruknął — ale nie mogę życzyć panu powodzenia. Nie, cofam to. Nie jest mi przykro — odwrócił się tyłem do Donela, opierając się pokusie, by go uderzyć.

Pierwszy z jeźdźców uczestniczących w organizowanym przez Box MB rajdzie, wyłonił się spośród sosen na południowo-zachodnim skraju rancza i zaczął się opuszczać w dolinę. Wkrótce długa kolumna koni i jeźdźców, wzbijając kurz, sunęła łagodnym zboczem. Nawet z daleka wyglądali na przemoczonych i zmęczonych.

Coppers przeszedł następną kładką przez strumień i udał się do drewnianej chaty doktora Jaspera. Drzwi były otwarte. W środku doktor uwijał się wokół palnika bunsenowskiego, który odstawił; Coppers wsparł się ręką o framugę.

— Widać ich? — zapytał Jasper.

Coppers skinął:

— W tym tempie będą tu za dwadzieścia minut.

Doktor Jasper podszedł do drzwi, a Coppers wychylił się, żeby się przyjrzeć wysokiemu jeźdźcowi na dużym, srokatym koniu, który wyjeżdżał z wąwozu daleko przed prowadzącym kolumnę. Mimo że widział Benniona tylko raz przez chwilę, tamtej nocy na dworcu w Cheyenne, to jednak rozpoznał go od razu.

— To Mel — wyjaśnił Jasper — pod koniec jazdy nie może się doczekać, żeby się odczepić od turystów. Nie znosi ich.

Gdy Bennion zbliżał się do domu, stary dyliżans z linii Cheyenne – Deadwood ruszył pełnym galopem w dół zbocza. Wszystkie cztery konie biegły wyprężone, z rozwianymi grzywami i ogonami. Na koźle siedział Humpy Willcox: darł się jak opętany i wywijał batem.

— Czy on oszalał? — mruknął Coppers.

— W ten sposób stary Hump kończy każdą podróż — objaśnił Jasper, podczas gdy dyliżans wpadł do strumienia, wzbijając srebrną ścianę wody.

Takie sceny Coppers znał dobrze. Ale do tej coś dodano. Grupa dzikich, spłoszonych koni wynurzyła się z wąwozu i mknęła drogą za dyliżansem. Dostrzegł dwóch jeźdźców poganiających zwierzęta i wywijających białymi szmatami.

Dyliżans zwolnił, a potem przyspieszył znowu, gdy Humpy użył bata. Dzikie konie nadbiegły w popłochu, parskając, rżąc, z oczami zbielałymi od strachu. Niektóre z tych biegnących z tyłu miały przywiązane do ogonów blaszane puszki, co zwiększało jeszcze ich przerażenie.

Tabun minął dyliżans i rozpierzchł się na wolnej przestrzeni między domem, stajnią i zagrodami, wyłamując ogrodzenia, przewracając niewielki wiatrak, który pompował wodę na pastwisko. Pół tuzina dzikich koni oderwało się od stada i wmieszało między konie turystów, których podniecone wierzchowce zaczynały wierzgać i ponosić. Humpy stał na koźle i wstrzymywał swój własny, przerażony zaprzęg, okładając jednocześnie batem mustangi.

Coppers ruszył biegiem w stronę dyliżansu. Machał rękami i czuł się jak głupiec, próbując w ten sposób zawrócić dzikie konie. Skręcił na pastwisko, gdzie drogę zagrodził mu dzikooki mustang. Chwycił go za grzywę, wskoczył, siadając wysoko na kłębach, pochylony, aby dosięgnąć spienionego pyska. Wbił obcasy w boki wierzchowca i odchylił jego górną wargę. Koń dalej wierzgał i wyrywał się, przebiegając w ten sposób przez stado, by dotrzeć na drugą stronę, w okolice zagrody. W minutę później Coppers siedział na koniu, który należał już całkowicie do niego. Bez siodła, ale za to z uzdą, która pozwalała mu kierować ruchami wierzchowca.

Kiedy zaczął pędzić mustangi przed sobą, dwaj jeźdźcy, którzy płoszyli wcześniej mustangi, wyrzucili białe szmaty, wyjęli broń i zaczęli strzelać w powietrze. Zdołali tak objechać stado kilka razy, zanim Coppers wpędził konie do płytkiego wąwozu. Nie minęło pięć minut, a zniknęły mu z oczu. Słyszał tylko w oddali stukot kamieni i brzęk puszek przywiązanych do ogonów. Potrząsnął głową: te konie zagonią się na śmierć.

Gdy wynurzył się z wąwozu, podjechał do niego kowboj i wyciągnął rękę.

— Nie widziałem czegoś takiego od czasów, kiedy przez Cheyenne biegła granica — oświadczył — to dopiero jazda, proszę pana.

— Dziękuję — odparł sucho Coppers — trochę zardzewiałem. Zawsze w ten sposób pozdrawiacie powracających gości?

— Pan Bennion nie miał z tym nic wspólnego — odparł z przejęciem kowboj o ogorzałej twarzy.

Uniósł się w siodle.

— To dopiero musi być widok, kiedy pan nie jest zardzewiały.

— Pochylił głowę w stronę turystów. Niektórzy z nich stali na ziemi, przytrzymując konie, inni nerwowo siedzieli w siodle. Po wszystkich znać było dni spędzone na szlaku.

— Teraz zajmę się trochę turystami, a potem się zobaczymy. Jesteś nowym pomocnikiem Mela?

— Nie. Pracuję na Porębie B — odparł Coppers, zastanawiając się czy tak jest w istocie.

Twarz rozmówcy stężała, przyjrzał się Coppersowi dokładnie.

— Czy to prawda? — zapytał chłodno. — Cóż, to na razie, kolego — podniósł rękę, zawrócił konia i podjechał do gości.

13

Coppers objechał grupę turystów i zatrzymał się przed domem, w miejscu, gdzie stał boso Mel Bennion. Rozmawiał z kowbojem o ogorzałej twarzy, który przed chwilą gratulował Coppersowi odgonienia mustangów.

— Zaprowadź ich do domków — mówił Bennion — do diabła, zabierz ich gdziekolwiek, Grady. Zorganizuj ognisko, a zaraz po kolacji zaczniemy śpiewy. Będzie muzyka, mnóstwo głośnej muzyki i do cholery, Grady, albo Spook, albo Rattle musi odejść. Nie możemy pozwolić, żeby się bili o turystki, słyszysz.

— Tak szefie. Rattle i Spook są kumplami od czterech czy pięciu lat. Pogodzą się, kiedy ta turystka wyjedzie. Chce pan, żebym się ich pozbył? Obu? Proszę pamiętać, że Spook gra na gitarze.

— Do licha ciężkiego — jęknął Bennion — zabierz ich stąd natychmiast. Zrób tak, żeby Rattle się wyniósł do czasu, aż ta zalotna dziewczyna nie wyjedzie do domu. — Odwrócił się i skierował ku drzwiom. Odsunął na bok Sal i zaklął, zatrzymując się, aby wyjąć drzazgę z bosej stopy.

Sal zeszła po schodkach, patrząc na Coppersa. Jej twarz pociemniała, oczy ze strachu zaszły mgłą.

— Nie ma Alethy!

Coppers wpatrywał się w Sal, czekając aż dokończy.

— Ona i Tommy... Tommy jest taki dumny, że może jej pomagać... oboje poszli zrywać kwiaty, polne kwiaty nad potokiem, kiedy zaczęła się ta cała awantura z dzikimi końmi.

— Czy pani mąż wie?

Przytaknęła:

— Jest z Tommym w biurze — zawróciła i potykając się w pośpiechu weszła po schodkach. Otworzyła drzwi i zaprosiła go gestem do środka. Przez drzwi wślizgnął się również garbaty kowboj Humpy.

Bennion siedział w fotelu z Tommym między kolanami. Mały miał wykrzywioną od płaczu, otwartą buzię. Mel trzymał go palcami za policzek tak, żeby dzieciak patrzył mu prosto w oczy. Z ubrania Tommy'ego kapała na podłogę woda.

— Nie bój się, Tommy — mówił Bennion uspakajająco — nikt cię tu nie skrzywdzi. Powiedz mi tylko co ty... no co się stało.

Tommy przeniósł wzrok na Coppersa i nawet spróbował się uśmiechnąć.

— Zabrali ją — wydusił. — Chwyciło ją dwóch łudzi. Mieli dodatkowego konia. Jeden z nich przejechał obok mnie i uderzył strzemieniem, że wpadłem do potoku.

— W którą stronę pojechali, Tommy?

— W stronę gór. Bennion poklepał chłopca po głowie, przytulił i zawołał Sal.

Weszła wzburzona.

— Przebierz go w jakieś suche ubranie — rzekł Bennion i poczekał aż Sal i Tommy wyjdą.

— Przypuszczam, że ty jesteś Dave? — zwrócił się do Coppersa. — Miło mi cię poznać, choć szkoda, że w takich okolicznościach.

Coppers uścisnął dłoń Mela Benniona. Spodobało mu się to, co w nim zobaczył: serdecznego mężczyznę o spojrzeniu, które nadawało mu wygląd człowieka o silnym charakterze.

— Sądzę, że powinienem zadzwonić do zastępcy szeryfa w Arapaho.

— Proszę tego nie robić — odparł Coppers — Al Hunter został zabity zeszłej nocy. Zastrzelony z ukrycia.

Bennion wytrzeszczył oczy:

— Dobry Boże! Może szeryf przyśle kogoś w zastępstwie — ruszył w stronę drzwi.

— Nie. Zajęłoby to zbyt wiele czasu. Pojadę za nimi. Teraz.

— Diabła tam, pojedziesz! Ją porwano ode mnie. Zbiorę paru chłopaków...

— Nie! Zniszczyliby tylko ślady, jakie być może znajdziemy. Zgadzam się tylko na pana i nikogo więcej.

— Szefie, przyjrzałem się tym dwóm — wtrącił Humpy — jeden to włóczęga Spud Oliver.

Przypomniało to Coppersowi jego jazdę na stację Muddy Creek, podczas której podążało za nim dwóch ludzi, z których jeden nazywał się Spud. Ci sami wcześnie pobili Dakotę.

— Imienia tego drugiego nie znam — ciągnął Humpy — ale, jak słyszałem w mieście, to nie kto inny jak Henry Eggert, stary kumpel Butcha Cassidy. Henry zniknął mniej więcej w tym samym czasie co Butch.

— Idź Humpy, osiodłaj dwa konie — powiedział Bennion. — Ja i Dave pojedziemy za nimi.

Gdy z zamykanego na żaluzje, pełnego rupieci biurka wyciągał swój pas z bronią i przypinał go, nie przestawał siarczyście kląć.

Tracisz wszystkich, myślał Coppers, czekając na konie. Bennion grasował po pokoju, mrucząc niczym wściekły niedźwiedź.

Coppers wierzył dotąd, że potrafi rozwiązać tę łamigłówkę. Tymczasem otarł się o trzy morderstwa: Gage'a, Maxa Calluma i młodego Gila Tatuma. A teraz jeszcze to: porwanie kobiety w kraju, gdzie czci się nawet te, które pracują nocą. Czy to wszystko ma jakiś związek.

Wyczuwał instynktownie, że pominął coś ważnego, coś o czym nie wiedział, a powinien był wiedzieć. Myśl ta dręczyła go i doprowadzała do szaleństwa, nie mógł się jej pozbyć i skupić się na pogoni za porywaczami Alethy.

Usłyszał dobiegający z dworu okrzyk Humpy'ego i pierwszy ruszył do koni.

Coppers i Bennion dosiadali najlepszych wierzchowców w Box MB. Nie były zbyt szybkie, ale za to smukłe i niezwykle wytrzymałe. Mel trzymał latarkę i pochylał się od czasu do czasu w siodle, szukając śladów. Ujechali

powoli jakieś sześć mil od Box MB, zanim odnaleźli trop i skręcili na Zachód, ku górom.

Spud Oliver i Henry Eggert, jeżeli to byli oni, nie próbowali zacierać śladów.

— Chcą najpierw odjechać jak najdalej — zgadywał Bennion — dopiero jutro rano zaczną zacierać ślady.

Coppers bez słowa, niecierpliwie poganiał konia. Po kilku próbach wyciągnięcia od Coppersa jakichś informacji, Bennion popadł w ponure milczenie, przerywane jedynie wybuchami gniewu.

— Dlaczego, u diabła, dwóch zwariowanych kowbojów miałoby robić coś takiego? — krzyczał. — Do czego dojdzie ten cholerny świat?

— Co do świata, nie wiem — odparł Coppers — ale zastanawiam się dlaczego dokonano takiego napadu na twoje ranczo.

Bennion westchnął:

— Zanim dowiedziałem się, że uprowadzono Alethę myślałem, że może zostałem wciągnięty w wojnę hodowców bydła i owiec. Tyrell i Talbot podzielili ludzi na dwa obozy. Myślałem, że najazd dzikich koni miał na celu nakłonienie mnie, bym się przyłączył do Tyrella, ale teraz tak nie sądzę. Ktokolwiek zabrał Alethę, zrobił to dla okupu. Uważa się, że stary Boynton jest bardzo bogaty.

— Myślałem, że ci od bydła i owiec już się jakoś dogadali.

— Taak. Tak było do czasu aż ci dwaj starzy głupcy nie zaczęli wodzić się za łby. Nie mam nic przeciw owcom. W gruncie rzeczy sam przez jakiś czas próbowałem je hodować. Najgłupsze, cholerne zwierzęta, jakie kiedykolwiek Bóg stworzył. Doszło do tego, że nie mogłem na nie patrzeć.

Coppers słuchał jednym uchem. Ufał Bennion owi, ale wiedział, że nie może mu się zwierzyć. Ci dwaj, którzy za nim jechali, o coś go podejrzewali, ale nie miał pojęcia o co.

Co to za strasznie poplątana historia, pomyślał.

Do szaleństwa doprowadzała go świadomość, że gdzieś istnieje kluczowa informacja — dla niego niedostępna. Teraz zdał sobie sprawę, jak musi się czuć Aletha na obcym terenie. W pewnym sensie był również ślepy jak ona.

Wszedł księżyc, dając im trochę światła. Coppers prowadził i od czasu do czasu sprawdzał trop.

— Zmierzają prosto w najdziksze okolice — rzeki Bennion. — Nadal zostawiają ślady, byle tylko zyskać na czasie.

Rozdrażniony Coppers jechał dalej w milczeniu. Księżyc zaszedł i raptem zrobiło się ciemno, choć oko wykol. Latarnia wypaliła się i zgasła.

— Nie ma nafty — stwierdził Bennion, ze złością potrząsając lampą nad uchem. Cisnął ją w ciemność.

Teren wznosił się tu stromo, odkryta skała usiana była kamieniami i ściółką utworzoną przez rzadko rosnącą roślinność.

Coppers zatrzymał konia. Zsiadł, skręcił papierosa, a przypaliwszy go przyświecił sobie płonącą zapałką, badając przez chwilę otaczające ich ciemności. Skała tworzyła tu półkę, osłaniającą ich od wiatru. Od gór czuło się niemal łagodny podmuch. Przez chwilę Coppers był wdzięczny

Bennionowi za znoszoną kurtkę z grubego sukna: ciepłą, choć trochę wąską w ramionach.

— Pozostaje nam tylko zaczekać na świt — rzekł i odpiął popręg. Zdjął siodło, wygładził koc palcami, aby nie zesztywniał, położył go na siodle i wytarł konia.

Coppers siedział oparty plecami o skałę i wpatrywał się markotnie w niebo, próbując z układu gwiazd odczytać, która jest godzina.

Bennion ulokował się obok niego.

— O Boże, ale zimno — poskarżył się — musimy być dość wysoko.

— Jak sądzisz, dokąd oni zmierzają?

— Diabli wiedzą. Kilka mil stąd jest stara chata, ale używają jej owczarze. Gdzieś o tej porze roku przypędzają tu stada na letni wypas. Jest ze sto miejsc, gdzie ci dranie mogli się zatrzymać.

— Podróżują bez bagażu. Być może przygotowali miejsce na postój zanim porwali Alethę.

— Mogło tak być — przyznał Bennion. Przez chwilę milczał, a potem dodał. — Dlaczego nie chciałeś, żebym zadzwonił do szeryfa? Ani żebym zabrał ze sobą kilku chłopaków?

— Zorganizowanie oficjalnego pościgu zajmuje zbyt wiele czasu. A ty spędziłbyś pół nocy wrzeszcząc w słuchawkę, zanim ktoś w Laramie zrozumiałby co się stało w Box MB. Myślałem, że we dwójkę lepiej sobie poradzimy.

W rzeczywistości wolałby wyruszyć sam, ale powstrzymał się przed wyjawieniem tego Bennionowi. Był rozdrażniony, nerwowy. Pragnął, choć nie miało to sensu, jechać dalej. Wydawało mu się, że czas stoi w miejscu. Z trudem znosił siedzenie z Bennionem na zboczu wzgórza i czekanie na świt. Pomyślał, że nie byłby to stracony czas gdyby udało mu się, nie wzbudzając podejrzeń, uzyskać jakieś informacje.

— Masz tam na dole ładne gospodarstwo — zaczął — sam to wszystko zbudowałeś?

— Ja? Skądże znowu. Nie potrafię równo przyciąć deski ani wbić gwoździa, żeby go przy tym nie zgiąć. Wynająłem do tego starego Luke'a Teetersa, który mieszka przy drodze do Arapaho. Jest dobrym stolarzem i kamieniarzem i miał dobrych pomocników.

— Musiałeś rozpocząć budowę w tym samym czasie, kiedy Boynton wprowadził się na Ranczo G — zaczął Coppers. Chodziło o to, aby z niczym się nie zdradzając, dowiedzieć się jak najwięcej o Boyntonie.

— Zgadza się — odrzekł Bennion — tak, mniej więcej w tym samym czasie.

— Czy Luke budował lub przebudowywał dom Boyntona?

— Nie. Z pewnością nie. Boynton wynajął go do wykonania całej tej roboty. Kiedy Luke miał już przystąpić do wyburzenia starego domu, Boynton nagle się wycofał.

— Więc kto zbudował ten... zamek, to znaczy dom Boyntona?

— Ta nazwa świetnie pasuje. Boynton pojechał do Dakoty, czy może Minnesoty i przywiózł grupę cudzoziemskich robotników. Nie potrafili nawet mówić po amerykańsku. Sądzę, że Luke’a wprawiło to w zły humor.

Tak jak mnie, bo Luke — czekając aż się Boynton namyśli — opóźniał moją budowę.

— Czy ci zagraniczni budowniczowie są tu gdzieś jeszcze?

— Nie, skończyli dom i zniknęli tak nagle, jak się pojawili. Wydajesz się tym wszystkim ogromnie zainteresowany. Myślisz o osiedleniu się w tych stronach?

Coppers roześmiał się:

— Nie da rady. Gdyby rancza sprzedawali po pięć dolarów, nie mógłbym kupić nawet słupka z ogrodzenia.

Bennion był rozmowny, ale Coppers wyczuł, że na razie ma już dość. Czas wlókł się niemiłosiernie. Bennion chrapał. Coppers poczuł przypływ nieuzasadnionej złości do niego. Wywołało to w nim lekkie poczucie winy. Bennion miał za sobą długą, męczącą jazdę w towarzystwie trzydziestu turystów. Dość, by wyczerpać kogoś twardszego nawet od niego. Jest dobrym człowiekiem, pomyślał Coppers, żyjącym tak, jak żyją ludzie na Zachodzie. Gościnny, słowny, spokojny, skuteczny i zdolny do zapanowania nad większością sytuacji.

Niebo przejaśniało, aż prawdziwy świt pokrył je szarością. Gwiazdy jedna po drugiej mrugały i gasły.

Wstał, przeciągając się. Jego koń zarżał. Bennion usiadł, przecierając twarz rękami i włożył kapelusz.

— Ruszajmy — powiedział Coppers.

Wziął koc, rozłożył go na grzbiecie konia i wygładził.. Zarzucił siodło i zapiął popręg. Bennion w milczeniu osiodłał konia.

Wyjechali spod osłony skalistej półki. Coppers ujrzał płytki strumień, spływający z podgórza, dzielącego ich od Gór Skalistych. Dalej grunt, po którym jechali był prawie litą skałą. Coppers rzucił wodze i ruszył przodem, pieszo, badając każdą piędź ziemi; chodził tam i z powrotem przez koryto dawnego potoku. Znalazł na skale kilka zadrapań, które mogły zostawić żelazne podkowy. W szczelinie skalnej zauważył zgnieciony listek trawy. Przycupnął na piętach, badając grunt, czuł jak narasta w nim bezsilna wściekłość.

— Znalazłeś coś? — zapytał Bennion.

Coppers podniósł się gwałtownie.

— Pojechali tędy — powiedział i wsiadł na konia.

— Nie zabrałem nic do jedzenia — rzekł Bennion.

— Mam suszone mięso w jukach — odparł krótko Coppers.

Stał się drażliwy. Czas uciekał. Im dłużej będą zwlekać, tym dalej Spud Oliver i Henry Eggert uprowadzą Alethę.

Ruszył przodem, ale przyhamował, słysząc w oddali odgłos wystrzału.

— Za następnym wzgórzem — dobiegł go z tyłu głos Benniona.

Coppers zmusił swego wierzchowca do pracowitego biegu w górę po pofałdowanym wzgórzu, aż na szczyt, skąd roztaczał się widok na dolinę. Przez krótką chwilę jechali w słońcu, aby schodząc pogrążyć się znów w półmrok zalegający wciąż w dolinie. Odległe góry skąpane były w blasku porannego słońca. To dlatego nazywają je „świecącymi”, pomyślał. Coppers zatrzymał konia, aż spod jego kopyt posypał się żwir. W dole

płonął wóz pasterski. Nieopodal leżały dwa ciała, a wokół, niczym szare tłumoki, leżały ciała zabitych owiec.

Większość stada rozpierzchła się w popłochu. Nad jednym z kanionów, w które przechodziła dolina, unosił się kurz.

— Chodźmy na dół — powiedział Coppers.

Bennion podjechał bliżej, wbił ostrogi w boki wielkiego konia, który puścił się ciężkim, dudniącym krokiem w stronę płonącego wozu.

Do płonącego wozu przywiązane były dwa psy. Zeskoczył na ziemię i nożem odciął sznurki. Psy skuliły się u jego stóp, skomląc, dopóki nie wyciągnął dłoni i nie powiedział: Bierz ich!

Popędziły w kierunku owiec i zaczęły je zaganiać w zbitą gromadę.

Bennion wpatrywał się w tamtych dwóch na ziemi.

— Oni nie żyją.

Coppers podszedł i przykucnął obok bliżej leżącego pasterza. Dostał dwa razy i zdążył tylko wypaść z wozu. Drugi z nich był dosłownie roztrzaskany przez kule.

— Dobry Boże! — mruknął Bennion. Podszedł i podniósł okrągły, ciężki kawałek drewna. — Patrz, wyjęli szprychy z kół i walili nimi owce po łbach. Ktoś zapłaci Willowi Talbotowi za tę robotę swoim skalpem.

— Talbot?

— Taak. To największy w tych stronach hodowca owiec. Znasz go?

Coppers zaprzeczył ruchem głowy, przypominając sobie, jak z Harlanem Gage'em szukali jego ojca i jak później uznali go za zabitego. Frank Gage wyszedł, by powstrzymać Willa Talbota przed wtargnięciem na jego ziemię i nigdy nie powrócił. To stara historia, pomyślał.

— Nie wierzę, że zrobili to ci, którzy uprowadzili Alethę — oświadczył. — To nie ma sensu — ale w tym momencie przyznał przed sobą, że tu już nic nie miało sensu.

— Będziemy musieli zawiadomić Talbota — stwierdził Bennion.

— Zawiadom go, jeśli chcesz — powiedział Coppers, sadowiąc się w siodle — ja jadę dalej, za tamtymi dwoma. O ile uda mi się odnaleźć trop.

— Co, u diabła, nie puszczę cię przecież samego — obruszył się Bennion, wsiadając na konia. — Chodziło mi o to, że powiadomimy Talbota, jak tylko będziemy mogli.

Coppers jechał przodem, gdy w milczeniu wracali na porzucony trop. Dojrzał jaśniejszą plamę obok karłowatej sosny. Podjechał, przykucnął w cieniu swego konia i podniósł małą, szarą rękawiczkę z cienkiego materiału. Jaka mała — pomyślał — trzymając w palcach rękawiczkę Alethy.

— Ona tędy jechała — powiedział, gdy Bennion podjechał bliżej — zostawiła rękawiczkę.

— Skąd wiedziała?

— Usłyszała na skałach dźwięk żelaznych podków. Wiedziała, że konie nie zostawią śladów. Być może upuściła coś jeszcze po drodze. Jedź przodem, a ja tu zostanę. W ten sposób możemy jechać od znaku do znaku. Włożył rękawiczkę do kieszeni. Patrzył jak Bennion dosiada konia i wolno rusza z miejsca, badając grunt.

Coppers wyjął rękawiczkę z kieszeni i powąchał, wciągając głęboko jej znajomy zapach. Gest ten sprawił, że gdzieś głęboko poczuł nieznany dotąd, niepokojący ból.

Wyprostował się, gdy ujrzał w oddali Benniona, jak staje w strzemionach i pochyla się w siodle, aby podnieść coś z ziemi. Coppers pognał konia pod górę.

— To kawałek niebieskiej wstążki — rzekł Bennion, wręczając Coppersowi znalezisko.

Wziął cienki skrawek materiału i przypomniał sobie, że nosiła to pod zabawnym kapeluszem, który tak starannie zakładała, gdy opuszczali Porębę B. Czy to było wczoraj? Wydało mu się, że co najmniej przed rokiem. Włożył wstążkę do kieszeni, obok rękawiczki.

— Pojadę naprzód — stwierdził — a ty tu zaczekaj.

Dał koniowi ostrogę, ściągając krótko wodze, gdy zwierzę próbowało gwałtownie wbiec na coraz bardziej strome zbocze. Jeździł tam i z powrotem badając każdy skrawek ziemi. Miał już zrezygnować, gdy odnalazł drugą rękawiczkę. Rozejrzał się za Bennionem, chcąc ustalić dalszy kierunek jazdy i gestem przywołał ranczera. Zniecierpliwiony, patrzył ponuro przed siebie, czekając.

— To jest kierunek, w którym jadą — pokazał ręką — czy coś ci to przywodzi na myśl?

Bennion podniósł się w siodle, aż skrzypnęła skóra.

— W głębi kanionu, zaraz za tym wierzchołkiem jest stara, opuszczona kopalnia. Kilka, może tuzin chat i dziwna góra, z której nie wydobyto niczego, co by było warte choć centa. Ludzie, którzy tam kiedyś mieszkali nazywali to Eagle Springs. Teraz jest to osada-widmo.

— Musi tam prowadzić jakaś droga — zauważył Coppers.

— Dochodzi, ale z drugiej strony.

— Jak daleko stąd?

— Nie więcej niż godzina drogi, Dave. Ale nie mamy pewności, że się tam ukryją.

— Dowiemy się — odparł Coppers krótko. — Chodźmy.

Poczekał aż Bennion go minie i ruszył sam, zamyślony. Przebywając w towarzystwie Benniona, coraz bardziej go lubił. Łączył on w sobie cechy dużego dziecka z przezornością starego farmera. Musiał być z niego niezły numer w młodości. Ożenek z Sal ani trochę nie zaszkodził Bennionowi w oczach Coppersa. Na Zachodzie było mało kobiet i niejedna z nich zamieniła niepewną pozycję córy Koryntu na status szanowanej matki i żony. To było na Zachodzie najlepsze. Czy to mężczyzna, czy kobieta, byli tu sądzeni w oparciu o to kim byli, a nie o to co należało do ich przeszłości.

Bennion zatrzymał się.

— Już dojeżdżamy — ostrzegł, obracając się w siodle.

Coppers podniósł głowę:

— Czuję dym — stwierdził.

Dolina strumienia, w górę którego dotąd posuwali się przechodziła w trzy kaniony. Trop odnaleźli w pierwszym miejscu, w którym mógł się odcisnąć.

Grupa, którą tropili urządziła tu postój. Kilka kupek końskiego łajna wskazywało, że mieli co najmniej cztery konie. Dwóch jeźdźców zsiadało, paliło papierosy, a jeden odjechał gdzieś w stronę Arapaho.

Coppers zsiadł i przeciągnął się.

— Co o tym myślisz?

— Pewne jest, że ktoś się do nich przyłączył, a potem, w tym miejscu, ich opuścił. Nie wiem co o tym myśleć — Bennion zsiadł z konia i mruknął. — Jestem głodny jak wszyscy diabli.

Coppers zignorował go:

— Jaka tu jest rzeźba terenu?

Bennion przykucnął, wziął do ręki patyk i zaczął rysować na ziemi.

— Kanion wije się, zwężając, a jego ściany stają się coraz bardziej strome. Krzaki, sosny i trochę osik. Łatwo się tam kryć. Możemy ich obejść i uderzyć z którejkolwiek strony. Ja pójdę najkrótszą drogą.

— Zgadzam się — powiedział Coppers — od tej chwili idziemy pieszo.

— Twardy z ciebie człowiek, Dave.

Zatrzymali się, kiedy ponad krawędzią najbliższego wzgórza ujrzeli dach chaty. Coppers cofnął konia.

— Chodźmy tędy, na skróty — powiedział ruszając przodem przez trudniejszy teren, unikając skał, by nie rozniósł się brzęk podków o kamień.

Powoli dostali się do wyżej położonego miejsca, skąd rozciągał się widok na prawie całą osadę-widmo, na ciasno zabudowane zbocze, aż po jego górną, nieco bardziej płaską część. Przed dużą chatą stały trzy konie, ale tylko jeden z nich był osiodłany.

Bennion przypadł do ziemi, zdjął kapelusz i rękawem koszuli wytarł czoło.

— To jest barak, w którym trzyma się konie — powiedział — następna chata to kuchnia, a pozostałe to już kwatery mieszkalne.

— Wydaje się, że znasz to miejsce.

— Taak. Kiedy byłem młodszy, znałem dziewczynę, która pracowała jako kucharka w przedsiębiorstwie górniczym. Od czasu do czasu przyjeżdżałem tu powozem i wybieraliśmy się na przejażdżki — potrząsnął głową i dodał: — To było dawno temu, była tu pełna życia osada, a popatrz teraz na to.

Z baraku wyszedł mężczyzna i wsiadł na osiodłanego konia. Pojawił się też drugi, stanął w drzwiach oparty o framugę, mówiąc coś i gestykulując. Zrobił kilka kroków, spoglądając na mężczyznę na koniu; wciąż mówił i gestykulował w stanowczy sposób.

— To na pewno Henry Eggert — powiedział Bennion — on jest groźny, Dave.

— Chciałbym wiedzieć co mówi — odrzekł Coppers.

— Najpewniej wydaje rozkazy — podsunął Bennion.

Coppers skinął na znak zgody. Patrzył uważnie. Jeździec zawrócił konia i ruszył. Wkrótce zniknął w zagłębieniu terenu, aby po kilku minutach znów się pojawić.

— Wraca tą drogą, którą przyjechaliśmy — zauważył Bennion.

— Uhm. Zostań tu i obserwuj, choć nie sądzę, aby mieli prędko wyjść. Zejdę na dół i spróbuję złapać tego faceta. Może coś z niego wyciągnę — mówiąc odpinał ostrogi. Wstał, wyjął colt z olstra i zatknął za pasek spodni. Odpiął pas i rzucił obok ostróg.

— Pomyślnych łowów — mruknął Bennion i odwrócił się w stronę baraku. Coppers zaczął szybko i bezszelestnie schodzić w dół. Znajdował się w innym kanionie niż jeździec, który właśnie opuścił Eagle Springs, ale wiedział, że oba potoki krzyżują się poniżej.

Dave Coppers myślał tylko o jednym. Pragnął mieć tego jeźdźca żywego i zmusić do odpowiedzi na pytania. Potem mógł wrócić do Benniona i obmyślić sposób uwolnienia Alethy z rąk porywaczy.

Dotarł do miejsca, gdzie łączą się kaniony i rozejrzał się. Wąska ścieżka okrążała uskok dzielący oba wąwozy. W grani była naturalnie uformowana półka skalna, która kończyła się na wysokości głowy jeźdźca. Wdrapał się na nią, przykucnął i czekał. Słyszał już, że tamten nadjeżdża.

W polu widzenia pojawił się łeb konia, a potem beztrosko kiwający się w siodle jeździec. Nagle koń zatrzymał się. Zaczął rozglądać się i wietrzyć.

Jeździec nabrał czujności, stanął w strzemionach, pokręcił głową w tę i z powrotem, a jego dłoń spoczęła na kolbie rewolweru. Był mężczyzną o trudnym do określenia wieku. Orli nos, wąskie usta, niemal białe włosy, a jego czujne, głęboko osadzone oczy zdawały się należeć do zwierzęcia wyglądającego z ciemnej pieczary. Coppers, stojący dotąd w napięciu, rozluźnił się widząc, jak jeździec sadowi się z powrotem w siodle i klnie przynaglając konia łydkami.

Gdy tamten mijał go; Coppers pochylił się i jednym ciosem kolby zwalił z konia.

14

Coppers zsunął się z występu skalnego, podczas gdy koń nieznajomego pokłusował jeszcze dwanaście stóp, zanim nie przydeptał wodzy.

Pochylił się nad mężczyzną i wyjął colt ze zniszczonego olstra. Skręcił papierosa i przykucnął obok nieprzytomnego. Czekał aż tamten przyjdzie do siebie.

Dojrzał brzeg brązowego papieru, wystający z kieszeni leżącego i wyjął go. Był to wydarty z papierowego worka skrawek, na którym napisano, czarnym ołówkiem: WŁÓŻ WSZYSTKIE PIENIĄDZE DO... GDY BĘDZIESZ GOTÓW DO PERTRAKTACJI WYWIEŚ FLAGĘ NA MASZT.

Coppers schował do kieszeni koszuli list z żądaniem okupu i pochylił się, by obejrzeć siniejący guz ponad uchem leżącego. Kolba rewolweru przecięła skórę i z niewielkiej rany popłynęła stróżka krwi. Jego rzadkie blond włosy zaczynały wychodzić, tak że pozbawiony był już całkiem grzywki. Coppers obserwował go ostrożnie, nie okazując dręczącego go zniecierpliwienia.

Kończył papierosa, kiedy tamten drgnął. Zgasił skręta. Rozdarł bibułkę i wiatr wywiał z niej tytoń.

Nieprzytomny mężczyzna jęknął cicho. Poruszył się i podniósł rękę do głowy. Gdy jego palce natrafiły na guza wielkości jajka, jęknął znowu i cofnął rękę.

Coppers wstał i lekko kopnął go w żebra. Tamten powoli usiadł, zamrugał oczami i w końcu spojrzał na Coppersa spod przymkniętych powiek.

— Jak się nazywasz?

— To nie twój cholerny interes.

Kopnął go znowu, tym razem mocniej:

— Kiedy pytam, oczekuję odpowiedzi — w przeciwnym razie, połamię ci wszystkie kości. Jak się nazywasz?

— Nie zamierzam... — mężczyzna napotkał wzrok Coppersa i zmienił zdanie — Gard. Buel Gard.

— To już lepiej — skinął Coppers z aprobatą. — Dla kogo pracujesz, Gard?

— Teraz akurat jestem bez pracy.

Coppers wyjął z kieszeni kawałek wydartego z worka, brązowego papieru i rozwinął go.

— Jechałeś, aby to dostarczyć. A więc robisz coś dla kogoś. To znaczy, że dla kogoś pracujesz. Z tego wynika, że masz pracę, Gard, a ja pytam jeszcze raz: kto ci płaci?

Gard wahał się, osłaniając obronnym gestem głowę.

— Henry Eggert dał mi 10 dolarów za dostarczenie tego na Porębę B. To wszystko, co wiem.

Coppers wskazał na krwawe plamy na nogach i butach tamtego.

— Skąd się to wzięło?

— Skąd się wzięło, co?

— Krew na butach i ubraniu

— Pomagałem rzeźnikowi.

Coppers wyciągnął rewolwer i pochylając się, poklepał tamtego lekko po głowie.

— Nie wykonywałeś dzisiaj uczciwej pracy. Czy to ty zabiłeś tych pasterzy i owce?

— Nikogo nie zabiłem — zaprzeczył Gard ponuro.

Coppers uderzył go znów lufą rewolweru. Gard uchylił się, ale nie dość szybko.

— Ej, to boli! — wykrzyknął — przestań, do cholery.

— Ty sukinsynu, zamierzam cię powoli zatłuc na śmierć — powiedział Coppers, a grozę tego oświadczenia spotęgował ton, jakim je wygłosił — chcę odpowiedzi, i to teraz. Spieszy mi się.

Podniósł colt, Gard próbował odskoczyć, ale przydeptał mu kostkę tak, że tamten zatrzymał się i wrzasnął z bólu.

— Zaczekaj, zejdź z mojej nogi. Ja i mój wspólnik, Otis Finlay, umówiliśmy się z Henry Eggertem, że zawieziemy ten list staremu Boyntonowi, ale zawarliśmy też wcześniej inną umowę, ze Scottem Tyrellem, że załatwimy tych pasterzy. Podjechaliśmy do ich obozu i otoczyliśmy...

— Zabiliście ich obu. A psy przywiązaliście do wozu, by spłonęły żywcem. Potem zabiliście owce.

Gard nie patrzył na Coppersa i nic nie mówił.

— Dla kogo pracuje Henry Eggert?

— Nie wiem, przysięgam na Boga, że nie wiem — zapewniał gorliwie Buel Gard.

— Lepiej, żebyś mi wszystko powiedział. Zaczynaj.

Gard zgiął się w pół i bez powodzenia próbował zwymiotować. Coppers patrzył na niego bez współczucia. Gard wytarł nos brudnym rękawem koszuli, ukradkiem zerkał na Coppersa — jego widok nie podniósł go na duchu.

— Ja i mój wspólnik, Otis, słyszeliśmy, że Scott Tyrell szukał paru dobrych ludzi...

— Masz na myśli zabójców. Gdzie byliście, kiedy o tym usłyszeliście?

— Na drodze do Brown's Hole. Przyjechaliśmy do Arapaho i czekaliśmy na pana Ty rei la. W końcu przyjechał i rozmówiliśmy się z nim. Wynajął nas, żebyśmy postraszyli pasterzy, a może nawet zabili parę owiec. Tuż przed naszym odjazdem Henry Eggert postawił nam po kieliszku w „Wild Belle”, to jest saloon.

— Wiem, co to jest.

— No więc postawił nam po kieliszku i powiedział, że ma dla nas niewielką robótkę. Odpowiedzieliśmy, że mamy już robotę. On jednak

zapewniał, że nie zajmie nam to wiele czasu i wyznaczył spotkanie w Eagle Springs. To wszystko, przysięgam.

— Co miałeś zrobić po oddaniu listu?

Gard zawahał się, ale kiedy zobaczył, że Coppers znów podnosi rewolwer odpowiedział:

— Miałem leżeć w krzakach i obserwować dom Boyntona. Po podniesieniu flagi miałem pojechać kawałek w górę rzeki, ponad Horsehead Crossing. Eggert mówił, że rozbije tam obóz.

— Czy wiesz, co jest w liście, który wiozłeś?

Gard zaprzeczył ruchem głowy:

— Nie umiem czytać — wymamrotał. — Nigdy nie chodziłem do szkoły, mówię prawdę, proszę pana, jak Boga kocham.

— Gdzie jest twój wspólnik?

— Rozstaliśmy się. Dołączył chyba do Henry'ego Eggerta. Nie wiem, co oni zamierzają.

Coppers wstał i wyciągnął strzelbę spod siodła Garda.

— Wsiadaj na konia i zjeżdżaj stąd. Jeżeli cię znowu zobaczę — to zabiję, Gard.

Gard wstał i powlókł się do swojego konia... Nie patrzył na Coppersa, dopóki nie wsiadł. Potem rzucił mu szybkie spojrzenie, ale wyraz twarzy Coppersa kazał mu zapomnieć co miał zamiar powiedzieć. Uderzył konia wodzami w szyję i odjechał, nie oglądając się za siebie.

Coppers ruszył pod górę ze strzelbą na ramieniu. W miarę, jak zbliżał się do Benniona szedł coraz bardziej pochylony, aby jego sylwetka nie była widoczna na horyzoncie. Ostatnie metry przeszedł czołgając się.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa, a na twarzy Benniona pogłębił się wyraz oczekiwania.

— Udało się?

Coppers skinął i poczołgał się dalej, by popatrzeć na osadę. Poczuł, jak przechodzi go dreszcz. Aletha siedziała przed chatą, pod okiem strażnika. Słyszał bicie własnego serca. Zaczął się podnosić, ale Bennion powstrzymał go ruchem ręki.

— Nie wychylaj się.

Coppers z powrotem przywarł do ziemi i patrzył.

— Na jej widok tracę rozum.

— Taak, taak — odparł Bennion rozdrażniony. — Czego się tam dowiedziałeś?

Coppers wyjął z kieszeni list z żądaniem okupu i podał go Bennionowi, nie odrywając wzroku od Alethy. Obawy o nią zmieniły się we wściekłość, która sprawiała, że trudno mu było tkwić na tej górze, czekając na ruch Eggerta.

— Wiesz, Dave, nigdy nie słyszałem, aby w tym kraju porywano kobietę — poskarżył się Bennion Coppersowi. — Stary Boynton nie ma aż tyle pieniędzy... Przynajmniej tak mi się wydaje. — Oddał list Coppersowi.

Ten nie wyprowadził go z błędu. Możliwe, mówił sobie, że stary Boynton ma w swojej pieczy około dwóch milionów prawdziwych pieniędzy. Prawdziwych z wyjątkiem podpisu Skarbnika Stanów Zjednoczonych. Część tych pieniędzy pojawiła się w różnych miejscach

Zachodu. Możliwe, że profesor Lemuel Taylor służył za skrzynkę kontaktową do rozprowadzania fałszywych banknotów.

Przyszło mu do głowy, że lepiej by zrobił stosując się do rady Idy Mae Courtney i został w Waszyngtonie. Szybko jednak odrzucił tę myśl. Nieważne, czy Boynton ma pieniądze, czy nie, przynajmniej nie teraz. Liczy się tylko to, że oni mają Alethę. Co, u diabła, ja wygaduję, pomyślał. Teraz spokojnie, Dave, nie rób niczego za szybko.

Z chaty wyłonił się Henry Eggert niosąc zrolowane koce i torby. Rzucił je na ziemię. Spud Oliver wstał leniwie i zaczął siodłać konie. Aletha nadal siedziała na pniu, wyprostowana, z podniesioną głową.

— O co im chodzi? — zapytał nagle Bennion.

— Buel Gard, z którym rozmawiałem na dole, powiedział, że po doręczeniu listu miał się ukryć w pobliżu Poręby B. Po podniesieniu flagi jechać do Horsehead Crossing, a potem w górę strumienia do miejsca, gdzie Eggert będzie obozował. Wówczas przekażą Boyntonowi swoje polecenia.

Bennion oparł winchester o skałę i wziął na cel Spuda Olivera.

— Sądzę, że załatwiłbym ich obu, zanim zeszliby z linii strzału — oznajmił beznamiętnie.

— Aletha mogłaby zostać trafiona rykoszetem. Mogliby ją zabić. Nie powinniśmy ryzykować. Tak czy inaczej, Mel, chcę mieć Henry'ego Eggerta żywego. Martwi mnie tylko jedno.

— Co takiego?

— Powinien być gdzieś tutaj jeszcze jeden człowiek, Otis Finlay. Gard powiedział mi, że przyjechał tu z nim, żeby pracować dla Scotta Tyrella albo Talbota, w zależności od zapłaty. Tak powiedział, a ja prawie mu wierzę. Więc gdzie jest teraz Otis?

Bennion wzruszył ramionami.

— Pojęcia nie mam. Wiem tylko, że to najbardziej zimnokrwisty sukinsyn na świecie. Nie ma jeszcze dwudziestu pięciu lat, a na każdy rok życia przypada co najmniej jeden zabity. I to nie licząc Meksykanów i Indian, Dave. Dla Finleya zabicie człowieka to tyle, co ustrzelenie zająca.

Coppers skręcił papierosa, zapalił i wbił zapałkę w ziemię. Myślał posępnie o tym, co wydarzyło się odkąd wysiadł z pociągu w Cheyenne. Zastrzelenie Harlana Gage'a, odnalezienie martwego Maxa Calluma, śmierć Gila Tatuma. Dlaczego go zabito? Spotkanie z Alethą i wypadek z lwem górskim, wszystko to zaprzątało jego myśli, powodując coraz większą frustrację. A do tego jeszcze śmierć Ala Huntera.

Jeden z mężczyzn — Henry Eggert — stał i patrzył na krawędź wzgórza, za którą kryli się Coppers i Bennion. Coppers miał wrażenie, że coś przyciągnęło uwagę tamtego. Czekał, nie patrząc na Eggerta; przygotował strzelbę.

Coppers wiedział, że wśród spękanych skał, krzaków i sosen jest z tej odległości niewidoczny.

Eggert przeszedł parę kroków i zatrzymał się. Masz szczęście, pomyślał Coppers. Jeszcze parę chwil a zrobiłbym z ciebie nieboszczyka.

— Odjeżdżają — stwierdził Bennion.

Eggert mówił coś do Alethy. Dotknął jej ramienia, a ona wstała i podeszła do konia. Pomógł jej wsiąść

— Co robimy? — zapytał Bennion.

— W dole kanionu obsunęło się zbocze. Są tam ruchome skały. Całą uwagę skupią na tym, żeby przejść tamtędy. Możemy ich zaskoczyć — przypiął pas i ostrogi.

— Jak chcesz — odparł Bennion z powątpiewaniem.

Ruszyli w dół kanionu oddzielonego skalistym wzgórzem od tego, który pokonać mieli Eggert, Oliver i Aletha. Szli, prowadząc konie. Mieli dużo czasu, jako że grupa Eggerta miała do pokonania większą odległość.

Posuwali się niespiesznie w dół kanionu wśród kęp sosen, osik, przecinając niewielkie trawiaste łąki porastające litą skałę. Raz na jakiś czas Coppers zatrzymywał się, by nasłuchiwać i rozglądać się w terenie.

Posuwając się ku przecięciu obu kanionów, dojrzał już miejsce, w którym obsunęło się zbocze. Znajdowało się jakieś ćwierć mili przed nimi. Podjechał tam i ruszył skrajem rumowiska. Ukryli się pod osłoną starego cedru, którego gałęzie opadały prawie do ziemi.

Coppers przyklęknął, rozglądając się i nasłuchując dźwięku zbliżających się koni. Eggert miał się wyłonić zza zakrętu będąc jakieś sto stóp od nich, to jest w odległości pewnego strzału. Sprawdził winchester i zauważył, że Bennion robi to samo.

Mimo że ich oczekiwali, to jednak pojawienie się pierwszego jeźdźca było nagłe. Konie zwolniły ostrożnie, wybierając drogę wśród kamieni. Gdy znaleźli się na ich wysokości, Coppers wrzasnął:

— Stać, nie ruszać się! Trzymamy was na muszce!

Wszystkie konie stanęły równocześnie. Przez chwilę wszyscy stali nieruchomo. Potem Spud Oliver zsunął się z siodła, a gdy padał jego strzelba wypaliła.

Coppers naprowadził muszkę na żółte sznurówki woreczka z tytoniem marki Bull Durnham, który tamten miał w kieszeni na piersi i wypalił, czując odrzut broni. Oliver uniósł się, by zaraz potem opaść i znieruchomieć.

Nie tracąc ani sekundy, skierował broń na Eggerta, ale Bennion zdążył już pierwszym strzałem zestrzelić mu kapelusz z głowy.

Henry Eggert strzelał na oślep w ich kierunku i Coppers słyszał jak kule odbijają się od skał.

— Staram się go nie zabić — powiedział Bennion, celując w konia. Pod wpływem ostróg i ukłuć skał we wrażliwe ciało między podkowami, zwierzę zaczynało wariować.

Raptem Eggert zniknął w głębi kanionu; opuściwszy rumowisko pędził co koń wyskoczy.

— Zaczekaj — zawołał Coppers do Benniona. — Wiem, gdzie go znaleźć.

Wyskoczył spod cedru i zaczął biec w stronę Alethy, która siedziała w siodle i czekała. Usłyszała odgłos jego butów i wzdrygnęła się.

— Wszystko w porządku. Już po wszystkim, Aletho — podszedł do niej i wziął ją za rękę.

Była ciepła i delikatna. Spoczywała bez drżenia w jego wielkiej dłoni. Twarz miała spokojną, choć bladą.

— Wiedziałam, że przyjedziesz — stwierdziła.

Zapanował nad odruchem, by zdjąć ją z konia i przytulić. Sam nie wiedział skąd wzięło się to gwałtowne pragnienie. Zamiast mu ulec, ujął wodze jej konia i powiedział:

— Stoimy na rumowisku. Chodźmy lepiej na pewniejszy grunt.

— Tak, Dave.

Nadszedł Bennion:

— Oliver nie żyje.

— Ja chciałem mieć Eggerta — odrzekł Coppers wyprowadzając konie z rumowiska.

Zatrzymał się koło cedru i pomógł Alecie zsiąść z konia.

— Dobrze się czujesz? — pytał zatroskany — nic ci nie zrobili?

— To nie było przyjemne, Dave, ale gdy wytrzeźwieli, traktowali mnie już dobrze. Jestem pewna, że to tylko pijackie wybryki.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem, ale postanowił się nie spierać, mimo iż był odmiennego zdania.

— Przez najbliższe kilka minut będę zajęty. Będę w pobliżu, jesteś tu bezpieczna. — Zdjął kurtkę, położył na ziemi i pomógł jej usiąść.

Uśmiechnęła się:

— Czuję się bezpieczna od chwili, gdy usłyszałam twój głos.

Coppers skinął na Benniona i obaj podeszli do ciała Spuda Olivera. Leżał za skałami, obejmując strzelbę.

— Nie chcę tego robić — stwierdził Coppers — to jest robota dla szeryfa.

Przyklęknął i przeszukał kieszenie Olivera, ale znalazł tylko kilka przedmiotów, które zwykle noszą przy sobie kowboje: ćwieki do podków, scyzoryk, prymkę tytoniu do żucia marki Pic Nic Twist i ćwierć kwarty whisky.

— Kim ty właściwie jesteś, do diabła? — zapytał nagle Bennion.

Coppers nie odpowiedział, lecz pochylił się i wyciągnął Oliverowi koszulę ze spodni. Znalazł pas na pieniądze. Zawierał dwieście dolarów w złocie i banknotach.

— Czy masz zamiar mi odpowiedzieć?

— Jestem tylko kowbojem — odparł łagodnie.

— Gówno prawda! Być może spędziłem dużo czasu na oprowadzaniu zgrai turystów, ale nawet w Box MB słyszy się różne rzeczy.

— Więc?

Bennion westchnął pełen wątpliwości.

— Słuchaj, Dave, ty jesteś małomówny, ale być może za to umiesz słuchać. Krążą pogłoski, że od czasu, kiedy pojawiłeś się w tych stronach kilku ludzi zabito w tajemniczych okolicznościach. Pracujesz dla Talbota czy dla Tyrella?

— Nie mam nic wspólnego z awanturą hodowców bydła i owiec. Gdybym miał, powiedziałbym ci o tym, Mel.

Bennion rzucił mu przeciągłe, twarde spojrzenie.

— Cóż, myślę, że powinienem się tym zadowolić — powiedział bez przekonania. — Sal ma o tobie bardzo wysokie mniemanie, a to dla mnie wiele znaczy.

Coppers zaczął rzucać kamienie na ciało Olivera.

— Przy tych zimnych nocach, to na parę dni wystarczy. Zawiadom kogoś, Mel. — Wstał i spojrzał na Benniona. — Wolno nam o tym powiedzieć jedynie szeryfowi.

Bennion potrząsnął głową.

— Nie możesz ukryć czegoś takiego.

— Wszystko w swoim czasie — odparł Coppers. — Zajmiesz się tym?

— Jak tylko będę w domu, wyślę któregoś z chłopaków do Arapaho. Wiem, że Sal niepokoi się i natychmiast chciałbym jej powiedzieć, że Alecie nic się nie stało.

— Jeśli idzie o ludzi, którzy zginęli odkąd tu przyjechałem, to jest w tym więcej prawdy niż sądzisz. Nie martwię się o siebie, ale o każdego kogo ze mną widziano. Tkwię w tym po uszy, Mel, i nie wiem co robić.

— Jeżeli tylko mogę ci w czymś pomóc, licz na mnie.

— Nie wiem czy możesz. Może mógłbyś sprawdzić, czy ktoś mnie nie śledzi. Jeżeli tak, to jest to najlepszy cholerny tropiciel w tej branży. Oznacza to, że każdy z kim rozmawiałem lub spędziłem czas jest w niebezpieczeństwie. A więc i ty, i Aletha.

Bennion zmarszczył czoło i potrząsnął głową.

— Trochę tego dla mnie za wiele.

— Po prostu wracając do domu bądź cholernie ostrożny. Ani na chwilę nie trać czujności. Po odstawieniu Alethy na Porębę B, jadę; do Horsehead Crossing. Będę tam czekał na Eggerta.

— Myślisz, że się pojawi?

— On nie wie, że dostałem Buela Garda. Przypuszczalnie spróbuje odebrać pieniądze.

— Gdzie, u diabła, jest Lute Farnell i jego ludzie? — wściekał się Bennion. — Dlaczego nie wyruszył na poszukiwania?

— Pewnie nawet nie wie, że porwano Alethę — odrzekł Coppers, ani trochę w to nie wierząc. Był pewien, że kowboj jest w taki czy inny sposób zamieszany w tę aferę.

15

Coppers i Aletha jechali stępa obok siebie, czując na twarzach słoneczne ciepło. Aletha chciała porozmawiać, ale on nie miał na to ochoty.

Był teraz bardziej czujny niż kiedykolwiek w życiu. Zbyt wielu ludzi zginęło od czasu, gdy wysiadł z pociągu w Cheyenne. Tajemnicze zabójstwa dokonywane z zasadzki.

Wszystkie jego zmysły były napięte do granic możliwości. Szczególną uwagę zwracał na miejsca, w których ktoś mógłby zaczaić się w oczekiwaniu na ofiarę. Czasami prosił Alethę, aby zaczekała, a sam jechał przodem i sprawdzał potencjalną kryjówkę zabójcy.

Gdy wrócił z kolejnego rekonesansu, zapytała:

— Zaczekaj. Co cię trapi?

Zsiadł i poprawił popręg, który wydał mu się za luźny.

— Poprawiam popręg — powiedział — nauczył się już objaśniać jej wszystkie dźwięki, których mogła nie rozumieć.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Tak. Owszem, martwię się o twoje bezpieczeństwo.

— Tam była strzelanina.

— To się czasem zdarza. Czy słyszałaś strzały dziś rano, o świcie?

Zawahała się, a potem przytaknęła.

— Opowiesz mi o tym?

— Od jakiegoś czasu byliśmy już w drodze. Naprawdę nie wiem jak długo. Ale umiem odróżnić światło dzienne od mroku. Kiedy zaczęła się ta strzelanina, było jasno. Wkrótce potem ktoś się do nas przyłączył. Musiałam oddać mojego konia i jechać na jednym z panem Eggertem.

— Kto to był?

— Nie wiem. Gdy rozmawiali, oddalali się tak, że nic nie słyszałam. Potem my pojechaliśmy dalej, a tamten gdzieś skręcił — poruszyła się niecierpliwie. — A teraz powiedz mi, co to była za strzelanina, gdy przejeżdżałam przez to rumowisko skalne?

— Porwanie stanowi wszędzie bardzo ciężkie przestępstwo, ale w tych stronach... — urwał, a nie dopowiedziane słowa były tym wymowniejsze.

— To był po prostu wybryk. Oni działali pod wpływem alkoholu. Kiedy wytrzeźwieli zdali sobie sprawę z tego, co zrobili i wieźli mnie właśnie do domu.

— Tak ci powiedzieli?

Potrząsnęła głową:

— Nie, sama się tego domyśliłam. Ci rozdokazywani kowboje są jak dzieci.

— To niebezpieczne dzieci — stwierdził Coppers surowo — niektórzy z nich są zabójcami. Jestem pewien, że to nie była zabawa.

— Czy komuś coś się stało?

Coppers nie odpowiedział.

— Twoje milczenie świadczy, że tak. Ktoś został zabity? — zadrżała.

— Gdy w tych stronach ktoś popełnia przestępstwo, to nie jest tak jak w miastach na Wschodzie. Tam woła się policjanta i on się wszystkim zajmuje. Tutaj każdy uczciwy człowiek musi być swoim własnym policjantem. Czasami albo się zabija, albo zostaje zabitym.

— Czy sądzisz, że Zachód się zmieni, że się ucywilizuje?

— Już się zmienia. Ale są tu pewne wartości, które, mam nadzieję, przetrwają.

— Jakie?

Coppers wzruszył ramionami, zakłopotany własnymi myślami.

— Po pierwsze, niezależność. Pomoc sąsiedzka — Mel Bennion nie musiał ze mną jechać. Zabrałby ze sobą wszystkich swoich ludzi, gdybym mu pozwolił. Swoboda poruszania się...

— Mówisz jak nasz prezydent Roosevelt.

— Zachód go pociąga — przyznał Coppers — on zalicza się do ludzi samowystarczalnych.

— Z tego co mówisz wynika, że ten świat jest bardzo bezpieczny.

— Nie to miałem na myśli. Bezpieczeństwo jest dla tych, którzy je sobie zapewnią. Człowiek musi tylko chcieć.

— Chcieć, czego?

— Zabić, jeśli to konieczne — rzekł Coppers zapalczywie — aby zachować to, co z mocy prawa do niego należy, by ochronić tych, których kocha, za których jest odpowiedzialny.

— Nie — odparła — nie wiem czy kiedykolwiek to zaakceptuję.

— Może kiedyś — szepnął. Podjechała do niego bliżej i położyła rękę na jego dłoni opartej o łęk siodła.

— Proszę cię, nie martw się z mojego powodu.

Nagle zapragnął być wolny od zobowiązań wobec Tajnej Służby, mieć obowiązki jedynie w stosunku do tej jednej jedynej na świecie, uroczej kobiety, która jechała u jego boku.

— Nie mogę ci tego obiecać — oznajmił.

Podczas dalszej drogi nadal zachował ostrożność. Tuż przed zachodem słońca dojechali na ranczo i zatrzymali się przed domem. Gdy pomagał jej zsiąść z konia, powiedziała:

— Proszę cię, wejdź na chwilę.

Spętał konie i podszedł do niej blisko, a ona wzięła go pod rękę. Weszli po schodkach, przez ganek do środka. Gdy Coppers zamknął drzwi, cofnęła rękę z jego ramienia, ale zwróciła ku niemu twarz.

— Nie jesteś tym samym człowiekiem, który uratował mnie przed kotem, Dave.

— Czuję się taki sam.

— Ale nie jesteś. My, ludzie niewidomi, rekompensujemy sobie ślepotę lepiej wykorzystując pozostałe zmysły. Tego dnia, kiedy cię poznałam byłeś taki miły i delikatny. A teraz jesteś twardy, bezlitosny.

— Okoliczności się zmieniły. Wszystko się zmieniło. Jest tu jakaś tajemnica, która nie daje mi spokoju. Nie lubię tajemnic.

— Zycie jest ich pełne. Która z nich najbardziej cię niepokoi.

— Zostałaś porwana. Pierwsza łamigłówka: Lute Farnell. Podejrzewam, że miał z tym coś wspólnego.

— Dave, to nieprawda! Nie mogę w to uwierzyć!

Broni go, pomyślał Coppers, dokładnie tak jak mnie broniła przed nim. Poczuł jak wzbiera w nim zazdrość.

— Nie mogę tego dowieść — przyznał — ale na wszelki wypadek będę go miał na oku.

— Nie jesteś człowiekiem, który robi coś na wszelki wypadek.

Poruszył się niespokojnie, a z wyrazu jej twarzy wyczytał, że usłyszała ten ruch.

— Muszę się zająć końmi. Jutro odwiozę Bennionowi konia i odprowadzę Farah. Później zamierzał udać się do Horsehead Crossing na spotkanie z Eggertem.

— Za każdym razem, kiedy wyjeżdżasz, zastanawiam się czy wrócisz.

— Nie przejmuj się, wrócę. Powinienem pomówić z twoim dziadkiem.

— Nie zamierzasz mu chyba o tym powiedzieć?

— Powinien wiedzieć. Ma do tego prawo.

— Nie wolno ci mu o tym mówić!

Przyjrzał się niepewnie jej zdecydowanej twarzy. Aletha stanęła na palcach i pocałowała go w policzek, wspierając się na jego ramieniu.

— Dziękuję, Dave — szepnęła.

Odsunęła się, ruszyła w stronę schodów, chwyciła za poręcz i podążyła na górę. Na szczycie schodów odwróciła się na chwilę w jego stronę, i zniknęła.

Kiedy wyszedł i odwiązał konie, aby zaprowadzić je do stajni, było już zupełnie ciemno. Wiał teraz silny wiatr z południowego zachodu. Dostrzegł światła w oknach na piętrze. Aletha wypoczywała. Jak ciężkie były jej przeżycia? Nie była wzburzona, i poza plamą na policzku nie wyglądała gorzej niż zwykle.

Stanął tak nagle, że konie wpadły na niego... W dłoni pojawił się colt.

— To ja — powiedział spiesznie Dakota, podchodząc bliżej. — Z całą pewnością wyciągnąłeś tę broń zbyt pospiesznie, chłopie.

Coppers schował rewolwer:

— Nie wpadaj tak na mnie.

— Szukałem cię — rzekł Dakota. — Te telegramy przyszły na pocztę. Przysłano je do Laramie i przetelegrafowano do Arapaho. Dał mi je dla ciebie stary Dexter.

Coppers wsunął telegramy do kieszeni. Wziął lampę i obserwował Dakotę.

— Nigdy nie daję nikomu rad, ale powinien pan stąd ruszać.

— Co? Ty też?

— Hę? Będziesz miał mnóstwo kłopotów, jeśli tu zostaniesz, chłopaku. Nie mogę powiedzieć nic więcej, ale wierz mi. Lubię cię, Dave. Zboczyłeś z drogi, żeby mi pomóc, ja o takich rzeczach nie zapominam. Posłuchaj rady starego człowieka, który nie jest już taki sprytny jak kiedyś, i wiej stąd.

Coppersowi zależało jedynie na tym, żeby pozbyć się Dakoty i przeczytać pocztę.

— Pomyślę o tym, Dakota. Dziękuję za ostrzeżenie.

— Ale ty nic na to nie poradzisz — oświadczył stary. — Wy, młodzi faceci, wszystko wiecie najlepiej do czasu, aż nie wpadniecie w tarapaty, a wtedy jest już zwykle za późno. Żeby potem nie było, że ci nie mówiłem.

Kiedy odchodził do ciemnego baraku, wciąż jeszcze i mruczał coś pod nosem. Otwierając pierwszy z listów zastanawiał się, gdzie są Slim i Farnell. Zaczął odczytywać zamaszyste gryzmoły, jakimi operator telegrafu przepisał wiadomość.

„Od tej chwili jest pan zwolniony z wszelkich zadań związanych z tą sprawą. Natychmiast zameldować się w hotelu „Autlers" w Cheyenne, w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Raven".

Zsunął kapelusz na tył głowy. To się nie trzyma kupy, pomyślał. Procedura przyjęta w Agencji wymagała, by wszystkie komunikaty, rozkazy, dyrektywy i wiadomości były podpisane przez Effingtona bądź jego zaszyfrowanym imieniem. Raven to był pseudonim Buforda Skilesa.

Co też się stało w centrali? Czy Skiles zastąpił Effingtona? Nie wiedział i nie było żadnego sposobu, żeby się szybko o tym przekonać.

Otworzył drugą kopertę — wiadomość była tu również nie zaszyfrowana i pochodziła z Biura Tajnych Służb w Denver.

„Lemuel P. Taylor to nie pseudonim; urodzony w Wirginii, w zamożnej rodzinie, rodzice nie żyją. Po wydaleniu z niższej klasy w szkole William i Mary pracował krótko w Departamencie Skarbu. Z jego akt wynika, że był aresztowany i skazany za przywłaszczenie sobie banknotów przeznaczonych do zniszczenia; skazany na 5 lat ciężkich robót. Za wstawiennictwem wieloletniego przyjaciela rodziny, urzędnika Skarbu Aleksandra Boyntona, L. P. T. został zwolniony warunkowo, gdzie od lat bierze udział w różnych drobnych szachrajstwach. Obecnie zajmuje się nauczaniem chórów kościelnych, organizowaniem niewielkich przedstawień teatralnych, jest też agentem urządzanych w Denver widowisk ulicznych. Znany z kontaktów z ludźmi stosującymi przemoc, w szczególności z niebezpiecznym, znanym jako szalony morderca — Finlayem Otisem, alias Amarillo Pete. Taylora nie ma obecnie w Denver, mówi się, że jest w drodze do Arapaho. Wyoming. Agent nr 37".

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Coppers i Bennion oglądali zniszczony obóz pasterski, człowiek nr 2 waszyngtońskiej Tajnej Służby zapukał do drzwi gabinetu swojego szefa, i wszedł niosąc zwykłą porcję papierów.

Effington ledwie go zauważył, zajęty wyglądaniem i przez okno.

Skiles czekał cierpliwie i patrzył, jak Effington przechyla się do tyłu i wyjmuje z kieszeni cygaro. Włożył je do ust, gdy zauważył, że w popielniczce z łuski pocisku tli się jeszcze poprzednie, do połowy wypalone.

Z irytacją odrzucił cygaro na biurko, wyjął drugie z popielniczki i zaczął je nerwowo pociągać.

Obrócił się na swoim krześle, i nie patrząc na Skilesa, zapytał:

— O co znów chodzi, Buford?

— Obawiam się, że Coppers ma kłopoty, szefie.

— Coppers? Kłopoty. No dobrze, powiedz mi wreszcie o co chodzi.

— Pamięta pan, wysłaliśmy Coppersa do Wyoming.

— Oczywiście, zgadza się — odparł machając cygarem.

Effington miał tego ranka nieprzyjemny telefon od sekretarza prezydenta Roosevelta. Prezydent, informował go lodowato sekretarz, chce widzieć Effingtona w swoim biurze o pierwszej, a Effington nie miał najmniejszego pojęcia, o co może chodzić. Nigdy przedtem nie dzwoniono do niego z Białego Domu i miał nadzieję, że nie będą już więcej dzwonić. Wobec zbliżającej się wizyty u prezydenta, czuł się bardzo niepewnie. Ten uwielbiany przez większość Amerykanów człowiek był nieodgadniony. Nigdy nie było wiadomo, co w danej chwili myśli.

Effington zdał sobie sprawę, że Skiles od jakiegoś czasu coś szybko do niego mówi i zmusił się do skupienia na tym, co ma mu do powiedzenia jego zastępca.

— Myślę, że to będzie z korzyścią dla Agencji, jeśli pojadę do Wyoming — mówił Skiles. — Sądzę, że sytuacja wymaga natychmiastowych działań. Trzeba będzie podejmować decyzje na najwyższym szczeblu.

Dobry Boże, pomyślał Effington, co ten człowiek plecie?

— Nie masz doświadczenia w polu, Skiles — używał nazwiska swego zastępcy, gdy był z niego niezadowolony.

— Po to właśnie jadę — odparł Skiles z uporem — mam zamiar jak najwięcej skorzystać na tej podróży. Omawialiśmy to przecież wiele razy wcześniej.

— No to, jak uważasz — powiedział nagle Effington niewiarygodnie zmęczony.

To śmieszne, nie zrobiłem dzisiaj ani jednej cholernej rzeczy, która mogłaby mnie tak zmęczyć.

— Zaczekaj chwilę, Buford — rzekł Effington, gdy Skiles odwracał się już od niego. — Znasz prezydenta Roosevelta tak samo, jak większość ludzi. Czy on jest geniuszem, czy półgłówkiem?

— I jedno, i drugie — odparł Skiles prędko.

— Czy jest szalony? — niemal krzyknął Effington.

— Zupełnie, sir.

— Czy wierzysz we wszystkie te historie, które się o nim słyszy?

— W większości z nich jest nieco prawdy, a które pan słyszał?

— Wiesz, że ma słabość do dawnych towarzyszy z Burzowych Jeźdźców, tych którzy byli z nim na Kubie? — i nie czekając aż Skiles przytaknie, ciągnął dalej. — Roosevelt zezwolił, a nawet namawiał ich, aby go odwiedzali w Białym Domu, o każdej porze dnia i nocy. Jeden z nich chciał skorzystać z zaproszenia i nie został wpuszczony. Roosevelt był wściekły, gdy się o tym dowiedział. Kiedy się w końcu spotkali, prezydent zapowiedział, że gdyby się coś takiego powtórzyło — ma strzelać w okna Białego Domu.

— Ja w to wierzę, szefie — odparł Skiles. — Kiedyś jeden z Burzowych Jeźdźców został skazany na karę więzienia za morderstwo. Roosevelt ułaskawił go i uczynił strażnikiem w więzieniu, z którego go wypuszczono.

Effington odprawił Skilesa. Gdy został sam, zaczął bębnić palcami po biurku, próbując wyobrazić sobie swoje spotkanie z Rooseveltem. Czegóż mógł chcieć prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki od szefa Tajnej Służby?

16

Gdy Coppers wszedł do baraku, dojrzał Lute'a Farnella — jak pozornie znudzony siedzi przy stole i czyści rewolwer.

Na widok Coppersa odłożył rewolwer i nie spuszczał Dave'a z oczu. Slim leżał na pryczy z rękami pod głową i patrzył w sufit. Dakota siedział po turecku na swej pryczy i bez końca układał pasjansa.

Farnell podniósł rewolwer, przybliżył jego wylot do oczu i zajrzał w głąb lufy.

— Dlaczego wróciłeś? — rzucił mu od niechcenia.

Coppers nie odrywał od niego wzroku, przekonany, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż Farnell maczał palce w porwaniu Alethy. Blask w jego czarnych oczach wyrażał narastającą wściekłość. Jego usta nabrały okrutnego wyrazu. Farnell dostrzegł to i znieruchomiał. Stał się czujny.

— Pytałem cię o coś.

— Nie zamierzałem wcale wyjeżdżać — odparł Coppers coraz bardziej odczuwając potrzebę czynu, która uzewnętrzniała się w jego postawie i twardym spojrzeniu.

Farnell nieco się odprężył.

— Zresztą to bez znaczenia — powiedział lekko.

— Bez znaczenia dla ciebie, ale czy dla mnie?

Farnell znów stał się czujny. Był zdziwiony, ale umiał rozpoznać wyzwanie. Gdy się podniósł, w jego oczach pojawiły się radosne błyski.

Coppers przewrócił stół, przyciskając na chwilę Farnella do ściany. Zrzucił rewolwer na ziemię i uderzył go pięścią w twarz. Farnell odbił się od ściany i upadł na podłogę.

Coppers stał, zagryzając wargi, i patrzył na leżącego przeciwnika.

— No chodź, twardzielu. Wstań, to jeszcze dostaniesz.

Slim siedział na brzegu łóżka z rękami na kolanach. Dakota przerwał pasjansa i patrzył zafascynowany. Farnell powoli podniósł się na kolana, potrząsnął głową, spojrzał w górę nieprzytomnym wzrokiem. Z jego nosa i ust ciekła krew. Odwrócił głowę, splunął, a potem wstał i rzucił się do przodu, wymachując pięściami. W wyniku prowadzonego na oślep ataku Coppers znalazł się na drugim końcu izby, a cały barak zadrżał w posadach, aż zachwiał się płomień lampy. Coppers zszedł z linii ciosu i uderzył Farnella mocno w twarz, umyślnie starając się zeszpecić jego zbyt przystojne oblicze. Farnell, gwałtownie krwawiąc i plując, cofnął się, by osłonić twarz. Coppers dopadł go i zaczął — w zapamiętaniu — okładać pięściami po głowie. Ten, chcąc wstać, rzucił się głową do przodu, próbując jednocześnie pochwycić jego ręce i nadepnąć na stopy.

Coppers zwalił się na niego całym ciałem. Upadli — złączeni w uścisku. Tocząc się po podłodze, przewrócili pryczę. Farnell wstał, wyrwał z nadłamanej pryczy ciężki kołek i ruszył na przeciwnika. Uderzył z całej

siły. Coppers zrobił unik i kopnął Farnella w kolano, zadając mu jednocześnie potężny cios w szczękę, po którym tamten rozciągnął się na ziemi.

Ciężko dysząc, stał chwiejnie z dzikim błyskiem w oczach, na które opadały mu czarne kosmyki włosów. Potrząsnął głową i rozejrzał się. Jego wzrok zatrzymał się na Slimie.

— Ty też chcesz?

Twarz Slima odprężyła się w krzywym uśmiechu. Jego blade oczy zalśniły.

— Może i chciałbym — powiedział — ale ja walczę za pomocą tego. Jego ręka gwałtownie opadła, kiedy w siedzącej pozycji spróbował dobyć broni.

— Nie rób tego, Slim! — huk wystrzału z rewolweru Dakoty zmroził bandytę.

— Tylko spokojnie, chłopcze, jeśli chcesz jeszcze trochę pożyć — powiedział ciszej Dakota.

— Trzymasz z nim?

— Chwilowo z nikim nie trzymam. Nie zamierzam ci tylko pozwolić, żebyś zastrzelił bezbronnego człowieka. On zgubił swój rewolwer podczas bójki.

Slim wzruszył ramionami, stopniowo opanowując wściekłość. Cofnął rękę z kolby rewolweru. Spojrzał twardo na Coppersa i powiedział:

— On będzie kiedyś bogaty — odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi.

— Zaczekaj — rozkazał Coppers.

Slim zatrzymał się twarzą do drzwi.

— Zabierz Farnella do koryta z wodą, a potem go tu przyprowadź. Slim stał przez długą chwilę w milczeniu, wyprostowany, po czym zawrócił i podszedł do Farnella. Wziął go pod ręce i wytaszczył przez otwarte drzwi.

Coppers zatrzasnął drzwi. Przeszedł przez barak do tylnego ganku. Nalał wody z wiadra do niewielkiej miednicy, zmył krew z twarzy i piersi, dostrzegając, że nie jest to tylko krew Farnella. Wytarł się i wrócił do środka.

Dakota siedział na pryczy, obracając na palcu swój colt w postawie mającej świadczyć o dużym skupieniu.

— Dziękuję za pomoc — mruknął Coppers.

Dakota zakręcił rewolwer na palcu i schował do kabury.

— Przysługa za przysługę — odparł i westchnął, patrząc na Coppersa.— Jesteś raczej cholernym głupcem, wiesz? Mówiłem, żebyś stąd wyjechał, chłopcze, i to jest nadal aktualne.

— Mam tu robotę. Tak mówiła panna Aletha i pan Boynton. A mnie to raczej odpowiada. — Zaczął zrzucać z siebie ubranie. Gdy był już tylko w kalesonach, zdjął buty i wślizgnął się pod koc.

— Jak mawiano w dawnych czasach, jeśli nadepniesz na grzechotnika, możesz się spodziewać, że cię ugryzie — zaśmiał się Dakota.

Odpowiedziało mu chrapanie.

Dakota znów się zaśmiał.

— A niech mnie kule biją — powiedział głośno.

Jadąc do Arapaho z kolejną paczką wspomnień dla profesora Lemuela, Dakota czuł się staro. Dobrze pamiętał, jak to było w Pangnitch, gdy był nastolatkiem.. Wszystko było inne, niebo bardziej niebieskie, obłoki bardziej puszyste i białe, trawa bardziej zielona, nawet ptaki piękniej śpiewały.

Teraz świat był szary i ciemny, a on nie pamiętał, co się stało wczoraj czy tydzień temu. Za to wydarzenia sprzed lat czterdziestu pamiętał świetnie.

Jego koń zatrzymał się i Dakota ujrzał koło brodu Farnella i Slima.

— Znowu się rozmarzyłeś, stary — zagadnął Farnell.

— Chyba tak — Dakota spoglądał to na jednego, to na drugiego, zdziwiony ich zachowaniem. Zauważył też posiniaczoną twarz Farnella, podbite oko i rozciętą wargę — ślady pięści Coppersa.

— Jesteśmy gotowi do akcji — powiedział Farnell — sądzę, że to się stanie dziś w nocy albo jutro wczesnym rankiem.

— Rozmyśliłem się — rzekł Dakota. — Wycofuję się, Lute. Nie chcę w tym uczestniczyć. To nie ten człowiek, o którego ci chodzi.

— Mam dowód — odparł z uśmiechem Farnell — za dużo się w tej sprawie najeździłem, żebyś mi się teraz miał wycofać.

— Być może masz dowód — mówił powoli Dakota — ale jak już powiedziałem, mnie to nie interesuje. Coppers to dobry, porządny człowiek i nie zamierzam mieć z tym nic wspólnego, już więcej nie.

Slim przeprawił się przez strumień i zatrzymał powyżej Dakoty. Stary zauważył to i poczuł się niepewnie. Przemógł się, by spojrzeć przed siebie. Twarz Farnella była nieprzenikniona.

— Jestem tylko starym człowiekiem, na nic się już nie przydam, ale ja... — przerwał i uniósł się lekko w siodle, kiedy pocisk wbił się w jego kręgosłup, prawie w tej samej sekundzie, w której wypaliła broń Slima. Dakota spadł z konia głową w dół.

Farnell przejechał potok, stanął obok Dakoty i spojrzał na nieruchome ciało.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał spokojnie.

— Skoro ciągle mówi, że jest stary i do niczego się nie nadaje. Tak czy owak za dużo mówił.

Farnell uśmiechnął się do Slima.

— A teraz powiedz naprawdę, dlaczego go zabiłeś.

— Otis zgarnie wszystkie pieniądze — skarżył się Slim. — On się tylko bawi i dostaje pięćset dolarów za głowę każdego, kogo załatwi.

— Wyrównamy to sobie — odrzekł Farnell, zsiadł z konia i zsunął kapelusz na tył głowy. — Co z nim zrobimy? Nie możemy tak zostawić ciała.

— Niedaleko szlaku jest urwisko — odparł Slim, — możemy go tam zaciągnąć, to powinno wystarczyć.

— W porządku, złaź z konia i bierzmy się do roboty.

Slim stał i wpatrywał się w konia Dakoty.

— To cholernie ładne zwierzę. Co z nim zrobimy?

— Nie możemy go puścić wolno — powiedział Farnell. — Jeśli pojawi się na ranczu, a zrobi to, jeśli go puścimy, to trzeba się będzie gęsto tłumaczyć.

— Nie ma piętna — stwierdził Slim, zamyślony — stary Dakota nie porzucił dawnych zwyczajów. Nigdy by nie wsiadł na piętnowanego konia. — Prychnął z niesmakiem — sprzedam go jakiemuś pasterzowi.

Podszedł do konia Dakoty i zaczął zdejmować siodło.

— Pozbądźmy się najpierw Dakoty — upomniał Farnell. Slim rzucił siodło na ziemię, pochylił się nad Dakotą i chwycił go pod ręce. Farnell złapał go za nogi i obaj ponieśli ciało przez zarośla w stronę wiszącej skały, gdzie nad starym korytem potoku zalegała warstwa ziemi. Wcisnęli Dakotę pod ziemny nawis, a Slim rozejrzał się za kawałkiem drewna, którym mógłby zepchnąć ziemię i skały.

— Idę po jego siodło — rzekł Farnell. — Nie zasypuj, póki go nie przyniosę.

Slim usiadł w cieniu górskiego dębu i patrzył, jak Farnell idzie w stronę koni. Wstał i przedzierając się przez krzaki, doszedł do rzadko uczęszczanej drogi. Gdy zbliżył się do Farnella, tamten odpinał od siodła Dakoty jego torby podróżne.

— Chcę zobaczyć co stary Boynton tak ciągle wysyła — wyjaśnił wyjmując paczkę owiniętą w brązowy papier.

Wyciągnął nóż, przeciął sznurek i rozerwał papier. Z niedowierzaniem spoglądał na schludne paczki nowiutkich, dwudziestodolarowych banknotów.

— Cholera! Co o tym myślisz? — zapytał gwałtownie wypuszczając powietrze.

Slim przyklęknął i wyjął z pudełka paczkę banknotów, tasując je niczym talię kart.

— Nigdy nie widziałem tak cholernie dużo forsy! — odrzekł Slim ochrypłym głosem. — Skąd to się wzięło? Ile tego jeszcze tam jest?

— Nie z hodowli bydła — stwierdził Farnell. — Jeżeli to dobrze rozegramy — już nigdy w życiu nie będziemy musieli pracować. Boynton wysyła te paczki odkąd tu jesteśmy. Musi tam tego być o wiele więcej.

— A co z tym facetem?

— Wykonaj dla niego tę robotę. Ja zrobiłbym to za darmo, żeby tylko dobrać się do tego włóczęgi. Ale to, co robimy dla Ravena nie powinno się kłócić z tym, co robimy dla siebie. Musimy dostać resztę tej forsy, ze wszelką cenę.

— Co z tym zrobimy, zanim nie będziemy gotowi do wyjazdu? — zapytał Slim wesoło.

— Podzielimy równo między siebie.

— A Raven?

Farnell potrząsnął głową:

— To jest sprawa między mną a tobą.

— Jak zdobędziemy resztę pieniędzy?

Farnell spojrzał na niego z góry:

— Weźmiemy, Slim, po prostu weźmiemy. To będzie łatwe, starzec, ślepa dziewczyna i bardzo stary służący.

— Jeśli Coppers nam się wymknie, to nie będzie łatwe, Lute.
— Nie wymknie się — odparł Farnell, pewny siebie.

17

Coppers przemyślał wszystko w drodze z Poręby B do domu Benniona. Jedyne co w ten sposób osiągnął, to tępy ból głowy. Jego umysł zgromadził więcej informacji, niż mógł przetworzyć, a organizm przepełniała energia. Był gotów do rozstrzygnięć.

Pokonał długi zjazd do Box MB, a dalej pojechał skrótem. Tak jak poprzednio powitał go pies — przyjaznym machaniem ogona i szczekaniem.

— Cześć, Hektor — pies towarzyszył mu, gdy okrążał dom. Wyszła z niego Sal i z uśmiechem zaprosiła do środka.

Dalej, koło stajni dostrzegł Humpy'ego, krzątającego się przy dyliżansie.

— Czy Humpy jedzie dzisiaj do miasta?

Skinęła głową.

— Odwozi gości do Laramie i ma przywieźć nowych.

— Czy napiłby się pan kawy?

— Oczywiście, że bym się napił — odparł wchodząc za nią po schodkach do domu.

— Wypije pan w kuchni, a ja będę dalej zajmować się obiadem.

— Gdzie jest Mel? — zapytał, rzucił kapelusz na podłogę i usiadł przy stojącym na środku, nakrytym ceratą stole.

Na dużym piecu parowały garnki. Powietrze przepełniały smakowite zapachy.

Sal przyniosła filiżankę i postawiła na stole.

— Czy wie już pan o doktorze Jasper?

Coppers zaprzeczył ruchem głowy.

— No tak, nie może pan wiedzieć. Doktora zabito tej samej nocy, kiedy porwano Alethę.

— Doktor Jasper zabity? — Coppers wytrzeszczył oczy.

Podeszła do pieca, wzięła z niego duży, emaliowany dzbanek z kawą i napełniła filiżankę.

— To było straszne, naprawdę okropne. Znaleźliśmy go dopiero wczoraj, jak jeden z chłopców wszedł po coś do gabinetu. Doktor dostał kulę w plecy. To musiało się stać w czasie wielkiego zamieszania, kiedy te wszystkie konie biegały, a ludzie strzelali.

Jeszcze jeden zabity, pomyślał Coppers, czując się niemal pokonany. Doktora Jaspera polubił od razu. Spędził z weterynarzem tylko parę godzin i w ten sposób go naznaczył, tak jak innych, których spotkał tylko przelotnie. Nie zauważył jednak ani śladu tropiącego go mordercy. Gorzej nawet. Nie zdawał sobie sprawy, że jest śledzony. Za każdym razem samego Coppersa oszczędzano. Dlaczego?

— ... to był taki dobry człowiek — Sal Bennion odstawiła dzbanek z kawą na kuchnię i usiadła naprzeciw Coppersa. Nalał mleka z puszki do kawy, posłodził i zamieszał w zamyśleniu. — Mel pojechał z ciałem do Rock River, skąd pochodzi doktor. Wróci dopiero rano.

— Czy doktor miał tu jakichś wrogów?

Zaprzeczyła ruchem głowy:

— On był najsłodszym człowiekiem na ziemi, panie Coppers. Wszyscy za nim przepadali — otarła łzy fartuchem. Będzie nam go bardzo brakowało, zwłaszcza Tommy'emu. Zawsze opowiadał mu różne historie. Spędzał z nim wiele czasu. Zawsze, kiedy Mel wyjeżdżał Tommy chodził za doktorem krok w krok. On miał tak dużo cierpliwości — Sal wstała i zamieszała w garnku. — Jeden z naszych gości, pan Donel z Waszyngtonu, pytał o pana.

— Rozmawiałem z nim.

— Zbudził nas o świcie i zażądał, żebyśmy go zawieźli do Laramie. Grady powiedział, że będzie musiał zaczekać na dyliżans, ale nie chciał o tym słyszeć. Narobił tyle zamieszania, że w końcu Grady pożyczył mu konia i powóz. Coppers dokończył kawę i wstał:

— Muszę już iść — powiedział — dziękuję za kawę.

Szedł wolno w stronę stajni. Mijając Humpy'ego zajętego dyliżansem, pozdrowił go ruchem ręki.

Otworzył drzwi niewielkiej zagrody i zawołał na Farah. Pokręciła łbem i popatrzyła na niego z uszami postawionymi do przodu. Jak większość arabów była mała i drobna, tak, że zastanowił się, czy go udźwignie. Postanowił jechać wolno i często się zatrzymywać, mimo że spieszył się do miejsca powyżej Horsehead Crossing w nadziei schwytania Henry'ego Eggerta.

Po osiodłaniu klaczy podszedł do Humpy'ego.

— Jak szybko zamierzasz wyruszyć?

— Kiedy tylko zaprzęgnę konie, i goście będą gotowi — odparł krótko Humpy, który nie był zbyt rozmowny.

Klacz przechyliła łeb i zarżała. Coppers odwrócił się, by spojrzeć na nadciągającą grupę jeźdźców.

Humpy wyciągnął się w górę jak mógł najbardziej i mruknął:

— Scott Tyrell.

Czterech jeźdźców przejechało skrótem. Przecięli strumień i omijając dom — podjechali do dyliżansu.

Wielki, barczysty mężczyzna na dużym, czarnym wałachu z wielkimi kopytami spoglądał z góry na Coppersa. Przeciągnął ręką po gęstej, czarnej brodzie i powiedział niskim, zgrzytliwym głosem:

— Czy ty jesteś człowiekiem, który przywiózł ciało Gila Tatuma?

Coppers skinął.

— Potrzebujesz roboty?

— Mam jeździć czy walczyć?

— Trochę tego, trochę tamtego.

— Mam pracę.

— Na Porębie B — mruknął — to żadna praca.

— Wystarczy, dopóki nie znajdzie się lepsza.

— Jeżeli nie zamierzasz dla mnie pracować, pozwól, że coś ci powiem. Nie wynajmuj się Willowi Talbotowi. To najkrótsza droga do dużych kłopotów.

— Starzy ludzie są świetni w udzielaniu rad — odparł Coppers.

Tyrell zrobił się czerwony.

— Co to, u diabła, ma znaczyć? — huknął. — W kieszeni koszuli wymacał cygaro. Przypalił, zaciągnął się głęboko wydymając wargi, aby szybko wypuścić kilka małych kółek dymu. — Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie słucha dobrych rad.

— Pozwól pan, że i ja panu udzielę rady — rzekł Coppers. — Skończ pan tę cholerną wojnę. Nikt nie wygrywa ani nie przegrywa.

— On ją zaczął, a ja zamierzam, do licha ciężkiego, skończyć.

— Przejeżdżałem przez obóz pasterski. Pański człowiek odwalił kawał solidnej roboty. Obaj pasterze nie żyją. Przyjechałem na czas, żeby odciąć psy, bo spłonęłyby żywcem.

Tyrell wypluł listek tytoniu:

— Cholerne psy pasterskie, tak samo jak pasterze nie widzę różnicy. Nic dla mnie nie znaczą.

Wziął wodze, obrzucił spojrzeniem swych pokiereszowanych ludzi.

— Nie mieszaj się do tego — rzucił przez ramię — nie pracujesz dla mnie, nie pracuj dla Talbota.

Oglądając się za nimi, Humpy powiedział:

— Tuż przed twoim przyjazdem Talbot ze swymi ludźmi jechał w tamtą stronę.

— Zamierzają walczyć?

— Można to tak nazwać. Cóż, to nie mój interes — powrócił do swojej pracy.

Od Medicine Bow Rangę do Laramie Peak ciepły i łagodny wiatr omiatał wzgórza i doliny, poruszał zarośla i wzbijał tumany kurzu na otwartej przestrzeni. Jadąc sprawdził strzelbę. Znalazł niewyraźny szlak, wijący się wśród topól, korytami strumieni, po obu stronach porośniętych smukłymi sosnami. Od czasu do czasu musiał pochylać się w siodle w obawie przed zwisającymi konarami. Wjechał na niewielką polanę i zatrzymał klacz. Nie słyszał nic prócz jej oddechu i dobiegającego z daleka przeraźliwego nawoływania kruka. Zaczął podejrzewać, że Henry Eggert nie zaryzykowałby powierzenia wyłącznie Gardowi misji wręczenia listu w sprawie okupu, oczekiwania na sygnał i przybycia na umówione spotkanie.

Na widok smugi dymu, unoszącej się znad kępy topól, wyprostował się i wstrzymał konia. Zsiadł. Uwiązał klacz do kępy zarośli obok szlaku. Ruszył dalej pieszo, trzymając strzelbę w pogotowiu. Często zatrzymywał się, aby się rozejrzeć.

Przykucnął nagle, gdy dojrzał obóz Eggerta. Ognisko tliło się słabo, niemal dogasało, a Eggert leżał obok z kapeluszem nasuniętym na twarz. Jego koń, uwiązany na lasso, pasł się na małej łące nad potokiem.

Coppers prześliznął się nad brzegiem potoku i wszedł do wody. Kiedy znalazł się po drugiej stronie obozu Eggerta, podniósł strzelbę i wycelował.

Eggert siedział prosto i nie próbował sięgać po broń. Obok leżała na ziemi jego strzelba, a pas z bronią był w zasięgu ręki.

— Nie biorę w tym udziału — oświadczył.

Jego rudawe bokobrody przyprószyła siwizna, co pogłębiało błękit oczu na ogorzałej, szczerej twarzy. Przekroczył już wiek średni. Wyglądał na łagodnego człowieka. Obok tlącego się żaru ogniska leżała patelnia i osmolona blaszanka z kawą.

— Siadaj i napij się kawy — zaprosił Henry Eggert.

— Długo tu jesteś? — zapytał Coppers uprzejmie.

— Mniej więcej dzień. Jesteś przejazdem?

— Kręcę się tu po okolicy.

— Aha, nie przyłączyłeś się do Tyrella lub Talbota?

— Nie.

— Idziesz prosto na nich — powiedział Eggert wskazując ręką w górę kanionu. — Są po obu stronach tego małego kanionu. Obserwuję ich odkąd przybył tu Tyrell. Tropił bandę Talbota i teraz niedługo znowu zaczną.

— Widziałeś ich?

Eggert wskazał ręką za siebie.

— Z tamtego wzgórza jest rozległy widok. Usłyszałem hałas i poszedłem popatrzeć. Wygląda na to, że nie są pewni kto jest kto. W przeciwnym razie już by zaczęli strzelać. Teraz kiedy ja... — odskoczył, gdy pociski przecięły ognisko, przewracając blaszankę z kawą.

Coppers i Eggert ukryli się w korycie strumienia.

— Sukinsyny, w tej puszce była reszta mojej kawy — przyłożył do ust dłonie złożone w trąbkę. — My nie jesteśmy tymi od bydła i owiec! — krzyknął.

Nad ich głowami przeleciał grad ołowiu. Eggert przykucnął — pod osłoną brzegu — i spojrzał na Coppersa.

— Myślisz, że mnie usłyszeli?

— Usłyszeli, ale nie uwierzyli.

Po tej początkowej kanonadzie, strzelanina ograniczyła się do padających od czasu do czasu pojedynczych wystrzałów. Jeden z pocisków odbił się od skały i poszybował z jękiem w powietrze.

Coppers dostrzegł na górze jakiś ruch, podniósł strzelbę i wypalił. Odpowiedział mu czyjś krzyk.

— Na Boga, trafiłeś — zauważył Eggert, zadowolony. — Żebym tak miał swoją broń.

— Idź i weź ją — powiedział Coppers, będę cię ubezpieczał.

— Załaduj najpierw jeden albo dwa naboje do strzelby — rzekł Eggert.

Coppers włożył dwa naboje do magazynku swego winchestera.

— Jest pełny, to powinno wystarczyć.

Eggert poczołgał się na trawiastą część skarpy i wychylił, patrząc na zbocze po drugiej stronie.

— W porządku, wal — powiedział i pomknął w górę, podczas gdy Coppers otworzył regularny ogień przeciw obu zwalczającym się grupom.

Eggert chwycił broń, pobiegł z powrotem do strumienia i skoczył, ochlapując Coppersa wodą.

— Mam ją — oświadczył triumfalnie, zapinając pas z bronią i wkładając nabój do swego winchestera. — W porządku, dranie. Samiście tego chcieli.

Podniósł strzelbę i wypalił, a do ich uszu dobiegł następny okrzyk.

— Tylko go drasnąłem — zauważył Eggert. — Teraz się lepiej kryją — strzelił raz jeszcze i obie grupy ulokowane powyżej otworzyły ogień w kierunku strumienia.

Kanonada trwała. Strzelano na oślep wzdłuż wierzchołków obu wzgórz.

Coppers rzucił okiem na Eggerta i dostrzegł, że tamten obserwuje wzgórze po prawej. Eggert wyczuł jego spojrzenie i odwrócił głowę.

— Pójdę kawałek w górę strumienia. Jesteśmy tu już tak długo, że równie dobrze możemy spróbować przerwać tę walkę — rzekł Coppers.

— Jeśli chcesz, to próbuj — odparł Eggert — ja spróbuję pozostać przy życiu.

Coppers uśmiechnął się do niego i zgięty wpół — ruszył w górę strumienia. Dotarł do miejsca, gdzie strumień skręcał. Stanął i nasłuchiwał. Odwrócił głowę — mężczyzna stojący powyżej, za plecami Eggerta, składał się do strzału. Poderwał strzelbę i wypalił. Tamten poleciał do przodu. Eggert spojrzał przez ramię i dostrzegłszy Coppersa — zamachał strzelbą. Coppers odpowiedział mu tym samym i ruszył dalej. Obszedł zakręt i nagle dojrzał trzech mężczyzn, leżących pod osłoną skał.

Odwiódł kurek winchestera, przykucnął, aż jego wzrok znalazł się w jednej linii z brzegiem strumienia. Złożył się i strzelił, strącając na wszystkich trzech grad potłuczonej skały. Strzelił ponownie, sprawiając, że jeszcze bardziej rozpłaszczyli się na ziemi.

— Następnym razem strzelę do was. Rzućcie broń!

Ten, który był najbliżej, obrócił się podniósł winchester, ale szybki pocisk Coppersa powstrzymał wszelkie jego ruchy. Drgnął poruszony siłą pędzącego pocisku i znieruchomiał. Pozostali dwaj wcisnęli się na czworakach pod osłonę skał, porzucając strzelby. Ze wzgórza naprzeciwko dwóch ukrytych strzelców otworzyło do niego regularny ogień. Wycofał się tą samą drogą, nie dostrzegając żadnego celu, do którego mógłby wycelować.

Doszedł za zakręt strumienia, stanął i słuchał zdumionych okrzyków jakie dobiegały od strony, po której, jak mu się zdawało, rozlokowani byli ci od owiec. Strzelanina ucichła. Usłyszał odgłos pędzących koni, który wkrótce ucichł, pogrążając kanion w pełnej napięcia ciszy.

Wspiął się na szczyt wzgórza, gdzie znalazł zwłoki trzech nieznanych mężczyzn. Rozejrzał się pobieżnie, po czym przeszedł na drugą stronę kanionu. Obóz owczarzy stracił dwóch ludzi. Ciężka cisza trwała nadal.

Schodził dużymi krokami, kierując się w stronę obozu Eggerta. Po pięciu minutach wyszedł z zarośli na trawiastą polanę.

Ani Eggerta, ani jego konia już tam nie było.

18

Po zmroku, około dziewiątej, Coppers zbliżał się do Poręby B. Prowadził Farah lekkim kłusem, a ona czując stajnię, starała się przyspieszyć kroku.

W oknach domu, na parterze, paliło się światło. Żółte kwadraty zakurzonego szkła wskazywały, że ktoś był również w baraku. Doszły go dźwięki fisharmonii i ta słodka muzyka odprężyła go.

Popuścił wodze, a Farah posłusznie skierowała się do stajni. Zaprowadził ją do boksu i nałożył dużą porcję owsa. Następnie ruszył ku kuchennym drzwiom domu. Ze środka dobiegł go brzęk naczyń, które Wash zmywał po wieczornym posiłku. Dźwięk fisharmonii, tu, na tyłach budynku, był bardziej przytłumiony. Zapukał i wszedł. Wash wychylił się z kuchni na ciemny ganek.

— To pan, panie Coppers, co? — zapytał drżącym, przestraszonym głosem.

— Tak — podszedł bezszelestnie do otwartych drzwi, a Wash szybko się cofnął — umieram z głodu. Czy zostało coś z kolacji?

— Tak, panie Coppers. Proszę usiąść przy stole, a ja przygotuję coś do jedzenia, mam jeszcze w piecyku dobry gulasz.

Coppers podszedł do stołu, rzucił swój kapelusz na podłogę obok krzesła i usiadł, krzyżując dłonie na białoczerwonym obrusie.

Prawie natychmiast Wash postawił przed nim talerz gulaszu i stertę złocistych sucharów. Zanim powrócił do swych kuchennych obowiązków, przyniósł mu filiżankę kawy.

— Kto jest w baraku? — zapytał Coppers.

— Pan Farnell i pan Slim.

— Pan Boynton jeszcze nie śpi?

— Tak. Na pewno nie śpi.

— Powiedz mu, że chcę z nim mówić — wyciągnął woreczek z tytoniem i zaczął skręcać papierosa.

Wash patrzył na niego zalękniony.

— Zrozumiałeś co powiedziałem? — zapytał ostro.

— Taak, pewnie że zrozumiałem. Idę po pana Boyntona — wycofał się tyłem do wewnętrznych drzwi, szybko odwrócił się i zniknął.

Coppers skończył właśnie papierosa, kiedy Wash wtoczył wózek z Boyntonem do kuchni. Stary skinął mu głową w milczeniu. Jego oczy były błyszczące i czujne. Coppers położył sztućce na talerzu i kiwnął na Washa, żeby wyszedł.

Wyszedł niechętnie, rzucając spojrzenia Boyntonowi, który nie zwracał na niego uwagi i Coppersowi, który patrzył na niego surowo.

Boynton gładził swoją kozią bródkę i popatrywał ostrożnie na Coppersa.

— Tak panie Coppers... — zaczął gładko.
— Czy mogę zapalić?
— Proszę bardzo, a może pan woli cygaro? Coppers odmówił, a w jego palcach powstawał już nowy papieros. Zapalił.
— Przede wszystkim muszę przeprosić pana, że przybyłem tu pod fałszywym pretekstem.
Boynton opuścił rękę na poręcz fotela.
— Fałszywym pretekstem?
Coppers obszedł wózek Boyntona i usiadł na brzegu stołu.
— Pracuję dla Agencji...
— Tajna Służba?
— Tak. Pan musi wiedzieć dlaczego tu jestem.
— Nie mam pojęcia, sir — odparł Boynton sztywno. — Najmniejszego pojęcia.
— Myślę, że jednak ma pan pojęcie, panie Boynton — powiedział Coppers łagodnie.
Wyjął zmięty list w sprawie okupu i podał go Boyntonowi.
— Proszę na to spojrzeć, sir. Naraża pan wnuczkę na niebezpieczeństwo. Jestem pewien, że nie chciałby pan tego.
Boynton odczytał żądanie okupu, jego twarz zmarszczyła się, a ramiona opadły.
— Oni, oni porwali Alethę? Dlaczego mi nie powiedziano?
— Kłóciłoby się to z moimi zamiarami. Nigdy nie mówię nikomu więcej niż muszę.
— Skąd mam wiedzieć, że pan sam nie bierze udziału w tej grze?
Coppers wzruszył ramionami:
— Musi mi pan zaufać, sir.
— Obawiam się, że to teraz niemożliwe.
— Proszę posłuchać. Jestem agentem Tajnej Służby. Nie mam dokumentów na potwierdzenie moich słów, ponieważ przyjechałem tu incognito, aby wykonać tajne zadanie.
Boynton nie spuszczał wzroku z twarzy Coppersa.
— Jedno mogę panu powiedzieć. Pański człowiek z Denver, profesor Lemuel P. Taylor, którego pan dobrze zna, jest teraz w Laramie lub w Arapaho, albo właśnie tam jedzie. Podejrzewam, że tak zwany profesor nie jest zadowolony ze swego udziału. Chce zabrać wszystko. Pracuje dla niego paru bardzo groźnych ludzi. Nie jestem pewien ilu ich jest. Im dłużej pan będzie kręcił, na tym większe niebezpieczeństwo naraża pan Alethę i siebie.
Podczas gdy Coppers mówił cichym, poważnym, przekonującym głosem, Boynton zasłaniał twarz szczupłymi dłońmi. Oczy miał mokre od łez.
— Washington, proszę do mnie — zawołał.
Wash musiał czekać pod drzwiami, gdyż wszedł natychmiast.
— O co chodzi, psze pana? — zapytał, rzucając Coppersowi groźne spojrzenie.
— Przynieś mi kieliszek brandy, Washington — spojrzał na Coppersa i dodał — napije się pan ze mną, sir?

— Nie, dziękuję.

Murzyn wyszedł, a kiedy wrócił z kryształowym kieliszkiem, wypełnionym płynem w kolorze ciemnego bursztynu, stary podniósł go do ust i jednym haustem wypił połowę zawartości.

— Brandy powinno się sączyć — powiedział przepraszającym tonem. — Muszę przyznać, że przeżywam ostatnio koszmary. Ciąży mi na sumieniu to co zrobiłem.

— Jestem pewny, że nie.

— Gdy zwalniałem się ze służby w departamencie skarbu wszystko wyglądało pięknie i obiecująco. Miałem dość pieniędzy, by nabyć to ranczo. Na wydatki bieżące miałem emeryturę i dochody z kilku drobnych inwestycji. Później wszystko przepadło. Moja emerytura, inwestycje, wszystko. Postawiłem i przegrałem wszystko co włożyłem w Porębę B, więcej, wszystko co posiadałem. Przyjechałem tu przed Alethą, pozostała wówczas u przyjaciół w Virginii. Bardzo uważnie obejrzałem tę posiadłość. Dom był istną ruiną, nie nadającą się nawet na psią budę. Kiedy oglądałem piwnice, znalazłem pieniądze. Leżały tak jak je zostawiono po napadzie jakieś dwadzieścia lat wcześniej. Od razu wiedziałem co się wydarzyło. Te pieniądze wieziono na Wschód, aby je zniszczyć z powodu jakiejś wady.

— Brakowało na nich podpisu Skarbnika Stanów Zjednoczonych — podpowiedział Coppers.

Boynton spojrzał na niego zaskoczony.

— Tak. Oczywiście musi pan o tym wiedzieć. — Przez chwilę siedział w milczeniu, po czym ciągnął dalej — sprowadziłem grupę cudzoziemskich robotników, którzy stosując się do moich wskazówek wybudowali warsztat w miejscu, gdzie dawniej była dwa stara piwnica. Pracowałem tam, naprawiając błąd popełniony w mennicy; brałem tylko tyle, żeby mieć stały dochód. Rozporządziłem sumą nie większą niż dwieście tysięcy dolarów. Reszta jest w sejfie, w warsztacie. Dla rozprowadzania pieniędzy potrzebowałem pomocy. Skontaktowałem się z synem mojego starego przyjaciela. Lemuel nigdy nie był wiele wart, ale był miłym chłopcem, bardzo towarzyskim. Zgodził się mi pomóc.

— Jaki procent otrzymał?

— Piętnaście procent. Chciał więcej, ale go przekonałem. W końcu był zadowolony z tego, co dostawał.

— Być może z początku. Potem przeważyła chciwość. Zapragnął wszystkiego.

— Był jak członek rodziny — protestował Boynton — Aletha go lubiła...

— Skończmy tę gadkę — powiedział Coppers szorstko.

To co próbuję wykonać, pomyślał, to wyekspediowanie tych pieniędzy do Waszyngtonu i umieszczenie Alethy na czas w bezpiecznym miejscu. Nie wątpił, że krążące wokół Poręby B wilki, kojoty i sępy, zwalą się tu jak szarańcza.

Z zadumy wyrwało go pukanie do kuchennych drzwi. Stanął w nich zastępca szeryfa, Shug Kruger, mierząc i do Coppersa z dubeltówki z oberżniętymi lufami. Oba kurki były odwiedzione.

— Jest podwójnie nabita grubym śrutem — oznajmił Kruger, wpatrując się w Coppersa. Zza jego ramienia wychylały się twarze dwóch ludzi; ich rewolwery błyszczały w świetle.

— O co tu chodzi? — zapytał łagodnie Coppers.

— O to chodzi, chłopie — odparł Kruger z satysfakcją — że aresztuję cię w imieniu prawa.

Wszedł do środka, robiąc miejsce dla dwóch pozostałych uczestników obławy. Dobiegające z zewnątrz odgłosy końskich kopyt wskazywały, że było ich tam więcej.

— Weźcie jego broń, chłopcy, i upewnijcie się, czy nie ma gdzieś jeszcze schowanej.

— Pod jakim zarzutem? — zapytał Coppers, nie podnosząc głosu. — Mamy ich wiele — odrzekł Kruger — zacznijmy od pierwszego, Butch Cassidy!

Szef Tajnej Służby — Charles Effington znajdował się w przedpokoju Owalnego Gabinetu. Czuł się nieswojo, był przygnębiony. Siedział z nogą założoną na nogę, w niewygodnym fotelu. Ręce miał opuszczone na poręcze fotela, co pozwalało mu powstrzymywać się od nerwowego przebierania palcami.

Cicho stąpający sekretarz podszedł doń i pochylając głowę wyszeptał:

— Prezydent przyjmie pana teraz, dyrektorze Effington.

Effington poderwał się na równe nogi, niemalże nadeptując tamtemu na pięty. Opanował się i zmusił do tego, by iść wolno. Właściwie prawie skradał się na spotkanie, którego wolałby uniknąć. Zarzucił już wszelkie próby odgadnięcia, co oznaczało, to wezwanie. Prezydent siedział za biurkiem, wpatrując się w leżącą przed nim kartkę papieru.

— Proszę usiąść — powiedział prezydent.

Effington usiadł na brzegu krzesła, ustawionego koło prezydenckiego biurka. Nad ramieniem Roosevelta zauważył posążek Remingtona, wręczony prezydentowi przez jego ludzi w dniu, kiedy Burzowi Jeźdźcy wysiedli na ląd na Long Island.

— Bywają różne rodzaje więzi — mówił Roosevelt, podkreślając wyraźnie każde słowo szczęknięciem zębów, — przyjaźnie z dzieciństwa, więzy rodzinne, szkolne itd. Ale kiedy wyruszasz z kimś na wojnę, to łączą cię z nim więzy szczególne. Towarzysze broni! To było zawsze najważniejsze. Ani moi chłopcy — Burzowi Jeźdźcy — ani ja nie wybraliśmy tej nazwy — byli gotowi w każdej chwili oddać życie za swój kraj, za mnie. To wytworzyło więź na całe życie, więź, którą szanuję, a nawet czczę. Tamtego dnia powiedziałem chłopcom, że zawsze będę im pomagał, niezależnie od tego, jak potoczy się ich lub moje życie. Na Boga, ja tak wtedy naprawdę myślałem i myślę tak nadal.

— Tak, sir — wyszeptał Effington — byłem zbyt młody, by wziąć udział w wojnie domowej i zbyt stary na wojnę hiszpańską.

Roosevelt rzucił mu jeszcze jedno, mrożące krew w żyłach spojrzenie.

— Tamtego dnia uścisnąłem każdemu z nich rękę — ciągnął Roosevelt — nigdy nie zapomnę o żadnym z nich. Nigdy!

Effington poczuł się bardzo mały w atmosferze wytworzonej przez pasję Roosevelta. Mimo wielu opowieści, jakie słyszał o tym wybitnym człowieku, nie mogłoby być wątpliwości co do jego szczerości.

— O jednym w szczególności — powiedział podnosząc kartkę do oczu, aby jej się lepiej przyjrzeć — to Dawid Coppers. Czy to nazwisko coś panu mówi, dyrektorze?

— Tak, sir — odparł Effington i skinął, czując jak zasycha, mu w gardle — to jeden z moich agentów.

— Co się kryje za jego misją w Wyoming?

— Znam tę sprawę jedynie w ogólnych zarysach, sir. Zajmuje się nią mój zastępca.

— Powinien był pan przyprowadzić swego zastępcę ze sobą.

— Przykro mi, sir, ale on sam wyjechał w specjalnej misji.

— Jakie są szczegóły tej sprawy?

Effington na próżno próbował się skupić.

— Skiles, mój zastępca, jest w drodze do Wyoming, aby rozwiązać problem, jaki powstał w związku z tą sprawą.

— Proszę mi tu nie serwować biurokratycznego bełkotu — powiedział Roosevelt surowo.

— Sir, ja nie znam wszystkich faktów — oświadczył zrozpaczony Effington.

— Proszę mi więc podać te, które pan zna.

— Mój zastępca zaplanował operację odzyskania banknotów zagarniętych w napadzie na pociąg jakieś piętnaście — dwadzieścia lat temu. Polecił do tej misji Coppersa, ponieważ on stamtąd pochodzi, a zarazem był poza terytorium Wyoming dość długo, aby nie zostać rozpoznanym. Żałuję, ale bez konsultacji z panem, Skilesem nie jestem w stanie dostarczyć więcej danych na ten temat.

— Otrzymałem list od obywatela — powiedział Roosevelt — którego nazwiska nie wymienię, informujący, iż Coppers nie został dobrze przygotowany do wykonania powierzonego mu zadania. Istnieją też inne, poważne oskarżenia. Muszę pana ostrzec, dyrektorze Effington, że jeśli cokolwiek stanie się Coppersowi, będę uważał, iż jest pan za to odpowiedzialny. Czy to jasne?

— Tak, sir. Kto napisał ten list?

Nie, żeby to miało jakieś znaczenie, pomyślał smętnie.

Roosevelt spojrzał na niego chłodno.

— Ma pan prawo wiedzieć. Rzucił okiem, by sprawdzić. — Pani Ida Mae Courtnay. To wszystko, dyrektorze.

Effington wstał, ukłonił się:

— Dziękuję, sir.

19

Coppers siedział bez ruchu i patrzył na Krugera. Czy tamten zapamiętał go od czasu tego incydentu z pociągu, w który zamieszana była Sal Bennion? Kruger był wtedy pijany. Teraz był czujny, twarz miał zarumienioną, a oczy świeciły mu się z podniecenia.

— Weź jego broń, Pinky — rozkazał Kruger — i nie wchodź między niego a ten rozpylacz.

Pinky, kowboj o różowej, piegowatej skórze, rudych włosach i grubych wargach, szedł ostrożnie wzdłuż ściany, zachodząc Coppersa od tyłu.

— Musisz być szalony — powiedział Coppers.

Kruger skinął uśmiechając się lekko.

— Z czystego szczęścia. Nigdy mi się nie śniło, że dostanę w swe ręce słynnego Butcha Cassidy.

— I nie dostałeś — powiedział Coppers — o ile mi wiadomo, Cassidy zginął w którymś z państw Ameryki Południowej.

— To wszystko bujda — powiedział Kruger i wyjął z kieszeni kartkę papieru. — Rzuć okiem na tego faceta, a potem powiedz mi, że nie jesteś Butchem Cassidy — rzucił zwinięty papier na stół przed Coppersem.

Pinky ostrożnie wyciągnął colt z olstra Coppersa i chwilę mu się przyglądał, zanim zatknął go sobie za pasek.

— Upewnij się, czy nie ma przy sobie jakiejś innej broni.

Coppers siedział bez ruchu, podczas gdy Pinky go obszukiwał. Kiedy tamten się odsunął, rozwinął kartkę i wygładził ją na zgięciach. Miał przed sobą zwykły list gończy, taki, jakie wieszają na pocztach i w sądach całego kraju. Podobieństwo twarzy na plakacie do Coppersa nie ulegało wątpliwości; zostało oddane przez jakiegoś nieznanego artystę, kryjącego się za inicjałami M. S.

— Skąd to masz? — zapytał Coppers.

— Z tego samego źródła, co zwykle — odparł Kruger — przyszedł pocztą.

— Sądzę, że pan Boynton może przysiąc, że nie jestem Butchem Cassidy — rzekł spoglądając na starego.

Boynton siedział w napięciu i jedynie błysk w jego oku zdradzał emocje. Z namaszczeniem pokiwał głową.

— Pan Coppers nie jest Butchem Cassidy — oświadczył zwięźle.

Kruger prychnął z niedowierzaniem.

— Ot, tak po prostu, co? To, że pan tak powie nie znaczy, że to prawda? Tylko to się liczy — odebrał Coppersowi list gończy i włożył z powrotem do kieszeni.

— To i jeszcze jedno.

— Co?

— Pokaż mu, Pinky.

Pinky wyciągnął zza koszuli płócienny worek na pieniądze i podniósł, aby go wszyscy mogli obejrzeć. Nadruk na worku brzmiał: „Stockman bank Wyoming”.

— Wyciągnęliśmy to spod twojej pryczy w baraku na Porębie B. Wczoraj dwóch ludzi dokonało napadu na bank przy drodze do Laramie. W tym worku było tylko kilkaset dolarów, ale podczas napadu zrabowano ponad szesnaście tysięcy.

— Nie mam o tym pojęcia — rzekł Coppers.

Kruger udał zmartwienie.

— Oni wszyscy tak mówią, chłopie — rzekł znużonym głosem. — Mamy cię na widelcu, więc dlaczego się nie przyznasz? Taak, i powiedz nam, gdzie jest reszta pieniędzy oraz kto był twoim wspólnikiem.

— Będziemy tu stać i trajlować całą noc? — zapytał jeden z uczestników obławy. — Wyjechałem z miasta nie mówiąc mojej starej, dokąd jadę.

Kruger zignorował skargę.

— Musisz odpowiedzieć na wiele pytań, Cassidy. Dokonano serii zabójstw, odkąd pojawiłeś się w tej okolicy. Najpierw Gil Tatum, potem biedny, stary Al Hunter — ty jako ostatni widziałeś go przy życiu, Spud Oliver, to oczywiście niewielka strata, ale jest też doktor Jasper, najlepszy człowiek pod słońcem! Niemal do nogi wybiłeś ludzi Tyrella i Talbota powyżej Horsehead Crossing. Pracujesz dla obu tych tuzów?

Coppers milczał. Rozmowa z Krugerem nie miała sensu. On już wiedział swoje.

— Z pewnością pracujesz dla obu. Słyszałem, że załatwiłeś trzech ludzi Tyrella i dwóch Talbota.

— On mógł sam jeden zakończyć tę awanturę — zauważył Pinky. — Ci, którzy przeżyli woleli nie ryzykować i zwiali.

— Co? Co się dzieje? — zapytała z niepokojem w głosie Aletha Boynton. Za nią stał Washington, ściskając w dłoniach starą, nabijaną z przodu dubeltówkę.

Kruger uchylił kapelusza.

— Zabieram tego faceta do aresztu. Okazuje się, że to słynny Butch Cassidy, poszukiwany w wielu stanach za prawie wszystkie możliwe przestępstwa. Nagroda wynosi pięćdziesiąt tysięcy dolarów, za żywego lub martwego.

— Dave?

Coppers wstał i odchrząknął. Podeszła do niego szybko i położyła mu dłoń na ramieniu.

— On po prostu nie może być Cassidym. Z tego, co słyszałam Cassidy był piętnaście lub dwadzieścia lat starszy od Dave’a.

— Cóż, być może. Przekonamy się. Jest jeszcze ten napad na bank.

— On nie mógł mieć z tym nic wspólnego — zaprotestowała Aletha. — Przez cały czas był tutaj.

— To się nie zgadza z tym, co mówi inny świadek, Lute.

— Wiem, że nie może być winny — sprzeciwiła się Aletha. — On nie jest tego typu człowiekiem.

— Jak długo go pani zna, panno Aletho?

— Pomógł mi, kiedy zaatakował mnie kuguar, rzeczywiście nie znam go zbyt długo, szeryfie, ale człowiek nie potrzebuje dużo czasu żeby poznać czyjś charakter. Powinien pan o tym wiedzieć.

— Gdyby mogła go pani zobaczyć, zmieniłaby pani zdanie.

— Ja, ja go widziałam — odparła Aletha drżącym głosem, a potem gwałtownie dodała: — Tym czym mogę patrzeć: sercem, słuchem, dłońmi — przerwała zawstydzona i zarumieniła się.

Wbrew wszystkiemu, co się działo, patrząc na nią, czuł się podniesiony na duchu.

— Kto podał te informacje? — zapytał.

— Teraz nie powiem — odparł krótko Kruger i odwrócił się do Coppersa plecami. — Wiem, że jest pani przekonana o swojej racji, panno Aletho. Ale ja muszę go zabrać. Ruszcie się, chłopcy. Pinky, siodłaj konia.

— Mój jest srokosz — powiedział Coppers, a Aletha wydała cichy okrzyk bólu.

— Srokosz jest osiodłany, czekamy — dobiegł głos z zewnątrz — możemy ruszyć, jak tylko będziesz gotowy, Shug.

Doba spędzona w ciasnej celi więzienia w Arapaho sprawiła, że Coppers czuł się osaczony, nieszczęśliwy i niespokojny. Chodził po niewielkim pomieszczeniu, wspominając triumfalny błysk w oczach Boyntona kiedy zastępca szeryfa wyprowadził go z domu i przykuł kajdankami do łęku swego siodła. Po drodze do Arapaho Coppers usiłował namówić Krugera do pozostawienia paru ludzi na straży w Porębie B. Kruger jednak nie chciał o tym słyszeć.

Zastanawiał się, jak Farnell postąpi z Alethą. Wyglądał na zakochanego w niej, ale Coppersowi wydawało się, że nie jest to ten rodzaj miłości, jaki porządny mężczyzna powinien żywić do kobiety godnej szacunku. Zastanawiał się, czy Farnell zabawi się z Alethą, jeśli będzie miał po temu okazję, a jedyna odpowiedź, jakiej mógł sobie udzielić, doprowadzała go do szaleństwa.

Z okna jego celi widok na główną ulicę Arapaho był ograniczony. Widział stację dyliżansów obok hotelu. Ale dyliżanse przyjeżdżały tylko dwa razy w tygodniu i w tej części miasta nie było zbyt dużego ruchu. Mężczyźni zbierali się przed „Wild Belle”.

Dwa razy dziennie wchodził Kruger i mierzył — poprzez kraty — do Coppersa z dubeltówki o odwiedzionych kurkach. W tym czasie starszy strażnik więzienny otwierał drzwi i stawiał w środku tacę z jedzeniem. Następnie szybko się wycofywał, zatrzaskiwał drzwi i zamykał je ogromnym kluczem. Jedzenie pochodziło z hotelu i składało się w całości z resztek wymieszanych na niewielkiej tacy. Nie miało to dla niego znaczenia, bo stracił apetyt.

Rankiem drugiego dnia szeryf wszedł do aresztu, trzymając pod rękę Alethę.

Zaskoczony Coppers skoczył na równe nogi. Dziewczyna trzymała w ręku koszyk przykryty serwetką.

Szeryf przekręcił klucz w drzwiach celi i pchnął je nogą. Jego dubeltówka wycelowana była w Coppersa.

— Przykro mi, psze pani, ale muszę zajrzeć do koszyka.

Zaśmiała się wesoło i zdjęła lnianą serwetkę, ukazując jego zawartość. Kruger pochylił się.

— Wygląda na to, że wszystko jest w porządku — rzekł.

— Pieczony kurczak — mówiła, zręcznie przykrywając koszyk, — szarlotka, stare, południowe smakołyki. Sama je przyrządziłam, oczywiście z pomocą Washingtona.

— To muszą być dobre — stwierdził grzecznie zastępca szeryfa, czekając aż wejdzie do celi. Przekręcił klucz w zamku, opuścił kurki w dubeltówce i odetchnął. — Nie mogę pozwolić, aby pani tu długo siedziała — przestrzegł.

Kiedy odszedł, Coppers wziął od Alethy koszyk i położył na pryczy. Chwycił jej ręce.

Lekko zadrżała:

— Ach, Dave, tak mi przykro, że cię to spotkało.

Czuł ciepło jej rąk i to, że odpowiadały na jego uścisk. Nagle świat wydał mu się piękniejszy.

— Co słychać na Porębie B?

— Spokojnie, bardzo spokojnie.

— Czy nie kręcą się jacyś obcy?

Ze zdziwieniem potrząsnęła głową:

— Nie, czemu pytasz?

Zmusił się do uśmiechu:

— Żyjemy w niebezpiecznych czasach. Radzę ci pozamykać drzwi i nie wychodzić z domu.

Uśmiech zniknął z jej twarzy:

— Co nam zagraża, Dave? Możesz mi zaufać.

— Nie wiem. Sam chciałbym wiedzieć i wtedy z przyjemnością powiedziałbym ci. Dałbym wszystko na świecie, aby mieć pewność, że nic się nie stanie — rzekł niemal zrozpaczony.

— Mówisz dokładnie jak mój dziadek, chce, żebym natychmiast wyjechała na wschód i poddała się operacji oczu. Ostatnio tylko o tym mówi.

— Zrób to — nalegał Coppers. — Zrób to teraz. Nie wracaj na Porębę B, Aletho. Tam nie jest bezpiecznie.

— Ja nie jestem bezpieczna, jeśli nie jest bezpieczny mój dziadek. Teraz, kiedy to wszystko się dzieje, nie mogę wyjechać. Nie mogę uciec teraz, kiedy przyszły na nas ciężkie czasy. I chcę wiedzieć, że zostałeś uwolniony od tych wszystkich głupich zarzutów.

— To nie takie proste. Dzieje się tyle rzeczy, o których nie wiem. To sprawia, że czuję się bezradny, nawet kiedy jestem na wolności.

— Zostaniesz oczyszczony — powiedziała stanowczo — zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby ci pomóc, Dave. Ale musisz mi powiedzieć co powinnam zrobić.

— Przekaż Dakocie, że chcę się z nim widzieć. Stary znał Butcha Cassidy'ego i gdyby doszło do konfrontacji, Dakota mógłby zaświadczyć, że nim nie jestem.

Aletha zmarszczyła brwi:

— Lute Farnell powiedział mi, że Dakota porzucił pracę i odjechał. To był taki miły staruszek. Wydawało mi się, że jest zadowolony z pracy na Porębie B.

Poczuł, jak ogarnia go coraz większe zdenerwowanie. Gdyby poddał się temu uczuciu, jego życie w ciasnej celi zmieniłoby się w piekło.

— Większość ludzi nie jest zadowolona, nawet jeśli im niczego nie brakuje.

— Czego chciałeś od Dakoty?

— To był tylko taki pomysł, niezbyt ważny. Czy zrobisz tak, jak ci powiedziałem, to znaczy zamkniesz się w domu i poczekasz na wiadomość?

— Jaką wiadomość, Dave?

Była chodzącą niewinnością. Stary z pewnością nie zwierzył się jej — tego był pewien.

— Nie wiem dokładnie — odpowiedział i zdał sobie sprawę, że jest prawie tak samo bezbronny, jak ta niezwykle pociągająca, niewidoma kobieta.

— W moim domu zawsze czułam się bardzo pewnie.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co się dzieje, Aletho?

— Tylko z tego, że bardzo mi ciebie brakuje! Gdybyś był wolny... — nagle przerwała, a po chwili ciągnęła dalej: — Kruger wcale mnie nie słucha. Czuję się taka bezradna. To doprowadza mnie do obłędu.

Pragnął ją chronić, sprawić, żeby była bezpieczna. Wiedział, że Kruger wystawił całodobowe warty. Mężczyźni w Arapaho zbierali się i rozprawiali posępnie o szybkiej egzekucji, która raz na zawsze rozwiązałaby sprawę. Podczas krótkiego pobytu w Wyoming Coppers dorobił się zupełnie niezasłużonej, lecz siejącej postrach opinii wyrachowanego mordercy.

Aletha zrobiła kilka kroków w stronę drzwi.

— Mam nadzieję, że się nie mylę — powiedziała i uniosła głowę. — Wierzę w ciebie, Dave. Chcę, żebyś o tym wiedział.

Coppers uczuł, pod wpływem wzruszenia, dziwny ucisk w piersiach.

— Bardzo mi to pomaga.

— Idę już. Będę o tobie myśleć.

A on myślał o niej tak, jak myślał od czasu, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy na szlaku w kanionie. W tamtej chwili jego życie zmieniło się.

Zawołała. Kruger nadszedł z dubeltówką i w milczeniu wyprowadził ją z celi.

Dochodzący z koszyka zapach jedzenia podrażnił nozdrza. Poczuł się głodny jak wilk. W koszyku znalazł złocistobrązowego kurczaka, kawałek placka kukurydzianego i grube kawałki szarlotki, z których wyciekała masa jabłkowa. Wziął kawałek kurczaka i zaczął jeść.

Kruger otworzył drzwi i wszedł, aby oprzeć dubeltówkę o kraty sąsiedniej celi, poza zasięgiem Coppersa. Zastępca szeryfa przykucnął w korytarzu.

— Proszę się poczęstować kawałkiem kurczaka — rzekł Coppers i podał mu porcję.

Tamten wymruczał podziękowanie i zaczął jeść.

— Zaczynam się trochę martwić, chłopie — oświadczył po chwili. — Mówi się, że powstaje grupa, która szykuje dla ciebie krawat.

— Nie chciałbym, żeby do tego doszło — odparł Coppers — zwłaszcza, że zamknął pan niewłaściwego człowieka.

— Och, jestem pewien, że jesteś Butchem. Nie mogę tylko pojąć dlaczego zostałeś mordercą. Butch nigdy nie brał się do mokrej roboty. Facet, który dopuścił się zabójstwa, wykonując robotę dla Butcha, nie miał już potem okazji do powtórzenia tego wyczynu. Butch nigdy nie zabił człowieka. Nie wiem czemu ci to mówię, przecież Butch to ty...

— Wysłałeś telegram do Waszyngtonu?

Kruger przytaknął:

— Wysłałem człowieka z telegramem do Laramie. W Arapaho nie mamy telegrafu ani telefonu.

— Więc, gdy tylko Waszyngton odpowie, będziesz znał prawdę. Ja nie martwię się o siebie, ale o ludzi z Poręby B.

— Masz na myśli pannę Alethę? — zapytał Kruger chytrze.

— Tak — Coppers wyjął ciasto z koszyka i przyjrzał mu się.

— Dlaczego się nie przyznasz i nie zakończysz tej całej historii? Powiesz mi, kto ci pomógł w dokonaniu napadu, a ja szepnę prokuratorowi słówko w twojej obronie.

— Prokurator nigdy nie będzie miał okazji mnie zobaczyć — mruknął Coppers. — Już tamta pijana zgraja tego dopilnuje.

— Być może. Wystawiam straże przez całą dobę. Ale myślę o tym, żeby cię przetransportować do Cheyenne. Mają tam areszt pierwsza klasa — rzucił Coppersowi złośliwe spojrzenie. — Może dostaniesz starą celę Toma Horna?

Coppers rozejrzał się po niewielkim budynku na cztery cele, z zakratowanymi oknami w kamiennych ścianach.

— Jak dla mnie, wygląda dość solidnie.

— Przykro mi to mówić, ale ten areszt nie wytrzyma, jeśli ta zgraja zdecyduje się tu po ciebie przyjść.

Coppers ugryzł kawałek ciasta i wyczuł pod zębem coś twardego. Spojrzał na Krugera zajętego ogryzaniem kurczaka, swobodnym ruchem wrzucił resztkę ciasta do koszyka; nakrył go serwetką. Tamten wciąż zajęty był przeżuwaniem. Coppers odprężył się.

Kruger skończył i wstał podciągając spodnie.

— Zdecydowałem się już — powiedział. — Wyjeżdżamy stąd około północy. Coś mi mówi, że nie pożyłbyś długo, gdybyś pozostał w Arapaho. Ludzie tutaj bardzo lubili starego Ala Huntera. Chcesz, żebym zabrał ten koszyk?

— Nie. Zostało mi jeszcze trochę jedzenia.

Kruger wyjął zapałkę, zaostrzył ją paznokciem i zaczął dłubać w zębach.

— Bądź gotów — powiedział, wziął dubeltówkę i ruszył w stronę drzwi.

— Jedyne, co muszę zrobić — powiedział Coppers — to włożyć kapelusz.

Gdy tylko Kruger wyszedł, Coppers przełamał szarlotkę, z której na podłogę wypadł metalowy przedmiot. Wytarł go do czysta i ujrzał ośmiocalową piłkę do metalu. Roześmiał się na wspomnienie niewinnej miny Alethy. Podszedł do okna i przyjrzał się kratom. Przecięcie ich tak małą piłką zajęłoby zbyt dużo czasu. W każdym oknie okratowanie składało się z czterech prętów. Usunięcie jednego z nich pozwoliłoby mu na przeciśnięcie się, ale nawet na to nie miał już czasu.

W jego umyśle odezwał się sygnał alarmowy, nakazujący mu natychmiast wydostać się z aresztu i udać się na ranczo Poręby B. Kłopoty piętrzyły się jak burzowe chmury nad górami.

Było już dobrze po zmroku, gdy podszedł do okna i wyjrzał w głąb nocy. Ulica była prawie wyludniona, jeśli nie liczyć pojedynczych jeźdźców, sunących w stronę saloonu lub „Wild Belle", czy spieszących do domu sklepikarza.

Przyłożył piłkę do zardzewiałej kraty i zastygł w pół ruchu, słysząc, o jakieś dwadzieścia stóp dalej, trzask zapalanej zapałki. Powstrzymał cisnące się na usta przekleństwa. Ciemna sylwetka ruszyła wzdłuż okna; dobiegł go wyraźny głos jeszcze jednej osoby:

— Czy masz zapałkę, kolego?

— Pewnie tak — odparł strażnik, a Coppers próbował rozpoznać głos drugiego, który wydał mu się. znajomy.

Przypomniał go sobie w mgnieniu oka, kiedy usłyszał stłumione „Aach" i westchnienie.

Coppers czekał wśród zupełnej ciszy. Drzwi najpierw szczęknęły, a potem zostały gwałtownie otwarte. Henry Eggert wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Coppers próbował przeniknąć wzrokiem ciemności, ale dochodzące z zewnątrz światło było zbyt nikłe.

— Zabiłeś tego strażnika?

— Skądże znowu. Uderzyłem go pałką, którą wziąłem z biura zastępcy szeryfa — Eggert podszedł do drzwi celi.

— Co ty, u diabła, wyrabiasz? — rzucił Coppers ze złością.

— Próbuję wyciągnąć z pętli twoją szyję — odparł spokojnie Eggert, zsuwając kapelusz na tył głowy.

— Masz klucz do celi?

— Nie, ale mam parę gwoździ do podków. To wszystko, czego mi trzeba, żeby otworzyć taki zamek, Coppers.

— Dlaczego nie nazywasz mnie Butch? Wszyscy tu tak na mnie mówią.

Zajęty majstrowaniem przy zamku, Eggert odparł:

— Wiem, że nie jesteś Butch. To jedna z przyczyn, dla której tu jestem. Nie lubię, jak ktoś podszywa się pod kogoś innego.

— Nigdy nie przyznawałem się do tego imienia. A z jakiej jeszcze innej przyczyny mnie uwalniasz?

— Nie lubię, jak z zimną krwią zabijają bezbronnego. A to właśnie dla ciebie szykują, kolego.

— Kim oni są?

— Farnell, Slim, prawdziwy zabójca — Otis Finlay. Kiedyś zabił człowieka za to, że się gapił na jego zajęczą wargę. To ci trzej próbują ci załatwić bilet na tamten świat. Jeżeli tu będziesz, kiedy przyjdą, zginiesz.

— Skąd o tym wiesz?

Eggert otworzył drzwi celi i schował gwoździe do kieszeni.

— Miałem spotkanie z pewnym biznesmenem w hotelu, w Denver. Przybyłem za wcześnie i usłyszałem, jak w pokoju obok wszyscy trzej rozmawiają ze swoim szefem.

— Kim jest ten szef?

— Facet o nazwisku Raven.

Raven to pseudonim Buforda Skilesa. Twarz Coppersa przybrała wyraz zaciętości, gdy uświadomił sobie, w jaki sposób tamten go podszedł. Komu wierzyć, jeśli już nie można zaufać kolegom z Agencji?

Eggert mówił, idąc w stronę drzwi wyjściowych.

— Twój srokosz jest uwiązany do furtki zagrody zastępcy szeryfa. W torbach przy siodle jest trochę żarcia. Nie miałem czasu, żeby zdobyć wiele. Najlepiej będzie, jeżeli już teraz wyruszysz w drogę. W „Wild Belle" jest banda, która pije dotąd aż będzie dość pijana, by cię powiesić — otworzył drzwi. — I jeszcze zabrałem twój pas z bronią z biura szeryfa. Wisi na łęku siodła.

— Zaczekaj chwilę — powiedział Coppers.

Eggert zatrzymał się:

— Trochę się spieszę.

— Jestem ci wdzięczny, ale dlaczego to robisz?

— Nie chcę, żeby ktoś przywłaszczył sobie imię, które do niego nie należy. Czy to nie jest wystarczający powód?

— Być może, ale czy masz inne powody?

— Gdyby nie ty, leżałbym teraz w potoku z kulą w plecach. To się przecież liczy. Przynajmniej dla mnie.

Drzwi zamknęły się za Eggertem. Gdy Coppers znalazł się na zewnątrz, usłyszał tętent galopującego konia, który wkrótce ucichł.

Buford Skiles dotarł do Arapaho zaraz po zmroku i udał się do swojego hotelu. Odwiązał od siodła swoją walizeczkę, wszedł po schodach i stanął w drzwiach, żeby oswoić się z żółtym światłem lampy naftowej. Podszedł do lady. Przejrzał rejestr gości i odnalazł swoje imię — Raven, nabazgrane ołówkiem obok numeru pokoju. Wyjął klucz z przegródki i wszedł do pokoju.

Starał się tłumić w sobie refleksje, jakie przychodziły mu do głowy podczas tej operacji. Na początku wszystko wydawało mu się bardzo proste. Nie chodziło wyłącznie o nienawiść do Coppersa. Ten spokojny, bezpretensjonalny człowiek budził w nim poczucie niższości. Coppers był lepszy od niego, chociaż nie czynił żadnych starań, żeby tego dowieść. Być może, myślał Skiles, można to było załatwić inaczej. To nie powinno zakończyć się w tym małym miasteczku, gdzie nic nie pozostaje tajemnicą. Dlaczego, zadawał sobie pytanie, nie wykorzystał tych głupich zawodów strzeleckich między Coppersem a Gage'em. Nie byłoby trudno

zastrzelić Coppersa przy takiej okazji, a winę zwalić na Gage'a. Dlaczego? Dlaczego?

Około dziesiątej wieczorem hałas dobiegający z saloonu nasilił się. Zdjął marynarkę. Umył dokładnie twarz i ręce. Właśnie wieszał ręcznik, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Podszedł doń i zapytał.

— Kto tam?

— To ja, Lute, panie Raven.

— I kto jeszcze?

— Tylko ja i moi ludzie.

Skiles otworzył drzwi i obrzucił wzrokiem trzech mężczyzn stojących w ciemnym korytarzu. Poczuł woń pierwszego, który wszedł. Ten smukły, drobny mężczyzna, o wąskich ramionach i krzywych nogach jednym płynnym ruchem prześliznął się przez pokój i usiadł na łóżku. Skiles patrzył, zafascynowany, na jego chudą jak szkielet twarz i zajęczą wargę, której nie zakrywał drobny, brązowy wąsik.

Pozostali weszli za nim.

— Ci dwaj do Slim Packard i Otis Finlay — rzekł Farnell, wskazując kolejno obu.

— Myślałem, że jest was czterech — powiedział Skiles.

— Ach tak, panie Raven, jeden z nas — to jest Dakota — miał wypadek. Jego koń wpadł nogą w norę susła, przewrócił się i stary Dakota skręcił kark.

— Zginął na miejscu — oświadczył uroczyście Slim.

Finlay bez słowa wpatrywał się w Skilesa.

— Jest mi pan winien za pięciu facetów, po pięćset dolarów — powiedział dziwnym, nosowym głosem.

— Nie mówiąc o dwóch pasterzach, których liczę panu po 250, ponieważ to Meksykanie.

Skiles poczuł się nieswojo.

— Pięciu ludzi? I dwóch Meksykanów? Ja nie wydałem żadnych szczególnych poleceń...

— Nie wiem, co znaczy szczególne polecenie — odparł Finlay. — Wiem tylko, że dostałem zlecenie na Gage'a i Maxa Calluma oraz każdego, z kim Coppers zamieni więcej niż dwa słowa.

— On się nazywa Cassidy — powiedział Skiles — Butch Cassidy.

— Jeśli pan tak mówi. Zabiłem siedmiu ludzi, a liczę panu za sześciu. Gage'a załatwiłem na dworcu - w Cheyenne, a Calluma...

— Proszę nie wchodzić w szczegóły — rzekł Skiles pospiesznie, wyciągając portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki.

Odliczył plik banknotów, podczas gdy wszyscy trzej patrzyli na niego w milczeniu. Podał banknoty Finlayowi.

— Czy teraz zapłaci mi pan za Cassidy'ego — zapytał, gdy skończył liczyć pieniądze.

Skiles pobladł. Nagle zrozumiał potworność tego, co zaplanował i przeprowadził. Wyszedłby teraz z pokoju, gdyby nie bał się poruszyć.

— Co z pięćdziesięciotysięczną nagrodą za Butcha Cassidy? — ciągnął Farnell.

— To zabierze trochę czasu — powiedział Skiles. — Trzeba to załatwić przez zastępcę szeryfa. Jestem pewien, ze to uczciwy człowiek i dopilnuje, żebyście dostali nagrodę.

— Dla nas to bez różnicy — powiedział Farnell, ziewając. Zrobił oko do Slima, a tamten lekko skinął głową. — To właściwie załatwia sprawę.

Naraz gdzieś w pobliżu rozległ się potężny wrzask, któremu towarzyszyły pojedyncze wystrzały. Słychać było ochrypłe, męskie głosy.

— Butch uciekł — rzucił z wściekłością Farnell i ruszył w stronę drzwi. — Pojedzie do Poręby B. Będziemy tam już na niego czekać — otworzył drzwi i wyskoczył na korytarz.

— Jadę z wami — zawołał Skiles — muszę odzyskać skradzione pieniądze.

— Co też pan, u diabła, wygaduje? — zdumiał się Farnell i ruszył po schodach na dół, a za nim Slim i Finlay.

Gdy trzej jeźdźcy wypadli ze stajni na ulicę, Skiles zmusił swego wierzchowca do galopu, ale szybko pozostał w tyle, zastanawiając się czy nadąży za tą dziko galopującą bandą.

Finlay odwrócił się w siodle i strzelił prosto do Skilesa, zrzucając go z konia. Farnell zwolnił, pozwalając Finlayowi się wyprzedzić.

— Nic już nie odzyska — powiedział.

20

Coppers dotarł do Poręby B tuż przed świtem. Okrążył dom, barak, stajnię i zagrodę, wsłuchując się w odgłosy nocy. Nagle zatrzymał się na dźwięk kopyt i rżenia koni.

Zauważył, że coś się jednak zmieniło. Duże, podwójne drzwi do stajni były zamknięte. Nigdy przedtem ich nie zamykano. Zsiadł z konia i wszedł do stajni.

W środku były trzy konie, jeszcze osiodłane. Dotknął najbliższego — jego skórę zraszał pot. Kiedy dotknął jego brzucha, przekonał się, że koń oddycha szybko, po ciężkim biegu. W domu oczekiwali trzej jeźdźcy.

Jedyne co musi zrobić, pomyślał, to zaczekać na nich na zewnątrz.

W końcu Farnell albo któryś z jego ludzi wyjdzie na zwiady. Starał się nie myśleć o tym, jak Farnell terroryzuje Alethę, Washa i starego. Zaryglował stajnię. Do świtu pozostały jeszcze dwie godziny. Zauważywszy jakieś minimalne poruszenie, przykucnął i podniósł do góry ramię. Odruchowa reakcja przyszła za późno. Cios zadany w głowę obezwładnił go. Stracił przytomność — zanim jeszcze upadł na ziemię.

Ocknął się z bólem głowy. Próbował zrozumieć co się stało.

— Dopadłem go — nosowy głos, świadczący o wadzie wymowy, był prawie niezrozumiały.

— Skończ z nim. Uderz go jeszcze raz czy dwa. — Ten głos wydawał mu się znajomy, ale nie miał pojęcia do kogo należał. Wreszcie przypomniał sobie — to Slim, człowiek Farnella.

— Nie zabiję go — powiedział ten pierwszy — Lute go chce. Pozwól, żeby zrobił to Lute, jeśli tak chce. Skończyły się pieniądze za zabijanie, Slim, a ja nie chodzę i nie zabijam ludzi bez potrzeby.

— Tak, wiem — mruknął Slim i chwycił Coppersa za ramię — złap go z drugiej strony.

Ciągnęli go bezceremonialnie w stronę domu Kiedy znaleźli się przed drzwiami, Slim wrzasnął:

— Zapal światło i otwórz. W oczy Coppersa uderzył strumień żółtego światła.

— Jeżeli jest załatwiony, zostawcie go tam — powiedział Farnell. — Jeden trup w środku to i tak o jednego za dużo.

Kto nie żyje? — zastanawiał się Coppers. Przestał o tym myśleć, gdy obaj znów go chwycili i wciągnęli po stopniach przez ganek do dużego pokoju od frontu.

Jego umysł wciąż jeszcze był zamroczony, kiedy kątem oka zauważył Alethę, siedzącą na brzegu krzesła: wyprostowaną, z wyzywająco podniesioną głową.

W pokoju nie było ani Boyntona, ani Washingtona. Jeden z nich musi być martwy, pomyślał. Slim i Finlay upuścili go, upadł, uderzając głową o podłogę.

— On nie jest martwy — powiedział Slim. — Dowiedziałeś się czegoś?

— Jeszcze o nic nie pytałem — odparł Farnell i usiadł na brzegu stołu, pośrodku pokoju. W ręku trzymał rewolwer.

— No dobrze, panienko, zechce nam pani powiedzieć, gdzie są ukryte te wszystkie pieniądze.

Coppers obrócił głowę i spojrzał spod przymkniętych powiek. Aletha stała pod ścianą z głową zwróconą w jego stronę. Zrobiła dwa niepewne kroki, po czym pewnie podeszła do Coppersa i uklękła przy nim. Poczuł na twarzy dotyk jej delikatnych dłoni i skrzywił się, gdy dotknęła świeżej rany na głowie. Odetchnął głęboko jej zapachem.

— Washington — powiedziała — przynieś mi, proszę, miskę z wodą i szmatkę!

A więc to Boynton zginął, pomyślał Coppers. Czy starego zabił Farnell? Byłby to jeszcze jeden rachunek do wyrównania.

— Zadałem pytanie, panienko — kontynuował Farnell — zamierza pani odpowiedzieć?

Spod przymkniętych powiek widział, majaczącą nad nim, ciemną sylwetkę Farnella z rewolwerem w ręku. Czujni Slim i Finlay stali przy drzwiach.

— On jest ranny — powiedziała Aletha — nie wiem jak ciężko, ale jest ranny w głowę. Wash, proszę, pospiesz się — dodała podniesionym głosem.

W drzwiach pojawił się Wash z miską w ręku. Przeszedł wolno, bojaźliwie, obok Slima i Finlaya.

— Szmatka jest w misce, proszę pani — powiedział pochylając się i stawiając miskę na podłodze obok Coppersa.

— Będziesz, do cholery, ze mną rozmawiać czy nie? — rzucił Farnell.

— Równie dobrze może pan usiąść wygodnie, panie Farnell — odparła Aletha. — Zanim będę rozmawiać z panem lub kimkolwiek innym zajmę się Davem.

Farnell wyrzucił z siebie stek przekleństw, poderwał Alethę na nogi i zaczął nią potrząsać.

— Gdzie są pieniądze? — wrzeszczał.

— Nie ma już pieniędzy. Zażądał ich Henry Eggert. Mój dziadek dostał ataku serca i zmarł. Eggert wiedział dokładnie, gdzie ich szukać. Wziął je i odjechał.

— W którą stronę! — wrzeszczał Farnell.

Coppers, niewiele myśląc, rzucił się do przodu; wyrwał rewolwer z ręki Farnella. Pierwszym strzałem zgasił lampę pogrążając pokój w mroku. Uderzył Farnella rewolwerem. Pociągnął Alethę na podłogę, podczas gdy w pokoju rozległa się kanonada. Ciągnąc za sobą Alethę, przedostał się w pobliże wyjścia. Czuł jak drżała, gdy wypalił rewolwer a pocisk uderzył w ścianę. Strzelił, a jego kula utkwiła w drewnianej ścianie naprzeciwko. Nagle zdał sobie sprawę, że słyszy jedynie tykanie ściennego zegara. Farnell był wyeliminowany. Miał nadzieję, że drugim strzałem załatwił

Slima. Pozostał człowiek o zajęczej wardze, najniebezpieczniejszy z nich. Coppers czuł jak ogarnia go zimna nienawiść, jak puszczają wszystkie hamulce, tak pracowicie budowane od czasu zamachu na McKinleya. Powstrzymał się, żeby nie strzelać na oślep. Mógł zaczekać.

Finlay również był cierpliwy. Czekał na ruch Coppersa. Tykanie zegara przypominało o upływie czasu. Jak szybko światło z zewnątrz umożliwi strzał? Kto będzie pierwszy?

Coppers poczuł, że Aletha trzyma rękę na jego ramieniu. Jej palce ześliznęły się ku dłoni trzymającej broń. Chwyciła ją i uniosła, przesuwając w prawo, potem trochę w lewo, wreszcie unieruchamiając. Ścisnęła jego dłoń i wycofała swoją.

Poczuł gwałtowniejsze bicie serca. Korzystając z niezwykle rozwiniętego słuchu, wskazała mu pozycję Finlaya. Zwolnił nacisk na cyngiel, aby uniknąć szczęku zapadek; odwiódł kurek kciukiem najdalej jak mógł i zablokował w tej pozycji.

Jedynie przez chwilę zawahał się, zanim lekko nacisnął spust, czując odrzut broni. Ciężkie stęknięcie Finlaya i odgłos rewolweru, padającego na podłogę, dowodził, że przeciwnik został trafiony.

Coppers po omacku przeszedł przez pokój i zapalił lampę. W powietrzu unosił się ciężki zapach nafty. Otworzył frontowe drzwi i okna. Powrócił do Alethy. Pomógł jej wstać i — obejmując mocno — przeprowadził do krzesła.

Teraz odwrócił się w stronę wciąż nieprzytomnego Farnella.

Podszedł do Slima, aby się przekonać, że bandyta nie żyje — z otworu tuż nad jego uchem sączyła się krew. Kurek jego rewolweru był odwiedziony. Coppers opuścił go, nie wyjmując broni z jeszcze ciepłej ręki Slima. Do Finlaya nawet się nie zbliżył. To był człowiek, który zabił Harlana Gage'a i tylu innych.

— Przykro mi z powodu twojego dziadka — powiedział do Alethy i od razu tego pożałował, gdy zobaczył łzę na jej policzku. Starła ją dłonią.

— Miał długie i szczęśliwe życie.

— Powinnaś teraz pomyśleć o sobie — rzekł Coppers łagodnie. — On by sobie tego życzył. Chciał cię chronić i zabezpieczyć. To był jego główny cel, Aletho.

Patrzyła na Coppersa, a łzy w jej oczach raniły mu serce.

— Tak, wiem, Dave. Rozmawiał ze mną przed śmiercią. Powiedział, w jaki sposób te pieniądze dostały się w jego ręce. On nie był złym człowiekiem, po prostu wpadł w sidła zastawione przez kogoś innego. Namyślał się przez chwilę, nie wiedząc jak jej to powiedzieć.

— Będę musiał wyruszyć w pogoń za Eggertem. On ma pieniądze, a do mnie należy odzyskanie ich.

— Rozumiem, Dave.

— Muszę się zająć pewnymi sprawami — mówił niezręcznie — będziesz tu bezpieczna z Washem. Wrócę jak tylko będę mógł.

Otworzył drzwi i ruszył w stronę stajni. Srokosz zarżał na jego widok, niecierpliwie potrząsając łbem.

— Tak, tak — mruknął, po czym rozsiodłał i nakarmił konia.

Obmyślał plan działania. Wściekał się na myśl, że przypuszczalnie Eggert miał już przy sobie pieniądze, gdy uwalniał go z aresztu w Arapaho. Zanim wyruszy w pościg ma tu jeszcze coś do zrobienia. Było dwóch martwych ludzi, których ciała należało przekazać Shugowi Krugerowi i jeden żywy, Lute Farnell.

Gdy zrobił już wszystko co należało, zatrzymał się koło domu. Dostrzegł grupę jeźdźców wyłaniających się zza pobliskiego wzgórza. Rzucił się pędem do domu, chwycił Alethę za ramię, wepchnął do środka i zamknął drzwi. Wyciągnął i odbezpieczył broń.

Na czele dostrzegł barczystą sylwetkę zastępcy szeryfa. Kruger prowadził ze sobą pięciu ludzi. Wpadli cwałem na podwórko, wznosząc tumany kurzu, kiedy ostro ściągali wodze.

— Odłóż broń — powiedział Kruger. — Ścigamy Farnella i jego ludzi — zdjął kapelusz i schylił głowę, by wytrzeć czoło w chustkę, którą, nosił na szyi. Zsiadł z konia. — Jedno jest pewne. Nie jesteś Butchem Cassidy, więc odpręż się, kowboju, i odłóż rewolwer tam, skąd go wyjąłeś.

Kruger podał wodze Pinkiemu.

— Dlaczego nie pójdziecie napoić koni, chłopcy? Wyruszymy dalej, jak tylko dowiemy się dokąd pojechał Farnell i jego wspólnicy.

— Farnell jest tam — powiedział Coppers, wskazując na powóz. — On żyje, ale Slim Packard i Otis Finlay zginęli.

Kruger podszedł do ganku ze zmarszczką skupienia na rumianej twarzy.

— O co tu chodzi? — zapytał.

— Próbowałem pana skłonić do pozostawienia tutaj paru ludzi — powiedział Coppers gniewnie — ale nie chciał pan tego uczynić. Farnell wraz ze swymi dwoma koleżkami wdarli się tutaj i próbowali odebrać Boyntonowi całą forsę.

— I udało by im się to, gdyby nie Dave — dodała Aletha.

— Nie wydaje mi się — odparł Kruger z zadowoloną miną. — Te pieniądze są zdeponowane w banku w Arapaho i zostaną wysłane tam, gdzie poleci je wysłać człowiek z departamentu skarbu.

— Jest jeszcze coś, co się z tym wiąże — powiedział Coppers.

— No pewnie, że jest. Kiedy uciekłeś z tego aresztu, ruszyliśmy za tobą w pościg, ale okazało się, że to wcale nie ty, tylko stary Henry Eggert. Henry miał przy sobie mnóstwo pieniędzy, a inny facet, który nazywa się Lem Taylor, również miał przy sobie diabelnie dużo forsy.

— Razem mieli prawie dwa miliony dolarów — rzekł Coppers.

— Nie mów! Cóż, zabraliśmy Eggerta i Taylora z powrotem do Arapaho i wsadziliśmy do aresztu — Kruger podrapał się w nos.

— Mam nadzieję, że nie zostawiliście Eggertowi żadnych ćwieków do podków w kieszeni — powiedział Coppers.

— Ćwieków? Większość jeźdźców nosi kilka przy sobie.

— Ale nie wszyscy potrafią się nimi tak posłużyć, jak Eggert. Za pomocą tych gwoździ otworzył zamek w pańskim areszcie.

— Co też ty mówisz!

Coppers skinął:

— To on mnie uwolnił.

— Cóż, niech mnie diabli. To on uderzył Pinkiego? Pinky ma na głowie guza wielkości gęsiego jaja. — Jego twarz pojaśniała. — Jest coś o czym, założę się, nie wiesz: koło hotelu znaleźliśmy na ulicy półżywego faceta. Nazywa się Skiles i wygląda na faceta z Tajnej Służby, takiego jak ty, Coppers. To on kryje się za tą skomplikowaną aferą. Uknuł plan ściągnięcia i pojmania Butcha Cassidy, który oczywiście nie żyje, dlatego wynajął Farnella i jego kumpli, by cię obserwowali i wrobili w odpowiednim momencie. Kłopoty pojawiły się w momencie, gdy Farnell dowiedział się jakoś o pieniądzach i starał się sam położyć na nich łapę. Mnóstwo ludzi zginęło z powodu tych pieniędzy. Finlay zabił sześciu czy siedmiu, a Skiles mu za to zapłacił.

— Dakota był używany jako kurier, który woził pieniądze do Arapaho i stamtąd wysyłał do Taylora — powiedział Coppers, zamyślony — sądzę, że albo Farnell, albo Slim zabił Dakotę, kiedy się o tym dowiedzieli. Ale wracając do Skilesa, czy on ci powiedział, że zapłacił Finlayowi za zabijanie?

— Nie. Powiedział to lekarzowi w Arapaho, który się nim zajmował... to jest, starał się. Skiles nie miał szans. Farnell lub któryś z jego ludzi strzelił do niego z bliska. Zanim umarł, opowiedział wszystko doktorowi Parksowi. Doktor spisał to wyznanie na łożu śmierci.

Po napojeniu koni uczestnicy pościgu wrócili i stali w milczeniu.

— Musimy jechać — powiedział Kruger. — Zmartwiłeś mnie, Coppers, mówiąc, że Eggert potrafi otworzyć mój areszt ćwiekiem do podków.

— Używa dwóch ćwieków.

— Ruszmy się, chłopcy — polecił Kruger, klepiąc się po udach.

— Zaczekaj — zatrzymał go Coppers, — czy Taylor coś powiedział?

— Czy powiedział? Buzia mu się nie zamyka. Mówił jeszcze, gdy zamykałem go w celi. Wygląda na to, że miał ze staruszkiem, to jest z panem Boyntonem, umowę na rozprowadzanie tych pieniędzy. Ale Taylor stał się łapczywy, chciał wszystko od razu. Wynajął Henry'ego Eggerta i Spuda Olivera, aby tu przyjechali i wzięli wszystko. Henry tak się z tym guzdrał, że zmartwiony Taylor przyjechał do Arapaho, chcąc przyspieszyć bieg wypadków. Dotarł akurat na czas, żeby odjechać z Eggertem. Ale złapaliśmy ich!

Kruger odwrócił się, wykrzyczał kilka rozkazów i odprowadził Coppersa na stronę.

— Osobiście nic przeciwko tobie nie mam. Masz robotę do wykonania i robisz ją najlepiej, jak umiesz. Ale ludzie tu mają do ciebie wiele pretensji.

— To ich sprawa.

— Cóż, być może. Chciałem tylko, żebyś wiedział. Matki straszą tobą dzieci.

Coppers poruszył się zniecierpliwiony:

— Jestem gotów stąd zniknąć. Chciałbym, żebyś odeskortował Alethę do Arapaho, żeby mogła złapać dyliżans do Laramie, a stamtąd pociąg na Wschód.

— W jakim celu?

— Jest teraz sama. Jest nadzieja, że operacja przywróci jej wzrok. Doradzam, aby wróciła i poddała się operacji.

Kruger mrugnął do niego:

— Teraz jej pan to radzi. Cóż, ta młoda dama przepada za panem, Coppers. Gdyby odzyskała wzrok, mogłaby zmienić zdanie. Wie pan, o co mi idzie?

— Pytałem, czy odwiezie ją pan do Arapaho?

— No pewnie. Noszę tę gwiazdę, aby służyć wszystkim praworządnym obywatelom w tym okręgu.

Odwrócił się w stronę powozu, w którym siedział Farnell, ze związanymi rękami i nogami, przytroczonymi do sprężyny siedzenia. Owinięte w płótno ciała Finlaya i Slima, leżały w tylnej części powozu.

— Farnell, czy pamiętasz pierwszą noc, kiedy tu przyjechałem? — zapytał Coppers.

Farnell nie podniósł głowy i nie odpowiedział.

— Tej nocy, tam w kanionie, była wielka strzelanina — ciągnął Coppers. — Czy chcesz mi coś na ten temat powiedzieć?

— Idź do diabła.

— Nic pan z niego nie wyciągnie — powiedział Kruger.

Ze schodów zeszła Aletha, a Coppers wyszedł jej na przeciw. Usłyszała jego kroki i zatrzymała się w oczekiwaniu.

— Wszystko jest już załatwione — powiedziała. — Nie wyjedziesz w pogoń za Henry Eggertem. Tkwi zamknięty w areszcie.

— Jest jeszcze ktoś — rzekł Coppers.

— Och, nie.

— Tak. Buel Gard. Należał do bandy, która cię porwała. To jego wysłano z listem. Ostrzegłem go, żeby się stąd wyniósł, ale być może nie posłuchał mnie.

— Wykonałeś swoją pracę — oświadczyła Aletha. — Zrobiłeś nawet więcej. Mam straszne przeczucie, że gdyby Eggert i Gard byliby już pod kluczem, znalazłbyś kogoś innego, kogo mógłbyś ścigać.

Jej słowa wstrząsnęły nim. Czy rzeczywiście polowanie na ludzi wciągnęło go bez reszty? Wiedział, że może się tak stać.

— Nie. Mnie się to nie może przytrafić. Najważniejsza na świecie jesteś teraz ty, i to co należy uczynić dla twojego wzroku — uśmiechnął się z przymusem.

— Myślę, że na razie zostanę tutaj.

— To niemożliwe. Twojemu dziadkowi zależało na tym, abyś odzyskała wzrok bardziej niż na czymkolwiek innym. Jesteś mu to winna, i sobie też, Aletho.

Odwróciła głowę:

— A co z tobą? Co ty o tym sądzisz?

— Chcę, abyś to zrobiła — powiedział ciepło.

Puściła jego rękę:

— Oczywiście masz rację. Przygotowanie do drogi zajmie mi około tygodnia.

— Poprosiłem zastępcę szeryfa, aby cię dzisiaj odeskortował do Arapaho. Możesz wsiąść w dyliżans do Laramie i złapać pociąg na Wschód.

— Jeśli ty tego chcesz — odrzekła stłumionym głosem.

21

Jeśli nie liczyć uczucia bolesnej pustki, jaką wywołała nieobecność Alethy, nic nie zakłócało spokojnych dni. Pewnego ranka Coppers obudził się i odkrył, że ziemia pokryta jest szronem. Stawy przykrywała cienka warstwa lodu. Czerwieniły się dęby, a osiki delikatnie mieniły się złotem. Konie wydmuchiwały parę z pysków, tłocząc się koło ogrodzenia, w oczekiwaniu na paszę.

Skończył już obrządzać i mył się do śniadania, gdy dobiegł go okrzyk z dworu. Wyszedł kuchennymi drzwiami i skradając się przeszedł do frontowej ściany z ręką na kolbie rewolweru.

Odprężył się widząc, jak Bennion zmaga się z dobranym zaprzęgiem karych koni. Poradził już sobie z końmi, gdy Coppers zbliżył się do powozu.

Na tylnym siedzeniu ulokowana była Sal z dziećmi. Wszyscy mieli nogi przykryte derką.

— Cześć, Dave — zawołał Bennion.

— Wcześnie wyjechałeś — rzekł Coppers.

— Zajechaliśmy zobaczyć, czy nie wybierzesz się z nami do Laramie. Dzwoniono z biura szeryfa, odbędzie się przesłuchanie Farnella i potrzebują ciebie na świadka.

— Oczywiście, że pojadę.

— Uwiąż konia z tyłu i wsiadaj. Chcę z tobą pomówić.

— Dobra. Tylko się przygotuję — wyciągnął rękę do Sal. — Wejdźcie, to czekając napijecie się kawy. Myślę, że Wash znajdzie coś dla dzieci.

— Co Wash ma dla nas? — chciał wiedzieć Tommie.

— Coś tam się znajdzie — odrzekł Coppers i pomógł Sal zejść na ziemię, a potem zdjął z powozu dzieci.

Sal i Mel pili kawę. Coppers jadł śniadanie, a dzieci zajadały pączki, jakie umiał smażyć tylko Washington.

— Czy miałeś jakieś wieści od Alethy? — zapytała nieśmiało Sal.

— Dostałem telegram, że szczęśliwie dotarła na miejsce. I od tamtego czasu nic więcej.

— To przesłuchanie może stać się sensacją — ale nie największą. Prezydent Roosevelt zatrzymuje się w Laramie w drodze do Yellowstone, gdzie ma polować na niedźwiedzie i łosie. W czasie postoju wygłosi przemówienie i oczywiście miasto szykuje się na jego przywitanie.

Kiedy Coppers wyszedł przed dom, Bennion popatrzył na niego zdziwiony. Ida Mae przysłała mu jego brązowy garnitur, toteż był ubrany w swój normalny, waszyngtoński strój.

— Na Boga, Dave, wyglądasz, jakbyś wyszedł właśnie z Cheyenne Social Club — oświadczył Bennion.

Coppers uwiązał srokosza do tylnych drzwi powozu i usiadł koło Benniona.

W końcu Mel zaczął mówić.

— Wiesz, jak nie znoszę chodzić koło tych turystów. Nie żeby byli źli, może trochę zepsuci i nieświadomi, ale po prostu nie mogę ich znieść. Potrzebuję dobrego przewodnika, który by się tym zajął. Oni najbardziej lubią te podróże po górach i chcę je dalej prowadzić. Chodzi mi o to, żebyś ty się tym zajął, a ja całą resztą. Świetnie się do tego nadajesz, Dave. Masz w sobie coś, co każe ludziom oczekiwać, że będziesz ich prowadził. Chciałbym, żebyś został moim wspólnikiem.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Wreszcie Coppers powiedział:

— Doceniam twoją ofertę, Mel, ale z wielu względów nie mogę jej przyjąć.

— Przemyśl to — nalegał Bennion. — Przygotuję oświadczenie majątkowe, żebyś sam zobaczył, jak to wygląda.

— Nie wiem, co będę robił, ale nie mogę się z tobą związać. Tak czy owak Mel, masz jeszcze jednego czy dwóch ludzi, którzy nadadzą się do tego. Grady będzie świetnym przewodnikiem dla twoich turystów.

Laramie było przystrojone na wizytę prezydenta. Flagi powiewały na wietrze. Strażacka orkiestra stroiła instrumenty na podeście wzniesionym przy bocznicy kolejowej. Mieszkańcy miasta masowo wylegli na ulice w odświętnych ubraniach.

Bennion wysadził Sal z dziećmi koło hotelu i pojechał do stajni. Jego przyjaciele pozdrawiali go i rozmawiali, umyślnie ignorując Coppersa.

— Chodźmy na jednego — zaproponował Bennion i ruszył przodem w stronę najbliższego saloonu. Lokal był zatłoczony, ale znaleźli miejsce na końcu lady i w milczeniu do siebie przepijali.

Goniec ze stacji zajrzał przez wahadłowe drzwi i krzyknął:

— Za dwadzieścia minut przyjedzie pociąg specjalny!

Saloon zaczął się wyludniać, podczas gdy Coppers i Bennion kończyli swoje drinki. Weszli w tłum. Nad podium dla orkiestry widniał ogromny napis:

WITAMY PREZYDENTA ROOSEVELTA W KRAINIE TEDDY'EGO

— Na Boga, to wspanialsze, niż sądziłem — rzekł Bennion, zadowolony. — Widzisz, co tu się szykuje, Dave?

— Nie widzę — przyznał Dave.

— Mamy prezydenta, który myśli tak jak my. Dzięki niemu cały cholerny kraj wie o nas wszystko. To oznacza większe interesy. On jest dobry dla interesów.

— Dobry dla turystyki?

— Dla każdego interesu — oświadczył Bennion z rozmachem — jak tylko okręg naprawi drogę stąd do Box MB, kupię sobie jeden z tych powozów benzynowych, żeby wozić nim gości na ranczo.

— Dyliżans to wielka atrakcja, Mel.

— Tak, ale boli od niego siedzenie. Oddam go władzom szkolnym, jeśli obiecają go nie sprzedawać. Chcę, aby w przyszłości dzieci wiedziały, czym jeździliśmy. Hej! On nadjeżdża!

Bennion podążył za Coppersem, który niemal biegiem ruszył w stronę stacji, podczas gdy pociąg stanął gwiżdżąc i wypuszczając kłęby pary.

Z wagonu wysiadł Roosevelt z rękami wzniesionymi nad głową, uśmiechając się do wiwatującego tłumu.

Nie wygląda ani trochę starzej niż kiedy lądowaliśmy na Long Island, pomyślał Coppers. Nigdy nie stracił szacunku i przywiązania do Roosevelta.

Ludzie zamilkli, gdy Roosevelt zaczął mówić w swoisty dlań, pełen wigoru sposób.

— Dziękuję za to powitanie. Zawsze czuję się tu jak w domu. Urodziłem się na Wschodzie, ale jestem człowiekiem Zachodu. Ten kraj dotyka samej istoty mojej duszy. Przyjeżdżam tu tak często, jak tylko mogę, żeby się odświeżyć duchowo. Chcę wam powiedzieć, że gdy po raz pierwszy przyjechałem na Zachód, miałem najlepsze wykształcenie, jakie można kupić za pieniądze. Znałem się na książkach, ale dopiero w tym wielkim, wspaniałym kraju nauczyłem się czegoś o ludziach. Chciałbym, aby cała Ameryka natchnięta została duchem Zachodu.

— Gdybym w młodości nie przyjechał poznać Zachodu, przypuszczalnie nigdy nie zostałbym waszym prezydentem. Wiem, że wy, ludzie Zachodu, należycie do tych, których dobrze mieć przy sobie, gdy zaczynają się kłopoty.

— Jest dziś między wami człowiek, który był ze mną na Kubie — wyprostował się, poprawił okulary i spojrzał ponad tłumem. — Czy jest tam Dave Coppers?

— No, wejdź — krzyknął Bennion popychając Dave'a.

Tłum rozstąpił się. Coppers szedł niechętnie, popychany przez ludzi, którzy jeszcze niedawno odwracali od niego głowy.

Prezydent Roosevelt pochylił się, podał Coppersowi rękę i wciągnął go na podium. W głębi, w drzwiach pulmanowskiego wagonu, Coppers dojrzał swego szefa, Effingtona.

— Zawsze miałem wobec ciebie, Coppers, dług wdzięczności — mówił znowu Roosevelt. — Uratowałeś mi życie, uratowałeś jednego z moich koni. Jesteś najlepszym człowiekiem, z jakim miałem do czynienia. A teraz mamy ze sobą do pogadania.

Roosevelt i Coppers weszli do wagonu przy aprobującym pomruku tłumu, z początku nieśmiałym, który jednak wkrótce przeszedł w owację, słyszalną nawet w środku, mimo zamkniętych drzwi.

Gdy wchodzili do wagonu, w małym przedsionku, zaraz za drzwiami, stał sztywno wyprężony Effington.

— Dyrektor Effington wkrótce odchodzi na emeryturę — zaczął Roosevelt — chcę, aby go pan zastąpił, sierżancie. Wstrzymaj się jeszcze chwilę z odpowiedzią — lekko popchnął Coppersa do środka salonki. — Idź, tam czeka na ciebie niespodzianka. Ja i dyrektor Effington dołączymy później.

Coppers obejrzał lśniące wnętrze prezydenckiej salonki, z sufitem na wysoki połysk i kryształowymi żyrandolami, wyściełanymi fotelami i kanapami.

Z fotela ustawionego do niego tyłem wstała Aletha.

— Dave! — zawołała ciepłym, wesołym głosem.

Wyciągnął ręce i przygarnął ją do siebie. Jego serce waliło jak młot. Widział jej drżące usta. Całując ją, nie mógł opanować uczuć, które nim zawładnęły. Dopiero teraz mógł je odkryć. Poczuł zapach kwiatów, jej zapach.

— Aletha. Ty widzisz?

— Tak. Och tak! Tak!

Odsunął się:

— Więc, więc teraz, kiedy możesz mnie zobaczyć, może...

Jej palce znów dotknęły jego twarzy, przejechały lekko po włosach, oczach i wargach. Jej ramiona mocno przyciągnęły jego głowę:

— Wyglądasz dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam — powiedziała cicho.

Drzwi za nimi otworzyły się, ale nie zauważyli tego. Zajrzał do nich prezydent Stanów Zjednoczonych, który mimo że lubił być ośrodkiem zainteresowania, wycofał się.

— Wyjdziemy z drugiej strony — polecił swym sekretarzom i dodał, zatrzymując się na stopniu: — Na Boga, ależ to był kapitalny, całkiem kapitalny dzień!

KONIEC